

**Lottman Eileen**

**Savannah**

## Wstęp

Nazywam się Lane MacKenzie. Jestem reporterka, pracuje, dla Savannah Dispatch. Dziennikarką chciałam być odkąd sięgam pamięcią, ale myślałam o pracy w prestiżowej gazecie nowojorskiej. Tymczasem, cóż... - wylądowałam w Savannah. Wprawdzie zdarzyło mi się pracować też dla New York Timesa, ale funkcja sekretarza w dziale składu raczej nie wiodła ku karierze słynnej reporterki.

Wróciłam tu na ślub mojej serdecznej przyjaciółki. Reese, ja i naturalnie Peyton, przyjaźniłyśmy się od przedszkola. Można by posądzić, że miało to jakieś znaczenie. Ale przyjaźń między Reese i Travisem również trwała od dawna... Byli w sobie zakochani od szkoły średniej, a już w pierwszym dniu po ślubie Reese przekonała się, że wcale go nie znała! Wkrótce potem Travis zginął, ale to należy już do historii, którą zamierzam wam opowiedzieć. Zanim zacznę, chcę dodać coś jeszcze na temat przekonania. Ze zna się kogoś całe życie: obie z Reese myliłyśmy się sądząc, że wiemy wszystko o Peyton.

Opowiem tę historię w formie powieści, bo taką najbardziej przypomina, a jedynie w ten sposób najlepiej ogarniam wszystko co się wydarzyło. Będę jedną z bohaterek, ale możecie liczyć na moją szczerłość.

Peyton Richards i Reese Burton wychowały się w jednym domu, ale o tym, że są siostrami dowiedziały się dopiero, gdy miary po dwadzieścia kilka lat. Fakt ten zresztą nigdy by nie wyszedł na jaw, gdyby nie sprawa o morderstwo.

Lucille, matka Peyton, była gospodynią w majątku Grimboll's Point. Zajmowały dwie sypialnie i salonik na najwyższym piętrze domu. Jest to otoczona kilkunastoma akrami ziemi okazała rezydencja W stylu Południa, z okresu wojny secesyjnej, chociaż zbudowana znacznie później. Prowadzi do niej długi, kręty podjazd, wzdłuż którego rosną wysokie, potężne dęby Teren otaczający posiadłość schodzi ku rzece. Tu w małej przystani przycumowanych Jest kilka łodzi.

W dzieciństwie Peyton i Reese bawiły się na miękkiej murawie, na balkonie w pokoju Reese lub chowały się za wysokimi białymi kolumnami oplecionymi pnącymi różami. Wspólni przyjaciele często je odwiedzali, pływając w basenie i grając w tenisa na ich korcie. Dorastając, nadal spędzały ze sobą mnóstwo czasu i dzieliły wszystkie tajemnice. Były jak siostry, gdyby nie fakt, że Edward Burton wymagał od Peyton aby prosiła o pozwolenie na skorzystanie z basenu lub kortu. Była to zapewne formalność - ot stare, południowe zwyczaje, a jednak nie miał pojęcia ile głębokiego, niewybaczalnego bólu zadawał tym zachowaniem małej dziewczynce.

Edward był właścicielem jednego z większych banków w Savannah, kilku biurów i centrów handlowych, które zdaniem wielu niszczyły niepowtarzalną atmosferę starego Savannah. On sam jednak, mieszkając w idyllicznej okolicy, w której mogli mieszkać tylko najbogatsi, mając posiadłość, dla zdobycia której kłamał, oszukiwał,

a może nawet i zabił - oddawał pełen szacunku hołd mitycznym tradycjom Starego Savannah.

Lucille Richards i jej córka nie stanowiły części tej starej tradycji, ale odkąd urodziła się Peyton mieszkały w tym domu i odnosiły się do niego z szacunkiem. Przynajmniej Lucille. Uroczej, brązowowłosej i niebieskookiej Peyton bardziej przypadła do gustu inna tradycja Południa - buntowniczość. *Patrząc* jak jej matka ciężko pracuje i zamartwia się o najmniejsze zadrapanie na meblach z drzewa różanego, o ślad kurzu w wyłobieniach poręczy, o jakość potraw na stole Burtonów i uczciwość każdej sprzątaczkii, kucharza czy chłopca na posyłki, którzy pracowali dla rodziny, Peyton czuła jak wzbiera w niej gniew, chociaż nigdy nie mogła dać tego po sobie poznać. Jej przyjaźń z Reese pozostała niewzruszona przez wszystkie te lata, pomimo goryczy jaką czuła jako osoba zależna od okruchów z pańskiego stołu,

Poza tym dotarły do niej pogłoski, że Edward Burton jest jej ojcem. Wszyscy w Savannah o tym słyszeli, a dzieci żartowały sobie z niej.

„Peyton, aniołku, cichy jak trusia,  
Czy jesteś prawdziwą córeczką tatusia?”

Najzłośliwsze w szkole dziewczynki wymyśliły melodyjkę do tego dwuwiersza i skacząc przez skakankę skandowały go dopóki nie usłyszały ich któryś z nauczycieli i nie uciszył.

„Co to znaczy?” - pytała Peyton matkę, ale Lucille tylko wzdychała i mówiła, że to wszystko z zazdrości, bo mieszka w takim pięknym domu, że ma być miła i nie zwracać uwagi na to co ludzie plotą. Ale przecież Reese Burton mieszkała w tym samym domu a nikt sobie z niej nie robił głupich żartów. Ludzie jej naprawdę zazdrościli. Miała długie, jasne loki, wielkie, satynowe kokardy i prawdziwe futerko, Na szesnaste urodziny tatuś подарował jej białe BMW z otwie-

ranym granatowym dachem. Edward Burton był najbogatszym człowiekiem w Savannah, a ich dom był najwspanialszy w mieście, czyż więc Peyton nie była szczęściarą mogąc wzrastać w takim miejscu?

Peyton i Reese przyjaźniły się z jeszcze jedną dziewczynką, z Lane, która wprawdzie mieszkała z rodzicami na drugim końcu Savannah, ale spędzała większość czasu w domu Burtonów. Wszystkie trzy bawiły się drogimi zabawkami Reese, godzinami gadały przez telefon i jeździły razem limuzyną do szkoły. Były najlepszymi przyjaciółkami na świecie.

Edward Burton uwielbiał Reese, psuł ją i nazywał swoją księżniczką. Peyton nie miała ojca, co uważała za bardzo niesprawiedliwe. Lucille powiedziała jej, że jej ojciec umarł i pokazała dwa zdjęcia człowieka w marynarskim mundurze. Dwa zdjęcia kogoś, kto miał być jej ojcem i setki zdjęć samej Peyton - coraz doroślejszej, szczupłej i olśniewająco pięknej.

Nigdy jednak tak pięknej jak Reese.

Peyton nigdy nie uwierzyła w tę naiwną historyjkę o ojcu, który umarł. Nie ważne kim był - łajdak zostawił je, zostawił swoją małą córeczkę. Umarł czy odszedł - nie miało to znaczenia, tak czy inaczej odebrał Peyton szansę na posiadanie ojca, na bycie czyjąś księżniczką.

Z miłym uśmiechem przyłączała się do chóru wszystkich mieszkańców przeklętego Savannah, którzy uważali Reese za jakąś świętą. O, tak, Reese była słodka jak cukiereczek, tylko nie taka lepka. Problem Peyton polegał na tym, że Reese naprawdę była miła.

W wieku pięciu czy sześciu lat Peyton całkowicie potrafiła kontrolować swoje uczucia i nikt nie wiedział, co naprawdę myślała. Umiała być tak słodka jak Reese i wiecie co? Ją także wszyscy kochali.

Gdy Reese i Travis Peterson zakochali się w sobie, byli najpięk-

niejszą parą w szkole. Ona była dziewicą i zamierzała wytrwać w tym stanie do ślubu, a Travis szanował jej decyzje przez wszystkie te lata kiedy ze sobą chodzili. Przychodziło mu to bez trudu ponieważ namiętny romans z Peyton wynagradzał mu wszystko. Oboje byli bardzo dyskretni, żadne nie chciało zranić Reese i zrujnować szans Trávisa na wżenie się w majątek Burtonów. Kiedy już się dobrze ustawi, wtedy nadejdzie czas dla nich. Peyton potrafiła czekać.

Na ślub Reese przyjechała z Nowego Yorku Lane. Udało jej się znaleźć tam pracę, ale póki co pracowała w dziale kolportażu w New York Timesie i czekała j ą jeszcze długa droga do kariery sławnej reporterki.

Jej życie prywatne przedstawiało się nieco lepiej od zawodowego. Terry był dziennikarzem w Time Magazine i The New Yorker. Gdy poprosił ją o rękę, obiecała, że zastanowi się nad tym podczas pobytu w Savannah.

- Nie sądzę abym naprawdę go kochała - zwierzyła się podczas jednej z długich rozmów telefonicznych, które z Reese i Peyton nazywały konferencjami. - A może i tak jest, skąd mam wiedzieć? Ty i Travis dobrze się znacie, a ja znam Terry'ego dopiero kilka miesięcy. Może tylko jego sukcesy robią na mnie wrażenie? Wprawdzie jest bardzo miły i przystojny...

- A jaki jest w łóżku? - wtrąciła Peyton.

- Ty zawsze o jednym - zaśmiała się Reese.

- A czy jest coś przyjemniejszego? Albo ważniejszego? - droczyła się Peyton. - Ale skąd ty miałabyś o tym wiedzieć?

- Dowiem się za trzy noce od dziś! - śmiała się dalej Reese.

- No tak, ja tu gadam o sobie, a to przecież twój ślub, Reese. Przepraszam, jestem taką egoistką...

- Przestań! Gdybyś wiedziała jaka już jestem zmęczona tym ślu-

bem, planowaniem każdego szczegółu... Chciałabym, żeby już było już po wszystkim.

- Tak, żebyście mogli wreszcie przejść do rzeczy najprzyjemniejszej - wtrąciła znów Peyton.

Lane przerwała rozmowę. W końcu to ona płaciła za telefon, a jej spadek z pewnością nie przypominał rozmiarami spadku Reese. Rodzice zostawili jej dość pieniędzy aby mogła skromnie żyć, a w przyszłości, dodając dochody, na które liczyła, nie powinna mieć kłopotów finansowych. O ile nie wyda wszystkiego na telefony do starych przyjaciółek.

- Do zobaczenia w piątek - powiedziała. Cześć, dziewczyny!

W swoją noc przedślubną Travis Peterson sięgnął pod łóżko aby wyjąć stamtąd małe, błękitne pudełeczko przewiązane kremową wstążką. Położył je na nagiej piersi Peyton.

- Co to jest, Travis? Prezent dla mnie? - pisała.

- Prezent dla mojego Króliczka - powiedział. Przytulił się do jej ramienia gdy ona tymczasem niecierpliwie rozwiązywała wstążeczkę.

Peyton zapało dech na widok eleganckiej złotej bransoletki, całej wysadzanej oślepiająco białymi diamentami. Wewnątrz bransoletka miała wygrawerowaną dedykację: „Dla mojego Króliczka -ślubne przysięgi nas nie rozdziela. Kocham - Travis". Peyton była zachwycona. Oplotła go ramionami i nogami, jakby już nigdy nie miała go puścić. Została z nim do rana, zamiast wymknąć się przed świtem, aby jej nikt nie zobaczył.

Peyton wiedziała, że nadejdzie jej czas i potrafiła czekać. W końcu Travis ją kochał, mimo że żenił się z Reese Burton. Diamentowa bransoletka była tego dowodem, Zrobiła wszystko, aby zmęczyć

Travisa miłością w noc przed ślubem z Panną Dziewicą. Biedna Reese - oszczędzała się tyle lat, a teraz jej świeżo upieczony mąż będzie miał chęć tylko na porządną drzemkę.

Była już prawie dziewiąta rano, gdy Peyton dotarła do Grimboll's Point. Zaparkowała na tyłach domu, przy garażach. Nie musiała wchodzić kuchennymi drzwiami, ale jej matka zawsze tak robiła. Peyton wolałaby raczej, żeby przypiekano ją żywcem niż by miała przyznać się do tego, że czuje się nieswojo wchodząc od frontu. Nienawidziła siebie za to uczucie, a swojej matki za to, że ta ustawia ją na pozycji córki służącej.

Wchodząc na trzecie piętro, gdzie mieszkała z matką, obiecywała sobie, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie miała Travisa i własny dom. Spojrzała na nadgarstek. Lśniące diamenty poprawiły jej samopoczucie na tyle, żeby mogła przetrwać wesele Reese.

- O, jesteś, Peyton! - dobiegło z pokoju matki. Lucille szykowała się na ślub swej ulubienicy. Jak na wielki dzień, nie wymyśliła nadzwyczajnej kreacji. Zamierzała ubrać się w perłowo-szary jedwabny kostium, różową bluzkę i zwykły kapelusz z dobranym kolorystycznie kwiatem. Nadal miała świetną figurę i mogła ubierać się bardziej elegancko, a jednak poprzestawała na stylu gospośki, którą zresztą była. Doprowadzało to Peyton do wściekłości.

- Tak, jestem, mamó - odpowiedziała. Weszła do swojego pokoju, naprzeciwko pokoju matki. Każda z nich miała własną łazienkę i słoneczny salonik. Miały też do dyspozycji małą kuchenkę w korytarzu, ale rzadko z niej korzystały. Trzecie piętro przeznaczone było dla gromadki dzieci i ich opiekunek, ale matka Reese umarła przy pierwszym porodzie, a Edward nigdy się ponownie nie ożenił. Pokoje dziecięce zmieniono więc w apartament dla gospodyni i jej córki.

- Gdzieś ty była? Umierałam z niepokoju. Bałam się, że się spóźnisz na ślub - rzekła z wyrzutem Lucille.



- Co? Opuścić ślub stulecia? - z ironią odpowiedziała Peyton. Zaczęła się rozbierać.

- Gdzie byłaś całą noc? - zapytała Lucille, stając nagle w drzwiach pokoju córki. Miała na sobie szarą halkę.

- Wyszłam - odburknęła Peyton. Zrzuciła koszulę na podłogę wiedząc, że doprowadza to Lucille do wściekłości.

- Tyle sama się domyśliłam skoro nie było cię w łóżku - Matka schyliła się, podniosła koszulę i rzuciła ją do kosza z brudną bielizną.

- Rozchmurz się - powiedziała Peyton. - Twoja ukochana Reese wychodzi dzisiaj za męża. Nie jesteś szczęśliwa? A przecież stary dał ci luz, nie musisz podawać drinków ani opróżniać popielniczek, bo przyjęcie nie odbędzie się tutaj.

- Pan Burton zawsze był dla mnie dobry. To zdanie Lucille wygłaszała tak często, że właściwie automatycznie.

- Wiem, mamo. Ty lubisz być gospodynią, a my wszyscy jesteśmy jak rodzina. Już to słyszałam. - Peyton uniosła swoje ciemnorude włosy i upięła je niedbale wchodząc pod prysznic.

- A to co takiego? - zapytała matka. Peyton spojrzała na błyszczącą bransoletkę.

- A na co wygląda? - odpowiedziała zaczepnie.

- Skąd to masz? - Lucille zadała to pytanie dość spokojnie. Była przyzwyczajona do sarkazmu i oschłości córki tam, gdzie chodziło o nią samą. Cieszyła się z tego, że Peyton nie zachowuje się tak wobec innych. Niektóre dziewczęta tak traktują matki, a potem z tego wyrastają. Ale dwadzieścia jeden lat to dość aby wydorosnąć.

- Nie martw się. Nie ukradłam jej - warknęła Peyton.

- Zastanawiałam się tylko czy nie jest to prezent od panny młodej dla druhny - powiedziała łagodnie Lucille.

- Przecież o tym wiedziałabyś. Organizowałaś całe to przedstawienie jakbyś była matką panny młodej.

A więc o to chodziło. Peyton wciąż była zazdrosna o Reese, tak jak to było w dzieciństwie. Cała ta sytuacja była naprawdę dziwna. Były najlepszymi, zaufanymi przyjaciółkami, nigdy się nie kłóciły, śmiały się z tych samych rzeczy. A mimo to - Lucille miała nadzieję, że wie

O tym tylko ona - Peyton zżerała zawiść.

- Peyton, kochanie, czy naprawdę nie stać cię na nic miłego? Przecież to dzień ślubu twojej najlepszej przyjaciółki - powiedziała znużonym głosem.

Peyton odkręciła kurek prysznic. Mruknęła coś cicho, więc Lucille podeszła do drzwi łazienki.

- Co mówiłaś? Nie usłyszałam! - krzyknęła.

Peyton wyjrzała zza zasłonki. Włosy pociemniały jej od wody i przykleiły się do twarzy uwydatniając jej idealny kształt. Lucille znów poczuła się zaskoczona urodą swojej córki.

Ale to co mówiła Peyton było przykre.

- Stawiam dziesięć dolarów, że to małżeństwo nie potrwa długo.

- Dlaczego tak mówisz? - Lucille była zaszokowana.

Peyton sprawiała wrażenie zadowolonej. Myła włosy, a Lucille widziała błysk bransoletki wokół jej nadgarstka, gdy woda rozpryskiwała się za przezroczystą zasłonką. Dziewczyna ponownie wystawiła głowę. Wyglądała jak anioł, ale przemówiła jak diabeł.

- Ponieważ Travis nie jest zakochany w Reese. Interesują go wyłącznie jej pieniądze. - Ponownie weszła pod strumień wody, nucąc melodię marsza weselnego.

- Na pewno się mylisz - Lucille próbowała przekrzyczeć szum i plusk wody, - Gdyby to była prawda, nie podpisałby kontraktu przedślubnego.

Szum i plusk ucichły. Peyton zamarła za zasłonką.

- Nie podpisałby czego? - zapytała.

- Kontraktu przedślubnego - powtórzyła Lucille. - Jeżeli małżeństwo się rozpadnie, Travis nie dostanie ani centa.

Peyton znów wyjrzała zza zasłony i spojrzała na matkę.

- Nie byłby taki głupi, żeby to zrobić.

- Widziałam kontrakt - powiedziała matka. - Naprawdę, nie wiem jak możesz być tak cyniczna. Wszyscy widzą, że Travis kocha Reese.

Chciałabym, żebyś i ty znalazła kogoś chociaż w połowie tak miłego,

Z tymi słowy Lucille wycofała się z łazienki, pozostawiając córkę jej złości i knowaniom.

Reese i Peyton przywitały Lane na lotnisku, poczym razem pojechały prosto na próbny obiad. Lane była wyczerpana. Miała za sobą cały dzień pracy, jazdę w korku na lotnisko nowojorskie, lot samolotem, spotkanie z przyjaciółkami, długi, wspaniały, przerywany toastami, uściskami i wspomnieniami obiad... Ale przyjęcie przenosiło się do Domu Piratów, gdzie można było posłuchać niezłego jazzu.

- Lane, kochanie, oczywiście, że nie musisz z nami jechać, widzę jaka jesteś zmęczona. Proszę, tu są kluczyki od mojego samochodu - ja i tak jadę z Travisem. Mam nadzieję, że pamiętasz, jak dojechać do mojego domu,

- Trochę mnie nie było, ale nie aż tak długo - roześmiała się Lane.

A jednak kilka rzeczy się zmieniło: były nowe znaki drogowe i nowa droga prowadząca do osiedla domów na trasie do Point Lane poczuła się nieco zagubiona na ciemnej szosie. Zatrzymała samochód i próbowała się zorientować czy już przeoczyła skręt, czy ma go jeszcze przed sobą, kiedy tuż za nią stanął migając kolorowymi światła-

mi wóz policyjny. Wsiadł z niego wysoki, potężnie zbudowany gliniarz i podszedł do niej. Grzebała w torebce szukając portfela, którego nigdy nie mogła znaleźć kiedy akurat był potrzebny.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku - powiedziała nie patrząc na niego. - Gdzieś tutaj mam prawo jazdy. Jadę do domu przyjaciół i byłam pewna, że znam drogę, bo kiedyś tu mieszkałam, ale to było pięć lat temu i... O, jest! Podała mu prawo jazdy przez odkręconą szybę. - No, w każdym razie zdaje się, że się zgubiłam -dodała.

-I widzę, że nadal kłamiesz na temat swojego wzrostu - odezwał się gliniarz.

Lane zatkanęło. - Słucham?

- Oczywiście, jeżeli nie urosłaś o dwa centymetry odkąd przeniosłaś się do Nowego Yorku - zaśmiał się i dopiero teraz jego głos wydał się znajomy. Gdy spojrzała w górę, poznała również jego twarz.

-Dean?

Nagle oboje poczuli się nieswojo.

- Miło cię znów widzieć, Lane,

Ku swojemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że cała drży na dźwięk jego głosu. Kiedyś...

- O mój Boże... - to było wszystko, co zdołała wykrztusić.

- Słyszałem, że pracujesz dla New York Timesa - powiedział.

- Moje gratulacje, tego zawsze pragnęłaś. Bardziej niż jego - to miał na myśli.

- Ja również winna ci jestem gratulacje - z powodu ślubu. Słyszałam, że masz synka.

-Tak. Ma cztery lata.

- Zawsze mówiłam, że będzie z ciebie wspaniały tata. - A ja zawsze twierdziłam, że byłaby z ciebie wspaniała mama - powiedział bez uśmiechu.

Przez chwilę tylko patrzyli na siebie, żadne z nich nie mogło wydobyć z siebie głosu.

- Czy mógłbyś wskazać mi drogę do domu Reese? - zapytała w końcu.

- Chyba się zgubiłam.

- Oczywiście.

Głos miał schrypnięty, ale po chwili wyprostował się i przemówił tonem normalnym, choć oficjalnym. - Zgubiłaś się, ale nie tak bardzo. Skręć w lewo, na drugich światłach. Wjazd do pałacu Burtonów znajduje się w połowie ulicy.

- Dzięki - powiedziała.

- Trzymaj się, -Ty też.

Odszedł w kierunku wozu patrolowego, a Lane długo obserwowała go w lusterku wstecznym.

Lane spotkała Deana ponownie następnego dnia na przyjęciu weselnym. Nie chciała, aby poprosił ją do tańca i nie zastanawiała się dlaczego. Gdy tylko spojrzał w jej kierunku, chowała się za jedną z szerokich kolumn w sali balowej. Wokół tańczono w rytm powolnych melodii i do Lane dobiegały skrawki rozmów. Kobiety szeptały o tym, jak pięknie wygląda panna młoda, a mężczyźni prawili im komplementy lub komentowali rozmach, z jakim Edward Burton wyprawił córce wesele. Próbowali też zgadnąć ile go to kosztowało.

W pewnym momencie pan młody poprosił do tańca jedną z druhen. Muzyka nie była głośna, a para zażarcie się kłóciła. Lane nie chciała podsłuchiwać, nie mogła jednak nie słyszeć rozmowy, prowadzonej dwa kroki od niej, ukrytej za filarem,

- Podpisałeś kontrakt przedślubny. Nie dostaniesz ani centa je-

sli ją zostawisz, więc jak zamierzasz dotrzymać obietnicy i ożenić się ze mną? Oszukiwałeś mnie, Travis.

- Ależ, Króliczku, musiałem to podpisać, bo w przeciwnym razie jej ojciec nie zgodziłby się na małżeństwo. Ten papier nie ma znaczenia.

- A ja myślę, że ma. Znaczy tyle, że nie dostaniesz żadnych pieniędzy i że pozostaniesz jej mężem. Prawda, ty łajdaku?

- Więc co z tego, Króliczku? Między nami nic się nie zmieni - zapomniałaś o obietnicy na bransoletce?

- Kazałam ją wycenić - odrzekła chłodno Peyton. - To imitacja. Taka, jak ty sam.

- Króliczku...

Ale Peyton zostawiła pana młodego pod filarem. Lane zobaczyła jak porwał ją jakiś inny mężczyzna i powirowali na parkiecie. Travis tylko wzruszył ramionami, przywołał na twarz uśmiech szczęśliwego człowieka i poszedł odzyskać żonę z ramion ojca.

Lane była poważnie zaniepokojona, ale Travis i Reese byli teraz mężem i żoną i nie powinna się wtrącać. Wolą nie pisać nigdy słówka niż zranić ukochaną przyjaciółkę. Co do Peyton... Lane była zaszokowana, czuła się zdradzona, ale nie całkiem zaskoczona.

Zdziwienie przyszło później, gdy przekonała się do czego gotowa jest Peyton by zemścić się na Reese.

Przyjęcie, oprócz tego jednego incydentu, którego świadkiem była zresztą tylko Lane, udało się wyśmienicie. Następnego dnia Reese wyznała swoim przyjaciółkom, że jej długo oczekiwana noc poślubna również była udana. Travis nie wymagał zbyt wiele, był cierpliwy i delikatny, więc Reese przyznała, że seks rzeczywiście jest wspaniały.

Prezentów ślubnych wciąż przybywało. Poślaniec przyniósł małe, niebieskie pudełeczko, do którego nie załączono żadnego bilecika.

- Położę je z innymi prezentami w jadalni - powiedziała Lucille.

## Savannah

- Ciekawe, co może być w takim maleńkim pudełku - biżuteria? Nie jesteś ciekawa, Reese? - leniwie zapytała Peyton. Jadły właśnie późne śniadanie. Edward i jego nowy zięć mieli coś do załatwienia w banku i wyszli wcześniej, przysięgając, że wrócą w porę przed odlotem samolotu.

- Jestem - przyznała Reese. Wzięła pudełeczko z rąk Lucille i zaczęła rozwiązywać wstążkę. Peyton i jej matka obserwowały ją, uśmiechając się.

- To bransoletka. Dziwne... I żadnego biletu! Zastanawiam się...

Gdy Reese wyjęła zawartość pudełka, Lucille spojrzała na Peyton, rozpoznając bransoletkę. Ale dlaczego jej córka dawała ją Reese i to anonimowo?

Reese wydała cichy okrzyk - znalazła tekst wygrawerowany na bransoletce.

- O co chodzi, kochanie? Co się stało? - zaniepokoiła się Lucille. Peyton podniosła bransoletkę upuszczoną przez Reese.

- Nie wiedziałam, że Travis nazywał cię Króliczkiem.

Reese potrząsnęła głową. - Nie nazywał - powiedziała łamiącym się głosem. - To miał być prezent dla kogoś innego.

Lucille zaczęła zaprzeczać, ale kiedy przeczytała dedykację, zbladła jak płótno. Gdyby wzrok mógł zabijać, byłaby winna morderstwa własnej córki.

## 2

Reese była młodą idealistką, zakochaną w człowieku, którego uważała za ideał. Pierwsze doświadczenie seksualne tylko pogłębiło jej oddanie się bez reszty. Ogromny ból z powodu jego zdrady wydawał się nieuleczalny. Gdy Travis wrócił z Edwardem do domu, wręczyła mu bransoletkę i posłała go do wszystkich diabłów. Nigdy już nie chciała go widzieć. Próbował coś wyjaśniać, ale Reese pobiegła do swego pokoju i otworzyła tylko ojcu.

- Och, tatusiu, myślałam, że go znam, a tymczasem to ktoś obcy i podły - szlochała w ramionach Edwarda.

Nie ukrywał, że cieszy się, mając swoją małą dziewczynkę znowu dla siebie i szybko układał w głowie plan. Jeden telefon do prawnika powinien załatwić natychmiastowe unieważnienie małżeństwa, a potem wyśle Reese na piękne wakacje, żeby po tym wszystkim odpoczęła. Niech weźmie Lane i niech j adą na Bermudy, wykorzystując kupione już bilety na miesiąc miodowy. A potem mech wraca do domu, gdzie jej miejsce. Jeśli zaś chodzi o Travisa Petersona, wyleci z banku i z pracy tak szybko, że nie zdąży się nawet obejrzeć.

Reese nie chciała nigdzie jechać. Była zrozpaczona, urażona i zdecydowana odesłać każdy prezent ślubny. Było ich całe mnóstwo, wypełniały niemal całą jadalnię, leżały na ogromnym stole i na podłodze. Lane i Peyton pomogły jej pisać krótkie, wyjaśniające liściki.

Kiedy ciało Travisa znaleziono kilka dni później w rzece, Reese wypłakała całe morze łez, chociaż płakała już od tygodnia. Travis gdzieś zniknął, gdy powiedziała mu, że wszystko skończone, i gdy zdał sobie sprawę, że mówi poważnie. Nikt nie wiedział gdzie jest i nikt



się o niego nie martwił. Dopiero, gdy Lane wystąpiła do banku o wypłatę pieniędzy z jej funduszu powierniczego, wyszło na jaw, że Travis ją okradł. Po spadku po rodzicach, którzy skrzętnie oszczędzali i inwestowali, aby ich córka miała bezpieczną przyszłość, nie było śladu. Tak jak i po Travisie. Bank doszukał się wielu niezgodności, również w innych funduszach, za które był odpowiedzialny. Okazało się, że ten padalec, w ubraniach od Ralph Laurena, kradł, oszukiwał i malwersował niemal od pierwszego dnia, kiedy zatrudnił go Edward Burton.

Jak się okazało, wiele osób mogło sobie życzyć śmierci Trávisa. Pan Burton musiał wyrównywać niedobory z własnej kieszeni.

Ciało Trávisa leżało w wodzie przez kilka dni. Zidentyfikowało go kilka osób, więc Reese nie musiała oglądać jego potwornej, napuchniętej twarzy. Travis został adoptowany jako dziecko i oszołomieni, nieszczęśliwi ludzie, którzy byli jego przybranymi rodzicami nie potrafili powiedzieć nic, co mogłoby rozwikłać zagadkę. Stali przerażeni, patrząc na niego z niedowierzaniem. Nie mogli pomóc. Syn nie odwiedzał ich od ponad roku. Powiedział Reese i Edwardowi, że jego rodzice nie żyją, że oprócz nich nie ma żadnej rodziny.

Kiedy policja przybyła aby przeszukać dom Burtonów w celu, jak stwierdzono, prześledzenia jego ostatnich ruchów, Edward powściągnął swoje rozdrażnienie spowodowane naruszeniem jego prywatności. Grzecznie współpracował, chodząc z policjantem prowadzącym śledztwo po wielkim domu. Był nim Dean Collins, uroczy blondyn, którego Lane, Reese i Peyton znały z lat szkolnych.

Sekcja wykazała, że Trávisa uderzono w głowę, ale śmierć spowodowało przedawkowanie środka przeciwbólowego. Kiedy Dean znalazł taki sam lek w sypialni Lucille, jak również spinkę do koszuli pasującą do tej, którą znaleziono przy Travisie, orzekł, że musi ją zabrać na przesłuchanie.

Wtedy Edward stracił zimną krew.

- Lucille jest naszą gospodynią, wiesz o tym, Dean. Pozbierała pewnie te rzeczy poprawiając po sprzątaczkach. Jestem przekonany, że to można szybko wyjaśnić.

- Na siedzeniu w pani samochodzie jest plama, pani Richards - powiedział Dean do Lucille - mała plamka, ale nie sądzi pani, że badanie kodu DNA, doprowadzi nas do Trávisa Petersona?

- Nie gadaj bzdur! - krzyknął Edward Burton.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Lucille, która przez chwilę się nie odzywała. Potem zwróciła się ku Edwardowi z tymi słowami:

- Travis uczynił z życia Reese piekło. Ktoś musiał z tym coś zrobić.

Odwiedzanie w więzieniu matki oskarżonej o morderstwo doprowadziłoby niejedną z nas do łez. Peyton Richards natomiast była zgorzkniała i wściekła.

- Nie rozumiem dlaczego, mamó - powiedziała ze złością.

Lucille była spokojna, słaba, potwornie zmęczona, ale na szczęście dla jej córki spokojna. Lucille zrobiłaby dla Peyton absolutnie wszystko.

- Travis powiedział mi, że zamierza szantażować Edwarda - wyjaśniła niechętnie.

- Szantażować? Dlaczego?

Lucille wpatrywała się w swoje spodnie, nie chcąc spojrzeć Peyton prosto w oczy. - Chodzi o... prywatne sprawy, o których Travis się dowiedział.

Peyton zaczynało brakować cierpliwości. Nie mogła pojąć jak taka sprawa mogła doprowadzić jej subtelną matkę - w większości przypadków zbyt subtelną, kiedy to pozwalała wchodzić sobie na głowę - do morderstwa.

- Po co Travis miałby z tobą o tym rozmawiać? - zapytała.

- Bo przyszedł do domu i czekał na Edwarda. Był pijany i dużo gadał. Powiedział, że posiadając tą informację pozostanie mężem Reese tak długo, jak mu się to będzie podobało, bez względu na to, co Edward myśli na ten temat.

- Jaką informację? - spytała Peyton.

- Nie planowałam morderstwa - mówiła poruszona. Wydawało się, że z trudem zbiera myśli. - Miał przy sobie dokumenty, które mogły wyrządzić wiele zła, więc chciałam mu je odebrać, to wszystko.

Jeśli Peyton chciała poznać prawdę, musiała uzbroić się w cierpliwość.

-1 co zrobiłaś - zapytała.

- Travis poprosił o drinka, a ja przypomniałam sobie, że twoja przyjaciółka, Lane, miała jakieś pigułki na sen, które przywiozła z Nowego Yorku, więc rozpuściłam je w jego szklance. Myślałam, że natychmiast uśnie.

Wtedy Peyton oświeciło. Przeczynała co się dalej stało.

- Ale nie usnął?

- Nie, nie usnął. Musiałam pozbyć się go z domu, więc powiedziałam, że Edward czeka na niego w barze, w którym pracujesz. Wiedziałam, że bar był zamknięty, ale miałam nadzieję, że straci świadomość zanim tam dotrze, więc pojechałam za nim.

-1 widziałaś jak go uderzyłam? - zapytała cicho Peyton.

Była w barze sama, podliczała kasę. Należało to do jej obowiązków, ale nigdy nie powiedziała matce dlaczego musi zostawać trochę dłużej w pracy, już po zamknięciu baru. Gdy usłyszała pukanie i zobaczyła Trávisa, pomyślała, że przyszedł do niej i wpuściła go. Ale on oświadczył jej, że zrywa romans. Nie chciała go uderzyć, ale pałka była tuż pod ręką, koło kasy pod ladą...

- Nie, tego nie widziałam. Zobaczyłam natomiast jak wywlekasz

to z baru i upychasz w bagażniku swojego samochodu, - powiedziała Lucille drewnianym głosem.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Wtedy i tam?

- Że go otrułam? Nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, a już napewno nie ty, kochanie. Co byś o mnie pomyślała...

- Pozwoliłaś abym myślała, że to ja go zabiłam!

- Aż do tej chwili nie wiedziałam, że go uderzyłaś. Nigdy nikomu o tym nie mów, Peyton. Obiecuj mi...

- O, Boże, mam! Zwaliałabyś winę na mnie!

- Nie, Peyton, kochanie. Ja ciebie chroniłam. Wyjęłam ciało Tra-visa z twojego samochodu, dowlokłam go do rzeki i zepchnęłam do wody.

Nigdy, nigdy nie pozwoliłabym ci cierpieć,

- Daj spokój - Peyton patrzyła na nią z odrazą. - Travis zagrażał Reese i Edwardowi. To nie miało nic wspólnego ze mną. Zawsze twierdziłam, że dla Reese jesteś gotowa zrobić wszystko, nawet zabić.

Matka szukała wzrokiem jej oczu. - Nie zrobiłam tego dla niej - powiedziała cicho Lucille. - Zrobiłam to dla ciebie.

- Dla mnie? Co za bzdura!

- To prawda, Peyton. Travis, szukając gotówki, ukradł z sejfów pewne papiery Edwarda. Edward obiecał, że jeżeli nigdy nikomu nie powiem prawdy, zostawi ci pieniądze w testamencie. Tam był dokument, który oboje podpisaliśmy...

- Jakiej prawdy? - przerwała Peyton ze złością.

Lucille wciągnęła głęboko powietrze. - Że jest twoim ojcem. Szok był tak wielki, że Peyton stanęły w oczach łzy.

- Moim ojcem? Edward Burton jest moim ojcem?

Lucille wyciągnęła ramiona, aby objąć swoje dziecko, ale Peyton odsunęła się. Była zaskoczona, czuła ból, a w głowie szumiało jej od pomysłów jak będzie mogła się zemścić.

Edward Burton lubił przytaczać stare powiedzenie o swoim mieście: „Jeżeli pojedziesz do Atlanty, pierwsze o co cię zapytają, to twój zawód, jeśli znajdziesz się w Charleston, zapytają cię, co robi twoja rodzina. Tu, w Savannah najpierw pytamy czego się napijesz.”

Jedną z nieruchomości, które do niego należały była „S. S. Savannah”, pływająca restauracja, nazwana tak na cześć pierwszego parowca, który przebył ocean. Restauracja zakotwiczona była mniej więcej w miejscu, skąd wypłynęła oryginalna Savannah i dumnie nosiła jej imię. Na tym podobieństwa się kończyły, chyba że na oryginale była sala do gier o wysokie stawki.

Edward uwielbiał, gdy jakiś sprytny przybysz chciał sobie uciąć małą grę w pokera. Tom Massick był właśnie takim człowiekiem. Chętnie wszedł i wobec pieniędzy i piękną kobietą o imieniu Veronika, co bardzo przypadło do gustu Edwardowi.

Pewnego popołudnia Edward spotkał się z Tomem, aby ustalić szczegóły wieczornego spotkania. Wcześniej poprosił go, aby przyprowadził Veronikę, więc siedzieli sobie w trójkę sącząc wódkę z tonikiem, kiedy pojawiła się Reese.

- Cześć, tato - nachyliła się, żeby go pocałować i spojrzała na muskularnego młodego człowieka i niezwykle seksowną, starszą od niego kobietę. - Przepraszam, że przeszkadzam.

- Nic nie szkodzi. To Tom i Veronika Koslowsky, a to moja córka, Reese. Czyż nie jest śliczna?

-Tato!

- Tak, jest piękna - poważnym tonem rzekł Tom Massick, łagodząc zażenowanie Reese.

- Tom, powinniśmy już iść - odezwała się dyplomatycznie Veronika.

- Tak. Do zobaczenia jutro, przy pokerze - rzekł Tom i zwracając się do Reese dodał: - Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy, panno Burton.

- Dziękuję - odpowiedziała. Miał bardzo miły uśmiech.

Gdy wyszli, Edward skupił całą uwagę na córce. Miała na sobie ładną czerwoną sukienkę, która byłaby zbyt krótka, gdyby nie grube rajstopy w szkolnym stylu. Jej blond włosy, tak podobne do włosów matki, spływały kaskadą na ramiona, wprawiając go w zachwyt.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytał.

- Obiecuj, że nie będziesz wściekły.

Edward uśmiechnął się. Często tak właśnie zaczynała ich rozmowy, które zazwyczaj wiodły do przyznania się, że wydała zbyt dużo albo wgniotła błotnik.

- Obiecuję - powiedział jak zwykle. O co chodzi? Zrujnowałaś mnie kupując nowe ciuchy?

- Nie, tym razem to poważna sprawa. Tato, chciałabym zamieszkać w domu, który mi dałeś. Chcę znaleźć pracę i być samodzielną. Mam dwadzieścia trzy lata i... myślę, że przyszła na to pora.

- Pora na co? Na to, żebyś sama siedziała w domu? Dlaczego nie weźmiesz ze sobą Lane, a może i Peyton, i nie pojedziecie na Bermudy, jak mieliście to zrobić z Travisem? Odpoczęłybyście sobie.

- Ja nie chcę odpoczywać, tato. Chcę zrobić coś ze swoim życiem, Potrzebuję jakiejś pracy, chcę sama na siebie zarabiać,

Nie wierzył własnym uszom. - Pracy! Pracy! I co byś robiła? Czy ty w ogóle masz pojęcie ile cię to będzie kosztowało?

- No cóż, nie spodziewam się, że od razu poprowadzę korporację, ale gdzieś mogłabym zacząć. Poradzę sobie z jakąś pracą.

Edward postanowił całą rozmowę obrócić w żart. Zdawałaś ma-

ture z sztuki - przypomniał jej. - Nie, żeby to było praktyczne zajęcie.

- Z historii sztuki.

- Nie martw się o pracę, złotko. Zajmę się tym.

- Zajmowałeś się moimi sprawami przez całe moje życie. Wiem, że nadal chcesz to robić, aleja wreszcie chcę zająć się sobą sama.

Edward wybuchł. - Czy to Lane namieszała ci w głowie? Zawsze uważałem, że nic dobrego nie wyniknie z tego, że młoda dziewczyna wyjeżdża z Savannah do Nowego Yorku. Po co to, do diabła? Posłuchaj, Reese, to, co chcesz robić a to, co możesz, to dwie różne rzeczy. Jeśli karierę będziesz wybierała tak jak męża, to myślę, że będzie lepiej, jeżeli ja nadal będę płacił twoje rachunki.

- Poradzę sobie z pracą - upierała się.

- Jeśli naprawdę tego chcesz - w porządku. Możesz pracować dla mnie w banku. Przychodź jak masz ochotę, zarób sobie trochę. Dam ci biuro, możesz je sobie urządzić jak ci...

- Ty nic nie rozumiesz, tato. Obawiam się, że nigdy nie zrozumiesz. Dziękuję za ofertę, ale nie przyjmę jej.

Schodząc z łodzi zastanawiała się, co mogłaby robić. Na początku coś skromnego. Nie miała żadnej praktyki, a nawet jeśli posiadała jakieś umiejętności, to sama o nich jeszcze nie wiedziała. Była natomiast zdecydowana ciężko pracować, Jeśli ktoś da jej szansę, będzie robić wszystko.

Peyton zadzwoniła z budki telefonicznej, ponieważ nie chciała, aby ktokolwiek podsłuchał jej prywatną *rozmowy* z tatusiem. Telefon zadzwonił dwa razy, nim przypomniał sobie, że służąca miała tego wieczoru wychodne i sam podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, panie Burton. Mówi Peyton.

- O co chodzi, Peyton? Jestem bardzo zajęty. Słyszała głośno grający telewizor.

- Mam wiadomość od matki. Obiecałam jej, że pana zapytam.

- Słucham, o co chodzi?

Nawet nie przyciszył telewizora, choć oglądał jakiś mało ważny mecz.

- Chciałaby się z panem zobaczyć - Peyton czekała na odpowiedź, zastanawiając się nad sformułowaniem życzenia matki.

- Przykro mi, nie sędzę, żeby to pomogło w jej sprawie ani było dobre dla kogokolwiek z nas. Bardzo mi żal Lucille i jeśli potrzebuje pieniędzy...

„Pieprz się i twoje pieniądze, ojczulku”.

- Oczywiście, rozumiem. Powiem jej i jestem pewna, że i ona zrozumie. To była tylko taka propozycja.

- Cieszę się, że pojmujesz mój punkt widzenia. Do widzenia, Peyton...

- Panie Burton, niech pan nie odkłada jeszcze słuchawki. Nie wiem jak to powiedzieć, ale chciałabym przyjść do pana i porozmawiać. I to dziś wieczorem.

- Dziś? Przykro mi, ale...

- Słucham? Nie dosłyszałam pana przez ten hałas - to musi być fascynujący mecz. Panie Burton, nie prosiłabym gdyby to nie było naprawdę ważne.

- Wolałbym, abyś jutro umówiła się przez moją sekretarkę - powiedział oschłym tonem.

- Zrobiłabym tak, gdyby nie było to takie pilne i natury... osobistej. Widzi pan, słyszałam, że zamierza pan startować w wyborach na senatora... Nie mogę mówić o tym przez telefon.

Gdzie u diabła mogła o tym słyszeć? Rozmawiał tylko ze swymi doradcami i z Veroniką. Edwarda przejął zimny dreszcz pomimo og-



nia na kominku,. Musi uciszyć te gówniarę, nawet jeśli musiałby jej zapłacić.

- W porządku - powiedział - może o dziewiątej?

- Na pewno przyjdę. Dziękuję bardzo - dodała wiedząc, że i tak nie dostrzeże sarkazmu.

Gdy zegar wybijał umówioną godzinę, stanęła w drzwiach. Trzymała w ręku butelkę jego ulubionego bourbona. Wręczyła mu ją nieśmiało.

- Pamiętam, że to pana ulubiony - powiedziała.

- To miło z twojej strony - odpowiedział.

Wziął od niej butelkę i poprowadził ją do gabinetu, mijając salon, który bardziej nadawał się do spotkań dobroczynnych niż do kameralnych spotkań.

Zasiadł za swoim biurkiem sądząc, że oddzielający ich szeroki mahoniowy blat zapewni formalny ton rozmowy.

- Nie proponuje mi pan drinka? - zapytała.

- Zapominam, że już jesteś dorosła - odpowiedział. Podszedł do bogato zaopatrzonego barku, aby zrobić drinki. - Masz rację, to jest mój ulubiony alkohol.

- O nie, ja dziękuję! - wykrzyknęła, gdy zaczął nalewać bourbona do dwóch szklanek. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Przerzuciłam się na whisky - wyjaśniła. Nie dodała, że w bourbonie rozpuszczone są proszki nasenne.

W miarę jak Edward robił się coraz bardziej senny, choć próbował z tym walczyć, Peyton rozluźniała się.

- Widzę panie Burton, że chce się panu spać. Zdaje się, że zbyt długo siedzę.

- Nie wiem co się ze mną dzieje. To chyba ten ogień na kominku i zamknięte okna. Możesz otworzyć jedno, Peyton?

- Myślę, że powinien pan iść na górę. Pomogę panu, jeśli trzeba.

- Nie... nie... Wszystko... w porządku. Do licha, oczy same mi się zamykają...

- Niech się pan jeszcze napije bourbona. To czasami orzeźwia. Gdy obudził się rano w bieliźnie, rozciągnięty na swoim łóżku, znalazł majtki Peyton na poduszce. Na twarzy miał ślady jej szminki. Oprócz tego miał gigantycznego kaca. W międzyczasie Peyton dowiedziała się wielu interesujących rzeczy przejrzawszy jego pocztę.

W ciągu tygodnia Tom Massick wygrał (oszukując) „S. S. Savannah” od Edwarda, który chętnie się jej pozbył, jako że od dłuższego już czasu przynosiła straty.

W ciągu tego samego tygodnia Reese znalazła pracę w restauracji jako kelnerka. Przeprowadziła się do domku, który umeblowała i urządziła już wcześniej. Doszła do wniosku, że jedyne sprząty, które jej się nie podobają to te, które wybrał Travis.

- To powinno dać ci do myślenia - powiedziała Lane. Piły kawę w małej, jasnej kuchence wychodzącej na bogactwo czerwonych, różowych i białych krzewów kamelii.

- Pewnie - zgodziła się Reese. - Szkoda mi Trávisa, ale wcale za nim nie tęsknię. Bardziej żałuję Lucille. Zastanawiam się czy powiedziałam albo zrobiłam coś, co przywiodło ją do tego. Byłam tak nieszczęśliwa, a ona tak się o mnie martwiła...

- Nie sądzę żeby normalni ludzie zabijali z racjonalnych powodów - zdecydowanie powiedziała Lane. - W tym co zrobiła Lucille, nie było twojej winy.

- Wiem, że masz rację. Ale biedna Lucille! I jak okropnie musi czuć się Peyton...

- Tak, ale musisz żyć dalej, Reese. I ja też.

- Podoba mi się niezależne życie, ale naprawdę cieszę się, że tu jesteś, Lane. Szkoda, że musisz wracać do Nowego Yorku, chciałabym abyśmy razem mieszkali w tym domu. Mogłabyś znaleźć pracę w Savannah, może w Sun albo w Dispatch.

- Byłoby świetnie - westchnęła Lane. - Mówiąc szczerze, teraz, gdy straciłam swój fundusz powierniczy, wcale nie mam ochoty wracać. Poza tym...

- Poza tym co?

- Nic takiego.

Reese wstała by przynieść kawy. Napełniła filiżanki i usadowiła się wygodnie do dalszej rozmowy.

- Czy chodzi o Terry'ego?

- Nawet o nim nie pomyślałam odkąd...

- No mów, Lane! Odkąd co?

- Odkąd znów zobaczyłam Deana Collinsa. Lane zarumieniła się. Było jej wstyd, ale musiała podzielić się swoimi uczuciami bo inaczej chyba by zwariowała.

- Dean jest teraz gliniarzem. Słyszałam, że wkrótce ma awansować na detektywa. Między wami zdaje się coś było w szkole, prawda? Ale Lane, on ma żonę i małe dziecko!

- Wiem o tym. Właśnie dlatego uważam, że powinnam wyjechać z miasta.

- Co? Przez faceta musisz opuścić własny dom? Lane, jesteś gorsza nawet ode mnie. Trzeba stanąć na własnych nogach. Co o tym myślisz?

- Ja nie przez niego wyjeżdżam, Reese. On nawet nie wie, że ja nadal coś do niego czuję. Do diabła, sama o tym nie wiedziałam dopóki znów go nie zobaczyłam. Ale jest żonaty.

-1 ma dziecko. -Tak...

- Bez sensu.

Piły kawę w milczeniu. Myślały o sytuacji, która nagle wydała im się idiotyczna.

- Masz rację, Reese. Jestem dorosłą kobietą i nie muszę wyjeżdżać z miasta tylko dlatego, że ktoś, w kim się podkochiwałam pięć lat temu, jest w pobliżu.

- Cudownie! Możemy tu mieszkać razem, są trzy sypialnie, a dom jest właściwie kompletnie urządzone. Trudno uwierzyć ile czasu i pieniędzy poświęciłam na zrobienie tego wszystkiego. Zamieszkaś ze mną, Lane?

- Pod warunkiem, że pozwolisz mi płacić uczciwą część rachunków.

- Obawiam się, że nie masz wyjścia, kochanie. Nie poradzę sobie sama, mając do dyspozycji tylko pensję i napiwki, a zdecydowałam się nie korzystać z kart kredytowych dopóki sama nie zarobię jakichś pieniędzy.

- To dobrze, Reese. Nigdy nie myślałam, że będziemy jechać na podobnym finansowym wózku. W takim razie trzymaj za mnie kciuki - muszę jak najszybciej znaleźć pracę.

- Lane, a co byś powiedziała gdybyśmy zamieszkały razem z Peyton? Życie w trójkę jest tańsze niż w dwójkę.

- Pewnie! Jak za dawnych dobrych czasów. Zdaje się, że ona też pracuje teraz w restauracji na wodzie?

- Tak. Stoi za barem.

- Wspaniale. Jeśli nie uda mi się dostać pracy w Dispatch, może i ja do was dołączę.

Tak się jednak nie stało. Redaktor naczelny był energicznym, łysejącym mężczyzną. Podwijał rękawy u koszuli, pokazując zrobione przed laty tatuaże. Był prawdopodobnie po pięćdziesiątce.

Na jego biurku, pomiędzy tysiącem drobiazgów stały fotografie

kobiety i trzech miłych dzieciaków. Mówił dość ostrym tonem i здаwał się robić jej łaskę, poświęcając cenny czas na rozmowę z nią.

- Czy ma pani pojęcie ile podań o pracę dostaje? I to z całego kraju, ludzie chcą być przyjęci na próbę. Przysyłają referencje z najlepszych szkół dziennikarskich, a niektórzy z nich mają spore doświadczenie. A Mimo to chętnie przyjęliby pracę w miasteczku takim jak to. A wie pani dlaczego? Bo w całym kraju gazety plajtują, ot co! Doświadczeni reporterzy błagają o pracę w przyzwoitym miejscu jak nasze wspaniałe miasto. Świetnie się tu mieszka, a gazeta ma swoją etykę i rozchodzi się w dużych nakładach. Dlaczego wobec tego miałbym panią zatrudnić?

Lane mogła skurczyć się na fotelu albo wybiec z pokoju, wiedziała jednak, że nadaje się do tej pracy i wystarczająco mocno jej pragnie, żeby o nią walczyć. Odpowiadała zatem spokojnym, pewnym siebie głosem, jak profesjonalistka, nie dając się złapać na haczyk (taką przynajmniej miała nadzieję).

- Bo urodziłam się i wychowałam w Savannah, i potrafię rozmawiać z tutejszymi ludźmi. Wiem, jak się tu poruszać, a mieszkańców znam na tyle, że w razie czego będę mogła włożyć stopę między drzwi. Ludzie mnie znają i ufają mi. Poza tym otrzymałam solidne wykształcenie. Nie mam zbyt wiele doświadczenia, ale pan też nie miał kiedy pan zaczynał. Nie chcę, aby pan myślał, że jestem zarozumiała, ale sam pan zapytał dlaczego miałby mnie zatrudnić.

- Świetnie - powiedział naczelny, uśmiechając się i odchylając do tyłu na krześle - nie boi się mnie pani. Czy w ogóle boi się pani czegokolwiek?

Lane odprężyła się i uśmiechnęła. - Śmierci głodowej - przyznała.

- Była kiedyś pani na posterunku policji? - zapytał.

- Tak, w Nowym Yorku. Włamano mi się do mieszkania i poszłam o tym zameldować.

- Czy to panią wystraszyło?

Dlaczego wciąż o to pytał? - Nie - powiedziała.

- Co by pani powiedziała na pracę w rewirze policyjnym? - Wzrok spoza okrągłych okularów w metalowych ramkach przeszywał ją jak promienie lasera.

Próbowała nie myśleć o pewnym policjancie, którego za wszelką cenę chciała unikać. - Poradzę sobie z tym - odpowiedziała.

Wyglądał jakby przez chwilę ją jeszcze sądował, po czym wstał i wyciągnął dłoń nad zagrożonym biurkiem. Lane pomyślała, że jednak została odrzucona. Serce jej zamarło gdy ścisnął jej dłoń.

- Witam w Dispatch - powiedział. - Na razie na próbę. Myślę, że poradzi sobie pani doskonale. Jest pani energiczna i sprytna, i wystarczająco ładna, żeby zdobyć informacje tam, gdzie nie chcą ich dawać. Taką mam przynajmniej nadzieję, zobaczymy. Tymczasem ma pani szansę się wykazać. Praca policyjna - oficerowie za biurkiem, patrole, akta sądowe co ciekawszych spraw. Czasem będzie musiała pani przeprowadzić wywiad z nieszczęśliwą rodziną ofiary nagłego wypadku. Da pani radę?

- Tak, proszę pana.

- Stawki związkowe, sześciomiesięczny okres próbny, czasem nazwisko nad artykułem, czasem wysiłek grupowy. W porządku?

- Tak jest, proszę pana - odpowiedziała uszczęśliwiona.

- To dobrze. Już może pani przestać ścisnąć mi rękę. Mów mi Carl. Idź teraz poszukaj łysego faceta, który ma na imię Hank - da ci biurko i komputer. Urządź się i bądź na zebraniu wydawniczym punktualnie o trzeciej.

- Dostałam pracę! - powiedziała po raz pierwszy dzwoniąc ze swojego telefonu do Reese.

- Cudownie! Wiedziałam, że tak będzie. Wychodzi na to, że twoje miejsce jest w Savannah.

- Mam napisać artykuł o pracy w policji - powiedziała cicho.

- Brzmi interesująco - odpowiedziała Reese.

Lane milczała, aż wreszcie do Reese dotarło. - O nie! Zdaje się, że będziesz często widywała pewnego kapitana, którego obie znamy.

- Na to wygląda. Ale to nie jest jeszcze pewne. Sama nie wiem.

- Już teraz wydajesz się zdezorientowana - współczuła jej Reese.

- Poradzę sobie z tym - już drugi raz w ciągu godziny powtórzyła Lane. Miała głęboką nadzieję, że się nie myli.

Edward, zaprzeczywszy, że jest ojcem Peyton, otrzymał nakaz sądowy wzywający go do przeprowadzenia badania krwi wykluczającego ojcostwo. Nie widział w tym problemu. Któżby stawiał słowo gospodyni oskarżonej o morderstwo wyżej jego słowa? Był znaczącym człowiekiem, z wpływami i pieniędzmi, za które można kupić opinię specjalisty od genetyki. Tak przynajmniej sądził. Tymczasem ludzi nie kupuje się już tak, jak to dawniej bywało.

- Zgodnie z raportem, który leży przede mną - powiedział poważnym tonem sędziego - test DNA potwierdza, że Edward Burton jest ojcem Peyton Richards,

Wizje dolarów tańczyły przed oczami Peyton, podczas gdy łzy wzruszenia stanęły w oczach Reese. Odwróciła się ku Peyton i po chwili wahania, czując na sobie wzrok ojca, uściśnęła swoją nowo odnalezioną siostrę. Edward wpatrywał się w swojego adwokata.

Reese i Peyton opuściły salę sądową razem i szły korytarzem, kiedy usłyszały kroki Edwarda.

- Reese, Reese, kochanie, poczekaj!

Peyton chciała się zatrzymać, choćby po to, żeby usłyszeć co stary łajdak ma do powiedzenia, ale Reese schwyciła ją mocno pod ramię i szła naprzód. Edward musiał biec, aby je dogonić.

Schwycił Reese pod drugie ramię. - Przepraszam, kochanie - powiedział.

Reese zatrzymała się i spojrzała na niego z furją. - Za co przepraszasz? Za to, że Peyton jest twoją córką, czy za to, że miałeś romans z Lucille? A może za to, że przez całe życie mnie okłamywałeś, albo za to, że się o tym dowiedziałam?



- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić - kajał się.

- Niestety, nie wyszło ci - odpowiedziała Reese. Próbowała zachować zimną krew. ale emocje wzięły nad nią górę,

- Dziecko, proszę cię, spróbuj zrozumieć - błagał Edward. - Pozwól, że ci wyjaśnię...

- Niestety, im więcej rozumiem, tym mniej cię lubię.

- Nie mów tak do mnie. Jestem twoim ojcem!

Reese odwróciła od niego wzrok. - Nie przypominaj mi o tym - powiedziała. Puściła ramię Peyton i sama poszła w dół korytarza. Edward patrzył za nią w rozpacz.

- Cóż, tatuśku, wygląda na to, że zostaliśmy we dwoje. Nie uściśniesz mnie? - powiedziała Peyton.

Wyminął ją bez słowa, czym Peyton bynajmniej się nie przejęła.

Reese była podenerwowana - był to pierwszy dzień w pracy i musiała udowodnić, że sobie poradzi. Miała na sobie wykrochmalony, trochę za duży na nią fartuszek. Wcześniej nigdy nie nosiła nic wy-krochmalonego. Na głowie miała sterczący kapelusik, a włosy związała do tyłu, w koński ogon, tak jak robiły to inne kelnerki.

Próbowała wszystko spamiętać, ale przecież nigdy w życiu nie nakrywała do stołu, nie mówiąc o serwowaniu dań. Ludzie wciąż o coś prosili, ktoś narzekał na brak pieprzu wśród przypraw na stole, trzy zamówienia musiała zabrać z powrotem do kuchni bo były albo za zimne, albo za gorące, albo nie dosmażone. Przy ostatnim zwrocie była trochę roztargniona. Zapomniała przez szybkę w drzwiach spojrzeć do kuchni, z której właśnie wychodził kelner niosący na tacy dużą butelkę szampana i dwa zmrożone kieliszki. Naturalnie zderzyli się ze sobą i zawartość tacy rozbiła się o podłogę. Był to bardzo dobry i bardzo drogi szampan, ale nikt nie winił Reese, za wyjątkiem

jej samej. Życie toczyło się dalej, a Reese biegnąc między kuchnią a salą próbowała nie zapominać, aby każdego powitać, jakby naprawdę była zadowolona, że go widzi. Miała wrażenie, że zaczyna nabierać wprawy, przynajmniej w byciu gościnną gospodynią - przyszło jej to naturalnie, bo urodziła się w Savannah.

- Dobry wieczór. Życzą sobie państwo drinka? - Para, która właśnie przybyła zasiadła przy jednym z lepiej usytuowanych stolików. Reese uśmiechnęła się ciepło i przybrała profesjonalny, kelnerski ton.

Całkowicie jednak straciła rezon, gdy siwy mężczyzna spojrzał na nią. Po prostu nie spodziewała się, że ojciec znów przyjdzie do restauracji na wodzie, zwłaszcza teraz, kiedy ona tu pracowała. Był z tą seksowną kobietą, Veroniką, której strój pasował raczej do Las Vegas niż do miasteczka w Georgii.

Edward jak zwykle był opanowany. - Veroniko, znasz moją córkę, Reese - powiedział miłym głosem. Zbyt miłym, - A ja się bałem, że nigdy nie znajdziesz pracy, która odpowiadałaby twoim talentom - kontynuował z uśmiechem.

-Tato...

Zwracając się wyłącznie do Veroniki, Edward był wciąż czarujący. - Wysłałem ją do prywatnej szkoły, a ona została kelnerką. Możesz sobie wyobrazić jaki jestem dumny?

- Pójdę przypudrować nos - powiedziała Veronika. Była, trzeba jej to przyznać, zażenowana.

- Przepraszam, Veroniko - rzekł Edward wstając uprzejmie. - Nie zamierzałem wciągać cię w rodzinne problemy.

Parsknął nieprzyjemnym śmiechem. - Ale kto mógł wiedzieć, że moja córka będzie tu podawać do stołu, skoro jeszcze dwa tygodnie temu mogła odziedziczyć to miejsce i dużo, dużo więcej. Jakie to smutne...

- Będę dość długo pudrowała nos - powiedziała pośpiesznie Veronika, rzucając ukradkowe spojrzenie na rumieniącą się Reese.

Pozostawiła ich samym sobie ruszając w kierunku toalety i wtedy spostrzegła Toma Massicka, który obserwował scenkę rodzinną stojąc przy barze.

- Podnieca cię to, prawda? - zapytała swego byłego współnika. Tom roześmiał się. - Bardziej niż przypuszczasz. Co tu robisz z Edwardem Burtonem?

Veronika spojrzała na niego z zaczepnością z czasów kiedy byli jeszcze parą - parą oszustów. Dziś miała jednak szczerą nadzieję, że skończyła z tym na dobre.

- To dopiero zagadka, co? - uśmiechnęła się do Toma. Dlaczego miałabym spotykać się z seksownym i bardzo bogatym mężczyzną? - minęła go ze śmiechem, unosząc wysoko głowę, tak by dobrze widział jej nowy naszyjnik z szafirów i szmaragdów.

Gdy wróciła do stolika zauważyła, że Reese zniknęła, a Edward siedział sztywno, zimny jak lód. Była to ostatnia rzecz jakiej potrzebowała tego wieczoru.

- Dobrze się czujesz, Edwardzie? - zapytała troskliwie.

Nie zaczął nawet by usiąść, tylko zerwał się na równe nogi i zaproponował że kolację zjedzą gdzie indziej.

Tom widział jeszcze jak wychodzili, po czym poszedł do kuchni, gdzie znalazł Reese, którą pocieszała Peyton Richards i Lane MacKenzie.

- Tak mi wstyd - powiedziała do niego Reese. Miała czerwone oczy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Czy jestem zwolniona? - głos jej się łamał.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie czuję się świetnie - powiedziała i uśmiechnęła się blade.

Otarła oczy, obciągnęła krótką spódniczkę, poprawiła włosy i poszła odebrać kolejne zamówienie.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieć takiego ojca - powiedziała Lane.

- Biedna Reese - zgodziła się Peyton. „Pewnie - dodała już w myślach -ja wcale nie miałam ojca”.

A Tom? Tom Massick myślał, że tak długo, jak Edwarda Burtona będzie denerwował fakt, że jego córka tu pracuje, tak długo Reese będzie mogła liczyć na tę posadę.

Po kolacji i kilku wódkach w Chart House, Edward jechał krętymi drogami do swego domu w Grimboll's Point, Księżyc świecił jasno, noc była mglista, a Veronika siedziała blisko niego, pachnąca dusznymi perfumami i trzymała dłoń na jego udzie. Zanim wjechał na podjazd, oboje byli już podnieceni i gotowi do miłości. Trzymała go na dystans przez wiele dni, ale teraz miało się to zmienić.

Problem polegał jedynie na tym, czy zdołają okiełznać swoją namiętność zanim dotrą do jego sypialni. Upadli na dywan wyścielający kręte schody, zrzucając buty, które potoczyły się w dół z łoskotem. Podnieśli się znowu, całując namiętnie, weszli pół piętra wyżej i zmysły wzięły nad nimi górę. Stało się to zbyt szybko, nawet nie miał czasu nałożyć prezerwatywy.

- O Boże, to niesamowite! Nie czułem się tak od lat. - powiedział schrypniętym głosem.

- Jesteś cudowny - wymruczała - mimo, że uderzyłam głową o stół.

Roześmieli się i nie dbając o porzucane ubrania poszli do sypialni, gdzie ich namiętność wkrótce znów zapłonęła płomieniem, który nie wygasł przez całą noc.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła Peyton schodząc na dół na śniadanie, była sukienka w gwiazdki, którą Veronika Koslowsky miała na sobie poprzedniego wieczoru w restauracji. Leżała zwinięta i wygnieciona na schodach między pierwszym a drugim piętrem.

Drzwi sypialni Edwarda były zamknięte, a w całym domu słychać było tylko codzienne krzątanie się służby, podgrzewającej posiłek dla pana, który zasnął.

„Łajdak” - mamrotała pod nosem przechodząc koło jego pokoju. Kopnęła błyszczącą sukienkę na bok, przestąpiła przez majtki i duży, koronkowy stanik rozrzucone na schodach. - „Nie śmiałyś robić czegoś takiego gdyby była tu moja matka” - myślała. - „Sprowadzać dziwkę do domu... Nie zrobiłbyś też tego, gdyby była tu twoja ukochana Reese”.

Przyszła pora, aby przyjąć propozycję Reese. Zamieszka razem z nią, dopóki nie znajdzie jakiegoś rozwiązania. Obecna sytuacja była nie do zniesienia. Została tu mając nadzieję, że wymyśli sposób, żeby zemścić się na Edwardzie za to, że całe życie ją zdradzał, ale...

Niemal przewróciła się o srebrny pantofelek. Nagle przyszło jej do głowy, że może dobrać się do niego przez Veronikę. Nadepnęła na but, z rozkoszą łamiąc delikatny obcas.

Dolatujący ją zapach świeżo parzonej kawy zaostrzył jej apetyt więc skierowała się ku jadalni. Nagle zatrzymała się w pół drogi. Było wcześnie, oni jeszcze spali i to prawdopodobnie mocno po pracowitej nocy. Nadarzała się wspaniała okazja, a Peyton nie należała do tych, które okazjom pozwalają wymykać się z rąk.

Weszła z powrotem na schody, zdecydowanym krokiem, przestępując tym razem buty i ubrania i skierowała się w stronę pokoju Edwarda. Przystawiła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Cisza.

Peyton położyła delikatnie rękę na gałce. Wstrzymując oddech przekręciła ją. Ciężkie drzwi otworzyły się bezszelestnie i Peyton zajrzała do środka. Pokój był rozświetlony słońcem, ale dwie osoby leżące w nieprzyzwoitych pozach na ogromnym łóżu nie były świadome światła wlewającego się do sypialni, w której nikt nie zaciągnął zasłon. Zawsze to robiła dla Edwarda jej matka. On prawdopodobnie nawet nie wiedział jak się to robi. Ostatniej nocy zapewne nawet o tym nie myślał.

Patrzyła na nich podchodząc po cichu coraz bliżej. Oboje pochrapywali. Peyton zauważyła, że Edward miał mocno owłosione pośladki i zastanawiała się jak jej matka mogła kiedykolwiek mu ulec.

Przecież to pod każdym względem potwór... Musiała jednak coś zrobić i to jak najszybciej - obrzydliwa parka mogła się obudzić w każdej chwili.

Srebrna torebka Veroniki leżała na krześle. Peyton podniosła ją i zajrzała do środka, po czym wyjęła czarny portfelik, zamknęła cicho torebkę i odłożyła ją na miejsce.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła do swojego pokoju na trzecim piętrze. Przekręciła klucz w drzwiach, tak jak to zawsze robiła. W portfelu Veroniki było kilka dwudziestodolarówek, których nie tknęła, kilka kart kredytowych i prawo jazdy. Peyton wyjęła to ostatnie i wsunęła do tylnej kieszonki jeansów.

Wzięła książkę telefoniczną i poszukała hasła „Detektywi”. Zdumiewające, ile rodzajów detektywów istnieje i jak wieloma rzeczami się zajmują - od termitów do zaginionych osób, najczęściej jednak dyskretnym zdobywaniem dowodów w sprawach rozwodowych. Wybrała jedno nazwisko i wykręciła numer.

- McCarthy, prywatny detektyw - odezwał się męski głos.

- Czy rozmawiam z samym panem McCarthy? - zapytała słodko Peyton.

- Tak jest, proszę pani. Herman McCarthy, prywatny detektyw, do pani usług.

- Czy potrafiłby pan odnaleźć zaginioną osobę, gdyby miał pan tylko jej prawo jazdy? - spytała głosem małej dziewczynki, która chce wiedzieć.

- Naturalnie, proszę pani. To dziecinnie proste przy sieci komputerowej, jaką teraz dysponujemy. Miło mi będzie pani pomóc.

- He pan sobie liczy?

- Za godzinę, proszę pani. Ale to zajmie kilka minut. Minimalna opłata to godzina pracy czyli pięćdziesiąt dolarów.

- Będę u pana za parę chwil.

- Jak się pani nazywa?

- Czy musi pan to wiedzieć?

- Nie, niekoniecznie, ale jakoś muszę się do pani zwracać.

- Lubię sposób, w jaki mówi pan „proszę pani” - zachichotała, flirtując z nim nieco.

- Zatem w porządku. - Był zadowolony. Tacy zawsze są zadowoleni, jeśli dasz im do zrozumienia, że są wyjątkowi.

Musieli naprawdę zaszaleć ostatniej nocy. Stojąc przy schodach na drugim piętrze, Peyton rzuciła w dół portfel Veroniki. Wylądował koło wypolerowanego buta Edwarda. Nie była już głodna.

W ciągu pół godziny dotarła do biura McCarthy'ego. Urzędował w porządnej dzielnicy, na najwyższym piętrze budynku, który, jak się okazało, należał do Edwarda. Herman McCarthy nie był nikim

interesującym, ale widok z jego biura był piękny. Bardziej jednak intrygowało ją to, co może zobaczyć na ekranie komputera.

Wziął od niej prawo jazdy i gestem zaprosił aby usiadła, podczas gdy wystukiwał nazwisko i numer dowodu Veroniki. Peyton usiadła naprzeciwko i ponieważ nie widziała teraz monitora, dopytywała się niecierpliwie:

- Ma pan coś? Co pan znalazł? - od momentu gdy weszła do jego biura i zobaczyła go, zarzuciła styl słodkiej ślicznotki z południa. Wolałaby raczej dać mu te pięćdziesiąt dolarów niż umówić się z nim na kolację - w taki właśnie sposób robiąc w przeszłości „interesy” oszczędziła dużo pieniędzy.

- Uwielbiam komputery - odpowiedział McCarthy, patrząc w migający ekran. Nacisnął guzik i drukarka zaczęła pracować. - Kiedyś spędzałem całe godziny w instytucjach rządowych wyszukując informacje - kontynuował dumnie, jakby to on wymyślił to cholerne urządzenie. - Teraz mogę wszystko znaleźć dzięki tej klawiaturze.

- Znalazł pan coś? ~ spytała Peyton. Zaczynał ją denerwować. Wziął do ręki wydruk. - Oczywiście wrzuciłem kilka kilogramów odkąd przestałem tyle chodzić. No, ale coś za coś. Czekala.

Prywatny detektyw McCarthy zaczął odczytywać wydruk.

- Według tego co tu mamy, Veronika Koslowsky miała sześćdziesiąt sześć lat i zmarła cztery miesiące temu.

Wręczył jej stronę zawierającą zdjęcie siwej kobiety. Z pewnością nie była to Veronika!

- Może to była jej matka? - zasugerowała Peyton.

- Ta kobieta nie miała dzieci - czytał dalej McCarthy z monitora - a jej prawo jazdy odpowiada temu, które mi pani dała.

Peyton z trudem stłumiła uśmiech. - Wiedziałam, że to musi być oszustka! - powiedziała tryumfalnie.



- Chce pani, abym dalej zajmował się tą sprawą? - zapytał McCarthy.
- Chcę, aby sprawdził pan jej współnika w interesach. Nazywa się Tom Massick. Czy może pan to zrobić?
- Tak jest proszę pani.
- Całe przedsięwzięcie mogło okazać się droższe niż przypuszczała. - Proszę mi mówić Peyton - zaproponowała słodko - Peyton Richards.
- To niezwykle imię. Czy jest pani córką tej Lucille Richards, która odpowiada za zabicie chłopaka Andersonów?
- Jeśli to panu nie przeszkadza, panie McCarthy, wolałabym abyśmy trzymali się naszych interesów - odpowiedziała. Spojrzała na niego wzrokiem biednej, małej, doświadczonej przez los dziewczynki, która nie potrafi mówić o swoim nieszczęściu.
- McCarthy zmrużył oczy. Widział już taki numer wcześniej, ale nie mógł zaprzeczyć, że pociągała go kobieta, która zadawała sobie trud, aby wprowadzić go w błąd. Mógłby ją zaprosić na kolację i co najwyżej opuścić trochę cenę swoich usług, nie za dużo. Miała jednak rację - najpierw obowiązki, później przyjemność.
- Przyszło mi do głowy, że jeżeli potrzebowałabyś dobrego adwokata, mogę przedstawić cię jednemu z najlepszych młodych prawników w mieście.
- A któż to taki? - zapytała, zastanawiając się jaką działkę dostałby McCarthy, gdyby chwyciła przynętę.
- Brian Alexander.
- Brian Alexander! Naprawdę?
- Naprawdę. Mówiłem, że mam kogoś świetnego.
- Ależ on naprawdę jest najlepszy. Myślałam, że do niego nie można dotrzeć, a poza tym i tak nigdy nie mogłabym sobie na niego pozwolić. Moja biedna matka pewnie zgnije w więzieniu...

- Porozmawiam z nim w twoim imieniu, chcesz? Nigdy nie mów, że cię na coś nie stać dopóki nie spróbujesz.

- Byłabym bardzo wdzięczna gdyby porozmawiał pan z nim w imieniu mojej matki - szczebiotała Peyton. Zastanawiała się tylko jak bardzo będzie musiała być wdzięczna.

Dom Reese był naturalnie wspaniały. Jej drogi tatuś nie pozwoliłby, aby córka mieszkała w czymś gorszym niż piękny, duży, biały dom z zadbanym trawnikiem i wiekowymi drzewami wokół. Nie żałowano pieniędzy na urządzenie go, chociaż romantyczno-falbankowy styl nie przypadł Peyton do gustu. Ale co tam - cena była dobra, a przysięgła sobie, że nie spędzi ani jednej nocy dłużej pod dachem Edwarda Burtona.

- Wstaw rzeczy do mojego pokoju, skarbie. Na górze, drugie drzwi na prawo. - Peyton nagrodziła Deana Collinsa promiennym uśmiechem. Nie flirtowała z nim, byli kumplami od czasów szkoły. Tak po prostu rozmawiała z wszystkimi chłopcami - nie chciała wyjść z wprawy. Dean nigdy nie dał się na to złapać, dlatego w pewnym sensie zaskoczyło ją, gdy tak szybko zgodził się pomóc jej w przeprowadzce. Poprosiła go tylko dlatego, że miał pojemnego pickupa.

Gdy tylko przekroczyli próg domu Reese, Peyton domyśliła się o co chodzi. W pokoju Lane, ubrana w jeansy i podkoszulkę odkurzała dywan. Dean inaczej uchwycił jedno z pudeł Peyton, aby ją lepiej widzieć.

- Cześć. Świetnie wyglądasz - powiedział.

- Dzięki - Lane przekrzykiwała hałas odkurzacza.

Kiedy wszystkie pudła były już w środku, Peyton podziękowała słodko Deanowi i powiedziała: - A teraz zmykajcie oboje do kuchni. Lane zrobi ci mrożonej herbaty, obiecała mi.

Nawet jeśli Dean dostrzegł zdziwione i wściekłe zarazem spojrzenie jakie Lane rzuciła Peyton, udawał, że nic nie widzi.

I tym sposobem znaleźli się sami - czuli się w swoim towarzystwie tak samo dobrze, jak przed laty.

- Muszę zaraz wyjść na wywiad - rzekła szybko Lane.

- Czy zjesz ze mną dziś kolację? - zapytał Dean.

- Nie mogę.

- Masz jakiś powód?

- Znasz mój powód! Jesteś żonaty!

- I będę żonaty dopóki nie stwierdzą gdzie przebywa moja żona od tygodnia - powiedział. Wyciągnął z kieszeni wycinek z gazety.

-Przeczytaj to, co zaznaczyłem - poprosił.

- „Do Jean L. Collins. Niniejszym zawiadamiam, że wszczęte zostało postępowanie rozwodowe...” - spojrzała na niego. - Publicznie oświadczasz, że się z nią rozwodzisz?

Pokiwał głową. - Mój adwokat twierdzi, że to pierwszy krok.

Poczuła cierpienie w jego głosie. - Och, Dean, musisz to bardzo przeżywać. - Naprawdę mu współczuła.

Przytaknął. - Nikt nie lubi przegrywać, a moje małżeństwo z całą pewnością było pomyłką.

- Co się nie ułożyło? - zapytała Lane delikatnie. Wydawało jej się, że Dean ma ochotę porozmawiać o tym,

- Cokolwiek bym powiedział czy zrobił, nigdy nie mogłem zadowolić Jeannie - powiedział smutno.

- Dlaczego? Jesteś najmilszym człowiekiem jakiego znam.

- Chyba sądziła, że jej nie kocham. Twierdziła, że ożeniłem się z nią, aby zapomnieć i nigdy nie byłem w stanie przekonać jej, że było inaczej.

- Zapomnieć o czym?

- O tobie.

Savannah

Lane była zaszokowana. - O mnie? Byłam tysiące kilometrów stąd!

- Zżerała ją zazdrość o ciebie. Mówiła, że nigdy nie przestałem cię kochać.

Lane cała drżała - sama nie wiedziała czy ze złości czy z innego powodu. - Ależ to śmieszne! - powiedziała.

- To wcale nie jest śmieszne - odrzekł cicho. Wziął ją w ramiona i pocałował, a ona oddała pocałunek, zapominając o wszystkich swoich zasadach.

Trzeba ich było widzieć, mamó - opowiadała Peyton. - Edward dostał ataku wściekłości, a Reese zalała się łzami. Piękna scena.

Jej matka oparła się o niewygodne, plastikowe krzeselko. Miała smutne oczy, a jej skóra zaczęła przybierać ten niezdrowy, mdły odcień, jak skóra więźniów, którzy całymi tygodniami nie widzą światła słonecznego. - Cieszy cię nieszczęście innych - powiedziała wzdychając ciężko.

- Cieszę się nieszczęściem Edwarda Burtona. Czerpię z niego ogromną przyjemność. Co za łajdak - żeby przez tyle lat tak traktować ciebie i mnie!

- Nie stać cię na odrobinę wyrozumiałości?

- Mamó, czy ten człowiek kiedykolwiek prosił o wybaczenie? Czy kiedykolwiek przeprosił cię za to, jak cię traktował? Nie wspominając już o mnie - przecież jestem jego córką, prawda? Czy kiedykolwiek prosił, abyś wybaczyła mu, że traktuje mnie jak cholerny cel dobroczynny? A ty? Jesteś jego służącą! Czy kiedyś okazał wyrzuty sumienia, że tak cię traktuje?

Lucille ponownie westchnęła. Bolało ją to, że tak bardzo oddalają się od siebie. Bolało bardziej niż zbliżająca się rozprawa. - Dawno się z tym pogodziłam - powiedziała. - Nie martwię się o Edwarda, nie myślę o jego przeprosinach. Peyton, jedyną osobą, którą krzywdzisz, gdy jesteś pełna nienawiści, jesteś ty sama.

~ Mamó, spójrz wokół siebie! Jesteś w więzieniu! Mogą cię skazać na śmierć! I wybaczasz łajdakowi, który trzymał cię w czyścicu przez te wszystkie lata? I traktował twoją córkę jak śmiecia? Nie rozumiem jak możesz być taka. Ponosisz karę i ponosiłaś ją całe swoje

życie, Mój Boże, nie chciałabyś zobaczyć jak ten człowiek smaży się w piekle?

- Całą winę biorę na siebie - brzmiała odpowiedź Lucille. Doprowadziła Peyton do wściekłości.

- Na siebie! ?

Lucille przytaknęła. - Nigdy nie powinnam była zostawać w tym domu, ale myślałam, że to cudowne miejsce dla ciebie, i miałam nadzieję, że gdy będę w pobliżu, jeśli będzie mnie widział codziennie i polegał na mnie, może... - zawiesiła głos.

- Może co? - chciała wiedzieć Peyton. - Odwdzięczy ci się? Jak? Lucille milczała. Spojrzała na swoje sprane, niebieskie, więzienne spodnie.

Ku swojemu zdziwieniu Peyton poczuła, że ta zrezygnowana, pozbawiona nadziei kobieta, która była jej matką, wzruszyła ją. Kiedy się ponownie odezwała, jej głos był cieplejszy.

- Nadal jesteś zakochana w tym potworze.

Lucille potrząsnęła głową. - On nie jest potworem, powiedziała.

- Czy przyszedł cię odwiedzić?

- Przyjdzie.

- Jak możesz być tak ślepa? - Peyton znów się rozłościła, ale po raz pierwszy w życiu współczuła swojej matce. Czekwała całe swoje życie na to, żeby ten sukinsyn wyznał jej miłość... A resztę spędzi prawdopodobnie za kratkami czekając na śmierć. Dla dobra matki Peyton zaproponowała: - Poproszę go, aby przyszedł ze mną następnym razem.

- Dziękuję ci, kochanie - odpowiedziała Lucille. Peyton nie mogła patrzeć na isierki nadziei, które pojawiły się w oczach matki. Wstała i wyszła bez pożegnania. W końcu matka myślała o Edwardzie, a nie o niej.

Jak kobieta może się tak poniżyć dla mężczyzny? Jak można

## Savannah

upaść tak nisko i żyć takim podłym życiem - dla miłości? Na sama myśl o tym Peyton robiło się niedobrze. Całą drogę do Savannah przepłakała.

- Panie Burton, przyszła młoda kobieta, która twierdzi, że nazywa się panna Burton - w interkombie rozległ się powątpiewający, ale grzeczny głos sekretarki.

- Reese? - zapytał. Nie pamiętał, czy była to nowa sekretarka, ale uważał, że wszyscy znali Reese.

- Nie, proszę pana - usłyszał oszczędną odpowiedź.

- Niech wejdzie - Edward był zaintrygowany. Może, któryś z jego braci spłodził kiedyś córkę, która teraz odkryła, że ma bogatego wuja i postanowiła zbliżyć do siebie rodzinę...

Był zaszokowany, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Peyton Richards.

- Peyton? Co ty tutaj robisz? - zapytał nieuprzejmie.

- Twoja sekretarka powiedziała mi, że mogę wejść. Ale wielkie biuro! - obeszła gabinet, dotykając różnych przedmiotów; duży globus ze świecidełkami znaczącymi miejsca, gdzie posiadał swoje przedsiębiorstwa, rzeźbę baletnicy Degasa, połyskujący butelkami Lalique'a barek, półki wypełnione książkami o handlu międzynarodowym i polityce. Przesunęła dłonią po gładkiej powierzchni stołu konferencyjnego i ponownie zwróciła się ku niemu. Miała na sobie bardzo krótką spódniczkę na granicy przyzwoitości i najwyraźniej niewiele pod nią, sądząc po tym, jak była dopasowana do jej zgrabnej pupy. Jej białe uda miały idealny kształt. Sukienka odsłaniała również ramiona i plecy, na które opadała burza ciemnorudych włosów,

- Jak śmiesz nazywać się panną Burton? - wrzasnął na nią.

- To tylko gwoli przypomnienia - drażniła się z nim. - Nie prze-

jmuj się, nie będę nazywała się Burton. Wolałabym umrzeć niż nosić twoje nazwisko.

- Czego chcesz, u diabła! ?

- Przynoszę ci wiadomość. Moja matka chce się z tobą widzieć, Bóg wie dlaczego. Obiecałam że poproszę cię, abyś poszedł ze mną na następną wizytę.

Edward zachmurzył się. - Powinna wiedzieć, że nie mogą widzieć, jak ją odwiedzam. Nie po tym, jak...

- Nie po tym, jak cały świat się dowiedział, że byliście kochankami, że urodziła twoje dziecko i że zrobiłaś z niej służącą? - odpaliła Peyton.

- Przykro mi, powiedz matce, że nie mogę przyjść do więzienia. Natomiast jeżeli czegoś potrzebuje...

- Chcesz dorzucić trochę pieniędzy? Poprawić nieco sytuację? Oczywiście, panie Burton, pieniądze zawsze się przydadzą.

- I tak płacę za nią koszty procesu. W końcu zamordowała mojego zięcia.

- Co za facet - Peyton wzięła do ręki ciężki przycisk do papierów z brązu i ważyła go przez chwilę.

- Czego chcesz, Peyton? Jestem bardzo zajęтым człowiekiem.

- Na początek pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dla mnie, twojej małej córeczki, tej, która nie dostała tych wszystkich łakoci, które przypadły twojej drugiej córeczce. - Odłożyła przycisk i przechyliła się ponad stołem tak, aby nie mógł nie patrzeć w jej głęboki dekolt.

- Nie bądź idiotką - fuknął i dał jej znak ręką aby się odsunęła. - Myślisz, że przejmuję się tym, czy ludzie wiedzą czy nie? Myślisz, że jestem jedynym człowiekiem w Savannah, który spłodził bękarta? Przynajmniej utrzymywałem ciebie i twoją matkę przez wszystkie te lata, a to czyni mnie przyzwoitym, porządnym obywatelem. Źle trafiłaś, Peyton.



Sięgnął po cygaro i obciął jego koniec. Obserwowała go i myślała o innym przedmiocie o tym kształcie, który z rozkoszą by ucięła.

- Nie doceniasz mnie, tatuśku - powiedziała. Stała tam, patrząc na niego wcale nie zakłopotana.

W pewnym sensie Edward podziwiał jej tupet. Wielu ludzi o reputacji twardziel! ugięło się pod naciskiem Edwarda. Może Peyton rzeczywiście była z jego krwi.

- A jak w waszym klubie bogatych i potężnych macho traktuje się człowieka, który śpi ze swoją własną córką, bez względu na to czy jest bękartem czy nie? - zapytała niewinnym głosem. Podniosła z biurka pióro i zaczęła się nim bawić.

- Sama nie wiesz co mówisz - wykrzyknął. - Powinno się zamknąć cię w domu wariatów za coś takiego. Myślę, Peyton, że jesteś bardzo chora. Przychodzisz tu tak ubrana, próbujesz mnie uwieść... Co do diabła chcesz osiągnąć? Chcę, żebyś stąd wyszła i zniknęła z mojego życia, rozumiesz? Na dobre!

- Ale numer! Zapomniałeś! Czy mnie to boli? Nie, nie sędzę - powiedziała, bawiąc się świetnie.

- Wynoś się stąd, Peyton. Znajdź sobie kogoś na swoją miarę do takich gier.

- Jeśli chodzi o rozmiary, wszystko jest w porządku - zaśmiała się. - Gdyby kiedyś ktoś posądzał cię o braki w tej kwestii, wyślij go do mnie. Pokażę mu mój album ze zdjęciami.

Edward cofnął się. - Chyba nie... Tylko pokiwała głową.

- Ty dziwko! Wrobiłaś mnie. - Edward opadł na swój duży, skórzany fotel i złapał się za głowę.

Peyton podała mu pióro. - Mam cię - powiedziała. Spojrzał na nią. - Negatywy?

Peyton sięgnęła do swojej małej torebki z krokodylej skóry i wyję-

ła z niej kopertę. Pokazała mu, co było wewnątrz: pasek negatywów.

Edward wziął od niej pióro, otworzył boczną szufladę biurka i wyjął książeczkę czekową. Wypisał szybko czek, wydarł go i wręczył jej ponad biurkiem, wyciągając drugą rękę po negatywy, które mu podała.

- Jeżeli kiedykolwiek wrócisz po więcej, każę cię zamknąć za szantaż - odezwał się lodowatym głosem. - Twoje słowo będzie się ważyło przeciwko mojemu, a jeśli mnie do tego zmusisz, postawię na szali całą swoją reputację. Może stracę twarz, ale ty wylądujesz w więzieniu, Zrozumiałaś?

Peyton roześmiała się, machając mu czekiem przed nosem, zanim włożyła go do torebki. - I tak cię mam. - Trzymając już rękę na klamce, odwróciła się, aby zadać pożegnalny cios. - Ja pójdę do więzienia, a ty gdzie? Do senatu? Nie sądzę.

Edward rzucił za nią swoim bardzo drogim kubańskim cygarem, ale nie trafił, cygaro upadło i wypaliło bardzo drogą dziurę w cennym dywanie.

- Reese, zawsze będziesz moją małą dziewczynką. Nic nie szkodzi, że wyrosłaś na piękną, młodą damę, nadal jesteś moją...

- Kobieta, tato, nie damą, proszę.

- Jak chcesz, kochanie. Zależy mi na tobie i obawiam się, że po tym co się stało z Travisem... No cóż, nie chciałbym abyś pochopnie rzuciła się w ramiona jakiegoś mężczyzny, który nie jest cię wart

- Nie rzucam się w niczyje ramiona - powiedziała zniecierpliwiona Reese. - Naprawdę, tato, jestem wystarczająco dorosła, aby zadbać o siebie. Chciałabym, żebyś dał mi trochę swobody.

- Przecież mieszkasz we własnym domu. Wyprowadziłaś się ode mnie i nie zabroniłem ci tego, prawda? Znalazłaś sobie jakąś choler-

ną, służalczą pracę obsługując ludzi, którzy w połowie nie są warci tyle co ty...

- Tato, natychmiast przestań albo wstanę i wyjdę stąd.

Wiedział, że mówi poważnie. Rozejrzał się wokół. Nikt z osób siedzących przy sąsiednich stolikach nie słuchał ich rozmowy, ale ludzie o dobrym wychowaniu i manierach zawsze sprawiają wrażenie, że nie słuchają. W tym klubie, do którego przyjęto go po latach dawania łapówek i oddawania intratnych transakcji członkom biorącym udział w głosowaniu, Edwardowi szczególnie zależało na tym, aby wszyscy podziwiali jego i jego piękną córkę. W podniesionym głosie Reese nie było czego podziwiać. Miał tylko nadzieję, że nie podniósł swojego. Przyjście na lunch właśnie tu nie było najlepszym pomysłem, ale nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie pochwalenia się swoją śliczną Reese w otoczeniu, które uwydatniało jej urodę. Było to lekarstwo na szok jaki przeżył widząc ją poprzedniego wieczoru w tej knajpie, przyjmującą zamówienia.

- Miej cierpliwość do swojego starego ojca, Reese - powiedział miękko, dotykając jej dłoni. - Nie zawsze wiem, jakich słów użyć, ale życzę ci dobrze, wiesz o tym, kochanie.

- Przepraszam, tato. Nie chciałam być niecierpliwa.

- Moja dziewczynka! Co byś chciała dziś zjeść?

- Chyba sałatkę. Sałatkę z kurczaka i mrożoną herbatę poproszę. Po zamówieniu dań Edward powrócił do celu tego spotkania. Taki po prostu był - bezpośredni, konkretny, nie spoczął dopóki nie załatwił sprawy.

- Reese, jak daleko zaszły sprawy między tobą a Tomem Massic-kiem?

- Lubię go - to wszystko.

- A on lubi ciebie.

- Tak sędzę.

- Tak mówi? - naciskał Edward.

- Tak - Reese poruszyła się niespokojnie na krześle. Edward postanowił zwolnić tempo.

- Czujesz się samotna, kochanie? - spojrzał na nią zatroskanym, kochającym wzrokiem.

Reese zastanowiła się przez moment, a potem potrząsnęła przecząco głową. - Nie, tato, naprawdę czuję się świetnie. Mam Peyton i Lane i...

-1 Toma Massicka.

- Chciałam powiedzieć, że chcemy kupić sobie szczeniaka.

- Czy on poprosił abyś za niego wyszła? -Nie.

- Ale poprosi.

- Czyżby? Skąd jesteś taki pewien?

- Znam się na ludziach, znam łowców fortun. Wiem, że Tom Massick mnie nie znosi i zrobi wszystko, żeby się na mnie odegrać.

Reese rzuciła serwetkę i wstała gwałtownie niemal przewracając krzesło. Chciała coś powiedzieć, ale nagle wydało się to jej tak żałośnie oczywiste, że poczuła klucie w piersi i tylko chciała opuścić to miejsce.

- Reese! - zawołał za nią Edward, gdy wychodziła z klubowej jadalni, ale szybko zdał sobie sprawę, że zwraca na siebie uwagę, więc usiadł z powrotem i udawał, że studiuje listę win z atencją prawdziwego konesera. Po chwili, gdy pozbierał już myśli, chwycił telefon komórkowy i wykręcił numer do domu.

- Veronika? - powiedział cicho. - Chciałbym, abyś coś dla mnie zrobiła.

Peyton nie śpieszyła się z zamykaniem baru po wyjściu ostatniego klienta. Krzesła stały już do góry nogami na stołach, czekając na nocną sprzątaczkę. Jaskrawe światło w barze padało na gęstą falę prostych, rudych włosów Peyton. Poruszała się w kręgu światła świadoma efektu, jak aktorka czekająca na swoje wejście. Tom był wciąż w biurze. Wiedziała, że zabierze rachunki z baru przed samym wyjściem i nie miała nic przeciwko temu aby trochę poczekać.

Wszedł do baru nie zauważając jej w pierwszej chwili. Był przystojnym, seksownym mężczyzną, roztaczającym aurę władzy. Zabawnie by było zmiekczyć go trochę. Był naprawdę przystojny i Peyton zastanawiała się, czy naprawdę podobała mu się Reese, czy tylko grał w grę starą jak świat.

Zdziwił się widząc ją jeszcze w pracy.

- Peyton? Pracujesz tak późno?

- Miałam nadzieję, że cię tu spotkam, skarbie - kokietowała.

- Jak leci? - zapytał.

- W porządku. Tom, nigdy nie mieliśmy okazji, aby naprawdę pogadać.

- No cóż, oboje jesteśmy bardzo zajęci. Doceniam twoją ciężką pracę, Peyton. Robisz dobrą robotę.

- Myślałam o bardziej prywatnej rozmowie. No wiesz - żeby się lepiej poznać.

- Czy ty ze mną flirtujesz, Peyton?

- A czy to byłoby takie złe?

- Wcale, gdybym nie był już z kimś związany.

- Masz na myśli Reese?

- A kogo? Szaleję za nią.

- Myślałam, że może chodzi o Veronikę.

Tom parsknął śmiechem. - Jesteśmy tylko partnerami w interesach, nic poza tym - powiedział.

- Gdyby coś się działo między tobą a moją najlepszą przyjaciółką, Reese, jestem pewna, że bym o tym wiedziała. Tymczasem, jak dotąd, o niczym nie słyszałam.

- Kobiety takiej jak ona nie zdobywa się szturmem. Jest delikatna i ostatnio głęboko ją zraniono. Ale myślę, że mnie lubi, a ja, jak powiedziałem, szaleję za nią. Tak więc, przykro m, Peyton, mogłoby być miło, ale w innych okolicznościach.

- W jakich okolicznościach, Tom? Gdyby na przykład Reese dowiedziała się o twoich ciemnych sprawkach z przeszłości, w których uczestniczyła pani Veronika Koslowsky?

- O czym ty do diabła mówisz?

- Usiądź, zrobię ci drinka. Myślę, że będzie ci potrzebny.

- Nie wiem do czego zmierzasz, Peyton, ale to są jakieś pomówienia. Nie sądzę, aby ta restauracja była dla ciebie najlepszym miejscem...

- Przestań już, Tom. Widziałam twoje akta policyjne na pięknym, dużym wydruku komputerowym. I twojej pani też. Cztery wyroki skazujące - nieźle! To imponujące, nawet jak na taką dziwkę jak ona!

- Jezu, Peyton, ale z ciebie numer!

- To prawda. Masz, napij się, poczujesz się lepiej - podała mu szklaneczkę czystego bourbona.

- Czy próbujesz mnie szantażować? - zapytał. Wziął wielki haust alkoholu, nawet tego nie czując. Naprawdę wyglądał na zatroskanego.

Zabójczy uśmiech Peyton odbiła się w licznych otaczających ją lustrach.

- Ależ nie, skarbie - powiedziała słodko - chcę tylko być twoją współpracowniczką.

Lane zaparkowała na parkingu za posterunkiem, w miejscu zarezerwowanym dla prasy. Zerknęła w lusterko, aby poprawić włosy. Dean lubił kiedyś patrzeć, jak się czesze po karesach na przednim siedzeniu jego starego, czerwonego pickupa. Owijał wokół palca jeden z jej długich loków i mówił o tym, jak gładkie i jedwabiste są jej włosy...

W momencie, gdy zdała sobie sprawę z tego co robi, wrzuciła grzebień do torby i wysiadła z samochodu. Nową karierę i nowe życie w Savannah zaczynała bez żonatego pana Collinsa.

Weszła na posterunek mając nadzieję, że wygląda jak profesjonalistka.

- Dzień dobry - przywitała dyżurnego sierżanta. - Jestem Lane MacKenzie, reporterka z Savannah Dispatch. Mam tu zrobić reportaż, ale chciałam się najpierw przedstawić.

Młody sierżant uśmiechnął się i pokiwał głową. - Jestem Bill Wheatley. Witamy w zoo. Co się stało z Leo?

- Leo? - powtórzyła nie rozumiejąc.

- Robił tą robotę przed panią. Nie ma to znaczenia. Jest pani nowa w Savannah, co?

- Niezupełnie, tu się urodziłam i wychowałam. Ale dopiero co dostałam tą pracę.

- Lane!

Dean Collins musiał oczywiście pojawić się w tym momencie. Jeśli ma tak wpadać na niego za każdym razem kiedy tu będzie przy-

chodziła, musi sobie wyrobić stalowe serce. A przynajmniej powstrzymać od trzepotu to, które ma.

- Cześć, Dean - powiedziała.

- Co tu robisz? - spytał.

- Jest nową reporterką policyjną z Dispatch - wyjaśnił sierżant. - Zdaje się, że w końcu wyrzucili starego Leo.

- Pozwolisz, że cię oprowadzę po gospodarstwie? - zaproponował Dean, - Będziesz musiała wiedzieć, gdzie jest pokój z aktami, co wolno i czego nie wolno prasie... Przedstawię cię oficerowi- rzecznikowi. Powinnaś ją poznać.

- Dziękuję - powiedziała bezradnie Lane. Poszli wzdłuż szerokiego korytarza.

Po wnikliwej i niezwykle profesjonalnej wycieczce po posterunku, Dean odprowadził Lane do samochodu. Gdy wsiadła, pochylił się i zrujnował cały profesjonalizm.

- Zjedz dziś ze mną kolację.

Lane potrząsnęła głową. - To nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- Nie spotykam się z żonatymi mężczyznami, Dean.

- Jestem w separacji. Moja żona ode mnie uciekła i nie wiem gdzie jest. - Stał tak przez minutę wpatrując się w żwir. - To tylko kolacja - powiedział prosząco.

- Dean...

- Martwisz się o to, co ludzie powiedzą? Powiedzą: patrzcie, to Lane i Dean. Jedzą kolację,

Roześmiała się i włożyła kluczyk do stacyjki. - Niezła próba - powiedziała.

- Pomyśl o tym - poprosił.

Lane pokręciła głową. - Nie, Dean. Przepraszam cię, ale.,, nie.  
-Przekręciła kluczyk i zapuściła silnik.



Dean odszedł na krok od samochodu. - W porządku - powiedział głośno. - Przyjdę po ciebie o ósmej.

Dlaczego czuła się taka uskrzydłona? Nie chciała niczego na nowo zaczynać dopóki nie był wolny. Wiedziała, jak bardzo tęskni za synkiem, a poza tym zawsze istniała możliwość, że żona rozmyśli się i wróci do niego. Dean przebaczyłby jej - podejrzewała Lane - dla dobra Jasona. Chłopiec miał dopiero cztery lata. W kółko obiecywała sobie, że to między nimi nie może przekroczyć granicy przyjaźni.

Zabrał ją do Shrimp Factory, gdzie świetnie się bawili, wspominając dawne wyprawy na krewetki i kraby. - Mogę się założyć, że nigdy nie miałaś takiego jedzenia w Nowym Yorku - powiedział.

- To prawda - zgodziła się. - Masz coś na brodzie. Roześmiał się, otarł brodę i wielkimi kuflami piwa wzniesli toast

na cześć ich ponownego spotkania. - Co byś powiedziała na lody? Kiedyś je uwielbiałaś.

- Już nic bym nie zmieściła.

- Następnym razem zatem.

Gdy odpoczywali przy kawie, Dean sięgnął do wewnętrznej kieszonki marynarki i wyciągnął kopertę. Przesunął ją w jej kierunku.

- Co to jest? - zapytała.

- Wiem, że Travis Peterson zdefraudował wszystkie twoje pieniądze. To pomoże stanąć ci na nogi.

- Nie mogę tego przyjąć - zaprotestowała.

- Możesz. To nie jest dużo, poza tym masz teraz pracę, możesz oddać w małych ratach. W ten sposób mam pewność, że będę cię widywał... Co się dzieje, Lane?

Z powodu oczu wzbierających łzami trudno jej było mówić, a jeszcze trudniej patrzeć. To pewnie przez tę kawę. Trzymała w ręku kopertę.

- Dean, zawierzenie pieniędzy Travisowi było błędem, ale wiesz,

co było jeszcze gorsze? Co było największym błędem, jaki zrobiłam?  
-Co?

- Zostawienie cię, żeby jechać do Nowego Yorku.

Jego głos przybrał lekko kpiący ton. - To był ogromny błąd. A czy nie próbowałem ci tego wyperswadować?

- Wydawało mi się zawsze, że zejdziemy się po szkole. Nie spodziewałam się, że się ożenisz. Głupia byłam, co? - zdołała lekko się uśmiechnąć. Podała mu kopertę. - Dzięki, Dean, ale nie czułabym się dobrze przyjmując to. A poza tym, jak mówisz, mam pracę. Dam sobie radę, naprawdę.

- Nie wątpię - zgodził się.

W nagłym odruchu położyła dłoń na jego dłoni. - Dean... domyślałam się, jak bardzo tęsknisz za swoim synkiem. Musisz to strasznie przeżywać...

Pokiwał tylko głową, jakby nie ufał własnemu głosowi.

- Zostańmy bardzo dobrymi przyjaciółmi, zgadzasz się? - powiedziała.

Uśmiechnął się i przywołał gestem kelnerkę.

- No nie wiem. Nie wiem, czy to w ogóle jest możliwe. Zobaczymy.

- Spróbujesz? - usłyszała własny głos i zdała sobie sprawę, jak idiotycznie i desperacko brzmi.

- Jestem pewien, że oboje spróbujemy - zapewnił ją uśmiechając się znowu, ponieważ oboje wiedzieli, że przyjaźń była zbyt chłodnym słowem na określenie tego, co oboje czuli.

Peyton była niezwykle praktyczną, młodą kobietą. Zdołała skłonić Briana Alexandra by podjął się obrony jej matki, pomimo, że był najbardziej wziętym młodym prawnikiem, specjalizującym się w prawie cywilnym, w całym stanie. Zwróciła ku niemu swą słodką, ufną twa-

rzyczkę w kształcie serca, spojrzała mu prosto w niebieskie oczy, jak jedna wspaniała osoba drugiej i jakimś cudem uwierzył, że jej matka jest niewinna. Po tym, jak przesłuchał Lucille, nie był już tego taki pewien, ale przekonał ją, aby nie przyznawała się do winy każdemu, kto się nawinął. Każdy ma prawo do możliwie najlepszej obrony, a gdy Peyton rozwinęła swoją opowieść siedząc przy jego biurku, potem przy restauracyjnym stoliku i wreszcie w jego łóżku, Brian zaczął wierzyć, że uda mu się uratować jej matkę.

Przy pomocy kilku współpracowników wytrzasnął skądś lekarza, który zaświadczył, że przepisał Travisowi te same tabletki, które go zabiły. Nie był to dowód ostateczny, ale z pewnością wzbudził wiele wątpliwości.

- Lucille Richards jest sądzona za zamordowanie Trávisa Petersona - rzeki Brian w swojej mowie końcowej. - Ale oskarżenie nie może stwierdzić z całą pewnością, że popełniono morderstwo!

- Być może Peterson załamany zerwaniem swego krótkiego małżeństwa i przerażony oskarżeniem o defraudację celowo odebrał sobie życie. Może też, źle obliczył efekt działania alkoholu na lek, który mu przepisano. Obie wersje są możliwe i sensowne na tyle, aby ława przysięgłych rozważyła wszystkie wątpliwości dotyczące winy Lucille Richards. Jak można uważać kogoś za winnego zbrodni, która być może w ogóle nie została popełniona? Nie macie wyboru, jak ogłosić werdykt „niewinna”.

Gdy tak się w istocie stało, Peyton najpierw uścisnęła Briana, a potem dopiero matkę.

Lucille była wolna, Peyton była wdzięczna Brianowi, a Brian był niemal gotów zerwać zaręczyny z kobietą, którą jego matka już dawno temu wybrała dla niego.

Pub Kevina Barry'ego miał swój styl, dobrze zaopatrzoną piwnicę i przychodziło do niego wiele ludzi. Ze swoją irlandzką muzyką, piwem, wołowiną i kapustą przypominał prawdziwy pub irlandzki i miał swoich stałych bywalców. W takich miejscach nie spotkałbyś raczej Edwarda Burtona i ludzi jemu podobnych.

Tom Massick i jego dawna partnerka siedzieli przy barze sącąc whisky.

- Słyszałam, że odgrywasz niezłą komedię przed Reese - powiedziała Veronika, uśmiechając się jakby to był niezły żart.

- Czy nie moglibyśmy wreszcie zawrzeć pokoju? - westchnął Tom.

- Martwisz się, żebym nie wygadała się przed Edwardem, z jakim to podłym łobuzem zadaje się jego córka?

- Nie specjalnie - uśmiechnął się. - Jeśli zrobisz ze mnie łobuza, na kogo ty sama wyjdiesz?

Veronika tylko się uśmiechała. W końcu to ona nosiła diamentowe kolczyki.

- A propos: jak ci się układają sprawy z Edwardem? - zapytał Tom. Z trudnością powstrzymywał się od jadowitego tonu, gdy wypowiadał to imię. Veronikę bawiły te jego wysiłki.

- Jest uroczy i bardzo energiczny - było jasne o czym mówi. Prawdopodobnie ich porównywała.

Tom opanował swoje emocje i głos. W końcu to on poprosił o spotkanie i musiał uzbroić się przeciwko jej złości. Sam miał jej do zakomunikowania kilka niemiłych nowin.

- Jestem zdziwiony, że wprowadziłaś się do jego domu. Zawsze

twierdziłaś, że człowiek nie powinien kupować krowy, jeżeli może dostać mleko za darmo.

Veronika znów się uśmiechnęła. Jej dłoń powędrowała w kierunku szklanki, prawdopodobnie aby mogła pochwalić się wielkim, czystym niebieskim szafirem, który miała na palcu.

- Nie wiem jakie masz plany wobec małej Złotowłosej, ale gdy zajmę się pieniędzmi jej tatusia, niebędzie miała co dziedziczyć.

Nie mówiąc już o losie podrzędnych łowców fortuny, którzy zaglą-dajają pod spódnicę.

- To nie jest konkurs - powiedział Tom.

- Czyżby?

- Wystarczy dla nas dwojga. - Tom dopił swojego drinka i odstawił szklankę na bar. - Poza tym myślę, że Reese prędzej zdecyduje się na ślub niż jej stary. Chcesz się założyć?

- O co?

- Wszystko albo nic. Ten kto przegra, wyjeżdża z miasta.

Oczy Veroniki błysnęły jak jej pierścionek. Nie potrafiła oprzeć się wyzwaniu ani zakładowi. Podniosła szklankę w geście przyjęcia zakładu i jednym haustem wypła resztę swojego Scotcha.

Lane i Reese opuściły budynek sądu razem i powędrowały na lunch do jednej z niewielkich kafejek w bocznej uliczce, gdzie kiedyś kwitł handel uliczny. Usiadły pod drzewem mimozy, rozłożysty parasol chronił je przed palącym słońcem południa, a znad pobliskiej rzeki owiewał je lekki wiaterek.

- Wiem, że będę śpiąca całe popołudnie, ale mam ochotę na wódkę z tonikiem - powiedziała Reese.

- Ja też się napiję - zgodziła się Lane. Już niemal zapomniała jak słodko może pachnieć mimoza.

- Jestem jak ogłuszona - odezwała się do niej Reese. - Chyba nigdy już nie dowiem się, co naprawdę przydarzyło się mojemu mężowi.

- Umarł, to wszystko. Umarł po tym, jak skradł cały mój spadek, oszukał cię i... och, przestań, kochanie. Jakkolwiek umarł, stało się to po tym jak dowiedziałaś się prawdy i po tym jak się rozstaliście. To już historia. Musimy żyć dalej.

- Nie wiem już co myśleć. - powiedziała Reese. Bawiła się gałązką mimozy, obrywając po jednym Ustki.

- Miałabyś ochotę na sałatkę z kurczaka? Albo coś z mięsa?

- Lane... a właściwie masz rację! Masz absolutną rację. Przynajmniej, że przestanę myśleć o Travisie. Wolę myśleć, że to był wypadek. Tak się cieszę, że wypuścili Lucille, przecież w istocie to ona mnie wychowała. Biedna Lucille.

- Hej, Reese, odpuść sobie. Nadchodzą drinki. Udawajmy, że jesteśmy prawdziwymi pięknościami z Savannah, niczym się nie przejmujemy, obchodzi nas tylko ten cudowny, zimny drink.

Stuknęły się szklankami i zamówiły zupę z krabów, czerwony ryż z warzywami, a na koniec zażyczyły sobie kruche ciasteczka.

W starej dzielnicy, w doskonale zachowanej zabytkowej kamienicy znajduje się restauracja o nazwie „Elżbieta z 37-ej Ulicy”, w której właściciele zaskarbiając sobie szacunek i sympatię klientów prześcigają się, aby zapewnić im jak najlepszą obsługę. Jedzenie, jak na miejscowe, jest przepyszne, a miejsce spokojne i sprzyjające cichym rozmowom podczas posiłków.

Tom Massick i Peyton siedzieli przy barze popijając whisky.

- Za naszą współpracę - wzniosła toast.

Tom również podniósł szklankę, ale ani się nie uśmiechnął, ani nie odezwał,

- Nie zachwykam cię jako wspólnik - powiedziała Peyton pojednawczo - ale to się zmieni.

- Nie lubię jak mnie ktoś szantażuje - powiedział cicho.

- Ale spodoba ci się to, co wniosę do naszej współpracy - nie mogła się już doczekać, żeby mu powiedzieć.

- Na przykład co?

- Jesteś gotów, żeby mnie wysłuchać?

- Czy nie po to tutaj przyszliśmy?

- Ojej, a ja myślałam, że zaprosiłeś mnie tu na elegancką kolację, aby uczcić naszą spółkę. - drażniła się z nim. Znow uniosła szklanę, mówiąc: - „Za S. S. Savannah”. Niech długo pływa po szczęśliwych wodach razem z załogą. Albo coś w tym rodzaju. - Wybuchnęła wesołym śmiechem, a Tom patrząc na jej czerwone usta, rude włosy i błękitne oczy pomyślał, że jest bardzo ładna... Nie zamierzył jednak wiązać się z nią bardziej niż do tej pory. Siedział bez uśmiechu, spuściwszy wzrok.

- No więc jak, skarbie, chcesz żebym ci opowiedziała o moim pomysle czy nie? - kusila Peyton.

- Oczywiście, partnerko. Opowiadaj.

- Przez chwilę brzmiałeś, jakbyś pochodził z południa. Jesteś pewien, że nie urodziłeś się w Savannah, kochanie? Jej głos brzmiał żartobliwie, ale kryło się w nim coś dodatkowego. Nagle pojął. Przed tą kobietą nie uchowała się żadna jego tajemnica, była jak trucizna.

- Myślę, że uważasz mnie za chodzące zło, ale to dlatego, że nie słuchasz mnie uważnie. Chcesz wiedzieć czy nie?

- Tak - wziął głęboki wdech, gotów na wszystko.

- Plan jest taki: ty zaproponujesz Reese jedną trzecią w interesach z nami...

-Co!?

- Powiedziałeś, że mnie wysłuchasz.

Tom ponuro spojrział na zegarek. - Mów dalej.

- Ona w to wchodzi, a później dociera do niej, w jak trudnej sytuacji finansowej jesteśmy. Tylko nie mów mi, że nie mam racji, bo widziałam księgi. Nie mamy szans, aby utrzymać ten statek na powierzchni, prawda?

Tom wzruszył ramionami. Oczywiście, że miała rację. - Ale sprzedaż jednej trzeciej pomoże najwyżej na kilka miesięcy i powrócimy do stanu, w którym jesteśmy teraz.

- Wtedy ona dołoży trochę forsy tatusia. A potem jeszcze trochę, i jeszcze... Rozumiesz?

- I ty myślisz, że Edward Burton zainwestuje forszę w moją łódź! Dobry żart! Ile, jak sądzisz?

- Kochany, całe swoje życie byłam najlepszą przyjaciółką Reese. Do cholery! Jestem jej pieprzoną siostrą! Przysięgam ci, że jej tatuś nigdy nie odmówił jej niczego. Chcesz jechać do Europy na wycieczkę, Reese? Jedź na dwie. Chcesz samochód? Kup sobie trzy. Chcesz gotówkę? Zabierz całą.

Wypowiadając ostatnie słowa, zawiesiła głos.

Trudno było się temu oprzeć, gdyby nie jedna rzecz. - Jeśli będzie właścicielką całości, będzie mogła decydować jak prowadzić interesy. Nie jestem pewien czy mam ochotę oddać swoje ciężko zapracowane dwie trzecie w ręce takiego głupiutkiego stworzenia jak Reese.

- Panie Massick, jak pan się wyraża o mojej siostrze! Czy nie uważasz, że pomyślałam i o tym? Uważasz, że chcę zamienić swoją połowę na jedną trzecią? Mając razem dwie trzecie możemy wykupić tę małą blondyneczkę w każdej chwili. Weźmiemy tylko to, co ona może dostać od Edwarda, a nie będzie tego mało, a potem wysadzimy ją z siodła i nie będzie nawet wiedziała, że została nabita w butelkę.



- Widzę, że sporo o tym myślałaś. Ale z ciebie przebiegła dziwka! - powiedział Tom z podziwem.

- Podoba ci się? - Peyton niemal się roześmiała. Cudownie było odkryć karty wiedząc, że wygrywa, i spotkać się na dodatek z odrobiną szacunku, a nawet podziwu. Tyle swoich wspaniałych pomysłów musiała zachować wyłącznie dla siebie, z prawdziwą więc przyjemnością patrzyła na uznanie ze strony, jakby nie było, doświadczonego oszusta.

- Jesteś niezła - powiedział Tom.

- Chcesz usłyszeć najlepszą część? Zachowałam ją na koniec.

- Mhm - Tom pociągnął długi łyk Scotcha. Ciekawe co jeszcze wymyśliła ta ślicznotka o ciele modelki a moralności skunksa.

- Nie rozumiesz, kochanie? Możesz oszczędzić sobie całego zamieszania i kłopotu związanego z żenieniem się z nią!

Tom tylko patrzył na Peyton. Nigdy wcześniej nie znał kogoś tak zimnego. A może raczej należałoby powiedzieć „lodowatego”.

- Przecież o to ci chodziło, prawda? Zgarnąć forszę Edwarda i za jednym zamachem zemścić się na nim. Teraz możesz to zrobić i cały czas być wolnym człowiekiem!

- Masz rację - zgodził się powoli. - Rzeczywiście wolałbym nie mieć Edwarda za teścia.

- A jak ja się czuję, mając go za ojca? Roześmiali się i stuknęli szklankami.

- Jesteś dobra - powiedział Tom. - Naprawdę dobra. Wypili za to i zjedli wspaniałą kolację.

Gdy zadzwonił telefon, Lane podniosła szybko słuchawkę myśląc, że dzwoni któreś z jej źródeł, ale to był Dean Collins. Z trudem łapał oddech.

- Lane, mam cudowną wiadomość.

- Dean, każda rozmowa z tobą staje się rozmową osobistą. Czy to nie może poczekać? Za pół godziny muszę oddać...

- Pewnie, że może. Chciałem ci tylko powiedzieć, że odnalazłem żonę i że zgadza się na rozwód.

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. To z pewnością nie będzie sprzyjało jej karierze. Jak mogła skoncentrować się nad reportażem o duchach widzianych ostatnio w Hampton Lillibridge House, jeśli rzeczywistość pisała tak niespodziewane historie?

- Dean, tak się cieszę. A co z Jasonem?

- To jest najlepsze. Przyznano mi prawo do opieki! Spotkaj się ze mną na kolacji, wszystko ci opowiem, dobrze?

- Tak, naturalnie.

- W restauracji rybnej „U Williama”? O siódmej?

- Dobrze. Tak się cieszę.

- Kończ, co musisz. Do zobaczenia później. Kocham cię, Lane. Gdyby tego nie powiedział, znacznie łatwiej by jej było powrócić do artykułu.

Reese zrobiła sobie krótką przerwę zanim zaczną przybywać tłumy na kolację. Stała przy poręczy przed kuchnią, krusząc bułkę i rzucając okruchy kaczkom, które zawsze pływały wokół restauracji na wodzie.

- Cześć - przywitała ją Peyton. - Szukasz towarzystwa?

- Pewnie. Przynieś swoje okruchy - odpowiedziała Reese. Peyton podeszła do niej. - Mam wspaniałą nowinę. Tom zaoferował mi połowę udziałów w Savannah.

- To wspaniale, Peyton! Cudownie! Tak się cieszę!

- Nie zapytasz dlaczego to robię?

- Bo jesteś sprytna i masz duże doświadczenie w prowadzeniu baru - pracowałaś przez wszystkie lata w collegu. Ma szczęście, że będziesz jego partnerką. Jest mądrzejszy niż myślałam... Strasznie się cieszę!

- Teraz jestem nie tylko twoją siostrą, ale i szefową - drażniła się z nią Peyton. - Zupełnie nie wiem, jak cię traktować.

- Wyrozumiale, mam nadzieję - odpowiedziała Reese z pewną skruchą. - Nadal jestem najbardziej niezdarną kelnerką na świecie.

- Jestem pewna, że i tobie niedługo przydarzy się coś wspaniałego. Słuchaj, co miałaś na myśli mówiąc, że Tom jest mądrzejszy niż myślałaś? Sądziłam, że szalejesz za nim.

Kaczki podniosły hałas niezadowolenia, gdy Reese odeszła od poręczy i usiadła na ławeczce na rufie.

- Dobrze się czujesz, Reese? Co się dzieje?

- Och, Peyton, tyle mnie ostatnio spotkało rozczarowań i szokujących sytuacji. Nie wiem już, komu ufać. Myślałam, że mogę ufać Travisowi, a teraz Tom... Peyton, jestem taka szczęśliwa, że mam ciebie. A teraz, gdy jesteśmy prawdziwymi siostrami, mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą na całym świecie, której mogę wierzyć. Ty i Lane, oczywiście.

- Na litość boską, Reese, co się stało?

- Mój ojciec poprosił Veronikę aby porozmawiała z Tomem na mój temat, na temat tego, co do mnie czuje. Ona jest jego dobrą znajomą i mój ojciec wymyślił, że Tom powie Veronice prawdę. W każdym razie zapytała go dlaczego mnie podrywa, a on powiedział, że... - lzy nie pozwoliły jej mówić. Wciąż ścisnęła w rękę bułkę. Próbowwała obetrzeć twarz, ale tylko rozmasowała na policzkach mąkę.

Peyton zdjęła z szyi chusteczkę (pożyczoną kiedyś od Reese) i delikatnie, jak matka, otarła lzy z twarzy Reese, która ukryła się w ramionach siostry i zapłakała.

- Myślałam, że mu na mnie zależy, naprawdę tak myślałam.

- A co on powiedział, kochanie?

- Że to tylko dla moich pieniędzy - szlochała Reese.

Peyton gładziła siostrę po głowie i kołysała ją delikatnie, myśląc: „A z jakiego innego powodu mógłby się ktoś tobą zainteresować, laleczko?”

Uspokoiwszy się nieco, Reese wydmuchała nos i przeprosiła, ale Peyton już od kilku minut intensywnie myślała o czymś innym.

- Reese, mam genialny pomysł - powiedziała podniecona - możesz mnie wysłuchać?

Reese przytaknęła.

- Posłuchaj, zatem. Tom i ja potrzebujemy pieniędzy, żeby utrzymać łódź i to potrzebujemy ich jak najszybciej.

- To żadna wymówka... - zaczęła Reese.

Peyton przerwała jej. - Oczywiście, że nie, w żadnym wypadku. Ale dlaczego nie zaproponujesz mi, że kupisz jedną trzecią łodzi, a wtedy będziemy współniczkami - ty i ja! No tak, Tom też. Ale chodzi o to, że do nas dwóch należałyby dwie trzecie łodzi i mogłybyśmy z niego wszystko wycisnąć!

Słowa Peyton dotarły do Reese dopiero po jakiejś chwili.

Uśmiechnęła się przez wysychające łzy. - Peyton, to niezbyt ładne - powiedziała, a potem roześmiała się. - Bardzo mi się ten pomysł podoba. Jesteś geniuszem. Zrobię tak - to powinno załatwić Pana Łowcę Fortuny.

- Nie mów mi, że ja to zasugerowałam - powiedziała Peyton.

- Oczywiście, że nie. Po co? Jestem ci wdzięczna za ten pomysł.

Wiesz co? Nigdy wcześniej nie rozumiałam co znaczy, że zemsta jest słodka.

Roześmiały się obie.

- Jak dobrze jest móc się śmiać - powiedziała Reese. - Och, Pey-

ton, jesteś dla mnie taka dobra, przy tobie od razu lepiej się czuję  
-uściskała Peyton pod wpływem nagiego impulsu. - Tak się cieszę, że  
jesteśmy siostrami.

- Ja też.

- Lepiej pójde do środka i nakryję do kolacji, bo mnie szefowie  
wyrzuca.

- Zagraj dobrze a nigdy więcej nie będziesz musiała nakrywać stołów.  
Będziesz współwłaścicielką.

- I wiesz co? Mój tata będzie ze mnie bardzo dumny.

- Pewnie - powiedziała Peyton.

Peyton składała osobiste podziękowania Brianowi Alexandrowi na grubym dywanie w jego biurze. Brakowało im cierpliwości aby przenieść się na kanapę.

Zaprosili Lucille na obiad u Garibaldiego, ale odmówiła, mówiąc, że wszystko czego pragnie, i to od miesiący, to wygodny pokój i gorąca kąpiel. Peyton zabrała ją do hotelu Hyatt Regency, gdzie wynajęła piękny pokój, wychodzący na Bay Street i na rzekę.

- Może zjesz jakiś obiad, mamó? Obsługa hotelowa może ci przynieść co chcesz. A ja nawet skoczę po szampana i czekoladki. Chcę, żebyś czuła się rozpieszczana i ważna, chociaż raz w życiu. Masz co świętować! Jesteś wolna!

- Tak, wolna... Muszę przemyśleć wiele spraw, Peyton. Nie wiem gdzie będę mieszkała. Przecież nie mogę wrócić do domu Edwarda.

- Absolutnie nie! - wykrzyknęła Peyton.

- Więc muszę trochę pomyśleć, kochanie. Mój, Boże, to musi być strasznie drogi hotel. Patrz jak wysoko jesteśmy, patrz jakie wszystko jest czyste...

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Naturalnie, Peyton. Po prostu... muszę się przyzwyczaić. To wszystko wydarzyło się tak szybko, przysięgli wyszli tylko na piętnaście minut.. Muszę mieć trochę czasu dla siebie, żeby o wszystkim pomyśleć, dobrze? Nie czujesz się urażona?

Peyton umierała z niecierpliwości aby już wyjść.

- Nie, mamó. Rozumiem. Pójdę już, a po południu do ciebie zadzwonię.

- Nie, nie dzwoń, mogę spać. Czuję się strasznie zmęczona.

- W porządku. Odpocznij, mamó - zasłużyłaś na to.

Do Briana Peyton pojechała taksówką. Zadzwoiła z holu, aby mu powiedzieć, że jest w drodze na górę. Jego sekretarką powitała ją podekscytowana.

- Och, panno Richards, tak się cieszę z powodu pani matki. Musiała poczuć wielką ulgę.

- Dziękuję, Evelyn. Bardzo dziękuję. Czy mogę wejść?

- O tak, on się pani spodziewa. I do widzenia - wychodzę na obiad.

Nie doszli nawet do kanapy. Pocałunek był tak głęboki i wszechogarniający, że ugięły im się nogi. Upadli na dywan i świętowali w najstarszy sposób znany ludzkości.

Lucille Richards, zanim weszła do gorącej kąpieli, aby zmyć z siebie więzienny smród, zamówiła karafkę martini. „Jeden kieliszek wystarczy”, powiedziała kelnerowi, ale okazało się, że jedna karafka też była za mało. Lucille niemal już zapomniła, jak wspaniale alkohol pomaga wybaczać sobie grzechy. Nie mogła znaleźć powodu, dla którego miałyby nie pić tego cudownego eliksiru, wytłumiającego złe myśli. Nikt już nie potrzebował, aby układał mu życie. Była wolna, samotna i niepotrzebna. Mogła pić jedno martini za drugim, aż straciła rachubę.

Brian Alexander pochodził z jednej z najstarszych rodzin w Savannah. Jego matka, śledząc drzewo genealogiczne swego męża, dotarła do dwustutonowego galeonu „Anne”, na którym w 1732 roku przyplłynęło 114 osadników pod dowództwem Jamesa Oglethorpa. Wielu mieszkańców Savannah było dumnych mogąc wywieść

swoje pochodzenie z rodzin wielkich pionierów i wczesnych osadników. Chociaż, z czego tu być dumnym, jeżeli wielkość przodków, ich fortuna i reputacja została przez kolejne lata stopniowo zaprzepaszczona?

Matka Briana Alexandra, Eleanor, wniosła do małżeństwa pieniądze. Jej dziadek założył Savannah Dispatch, a jej ojciec zmienił gazetę w syndykat stacji radiowych i telewizyjnych. Eleanor była dumną kobietą, szczyciła się swoim nowoczesnym podejściem do życia oraz swoim synem. Nie miała żadnych wątpliwości, że kiedyś Brian zostanie prezydentem. Musiała tylko sterować nim delikatnie, aby nie zmarnował swoich szans.

Kiedy powiedział jej, że jest ktoś, kogo chciałby jej przedstawić, Eleanor zakładała, że jest to kolejna, zupełnie nieodpowiednia kobieta. Potrafiła to znieść, tak jak już wiele razy przedtem. Kiedy oznajmił jej, że tą młodą kobietą jest Peyton Richards, Eleanor nawet nie mrugnęła. Każdy znał to nazwisko - była córką kobiety, która przyznała się do morderstwa, a potem się z tego jakoś wywinęła. Podczas rozprawy w prasie pojawiło się wiele zdjęć Peyton, i Eleanor nie było trudno zrozumieć dlaczego ta rudowłosa dziwka tak przyciągała mężczyzn. Brian był już co prawda mężczyzną, ale nadal trzeba było chronić go przed kłopotami.

- Z przyjemnością poznam twoją przyjaciółkę - powiedziała mu. - Czy mamy razem zjeść lunch?

- Byłoby wspaniale. Mogłabyś? Wiem, że ją polubisz.

Eleanor doszła do wniosku, że wspomnianie teraz o Nancy, właściwej narzeczonej dla syna, nie będzie teraz rozsądne. - Może w następny wtorek?

To, że restauracja, którą wybrała Eleanor znajdowała się na najwyższym piętrze tego samego hotelu, w którym Peyton ulokowała swoją matkę, nie miał nic do rzeczy. Nie chodziło też o to, że Eleanor



planowała zatelefonować do Lucille Richards, aby anonimowo poinformować ją, że jej córka będzie tam jadła lunch we wtorek. Nie wiedziała też, czy Lucille się pojawi, ale wiedząc, że matka jej wroga mogłaby dostarczyć użytecznych informacji, doszła do wniosku, że warto zaryzykować nawet niespodzianki.

Telefon zupełnie pomieszał Lucille w głowie. Czy miała się spotkać z Peyton na lunchu? Nie mieszkała już w Regency - ani ona ani Peyton nie mogły sobie na to pozwolić. Ale mogła dojść z kawalerki na East Broad Street, którą wynajęła. Z odpowiednim strojem nie było problemu - jej ubrania zawsze były dobrze uszyte i potrafiła zręcznie ułożyć sobie fryzurę, nawet jeśli jej dłonie ostatnio nieco drżały. Na to jednak pomógł drink i już jako opanowana, dobrze ubrana kobieta weszła do hotelowego baru, i zamówiła podwójną whisky.

Reese już dość dobrze opanowała sztukę balansowania tacą zastawioną przemyślnie zaprojektowanymi daniami, spiętrzonymi tak, aby za jednym zamachem można było obsłużyć cały stół. Czuła ból w ramieniu po przyjściu do domu, więc starała się wykonywać wszystkie czynności nie nadwyrężając nadmiernie kręgosłupa.

Ujęła swój ładunek wygodnie i właśnie zmierzała w kierunku jadalni, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu.

- Reese!

Tom Massick powinien był wcześniej pomyśleć. Odwróciła się aby na niego spojrzeć, podłoga zahuściła się pod nogami i kurczę w sosie marengo, sznycle wołowe, jagnięcina w papryce, nie mówiąc już o ziemniakach puree i dwóch sałatkach i porcji brokuł - wszystko to wylądowało na smokingu Toma. Jego twarz było uosobieniem przerażenia, a Reese zachciało się śmiać. Sama też była oblana sosem, ale mina Toma była tego warta.

Przejęła kontrolę nad sytuacją, ku swojemu i innych zdziwieniu. Wycierano już podłogę i zamiatano potłuczone talerze. Przywoławszy jedną z kelnerek, która otrząsnęła się już z osłupienia, Reese powiedziała spokojnie: „Lorette, czy mogłabyś wyjaśnić ludziom przy stoliku czwartym dlaczego muszą jeszcze chwilę poczekać na obiad i powiedzieć, że dziś nie muszą płacić?”

- Nie muszą płacić? - zdołał wyjąkać Tom.

Reese otaksowała go spojrzeniem - Masz krewetkę na krawacie - powiedziała.

Tom próbował zachować przytomność umysłu, tak jak ona, ale

nie było to łatwe, gdy cała jego godność wysmarowana była tłuczonymi ziemniakami.

- Reese, musimy porozmawiać - powiedział tylko.

- Dobrze. Myślę, że najpierw powinniśmy udać się do łazienki, nie sądzisz? - zaśmiała się. - Hej, wszyscy niech wracają do pracy. A tak przy okazji, pewnie odetchniecie z ulgą, gdy wam powiem, że odchodzę - to znaczy nie będę więcej próbowała uczyć się kelnerowania. Naprawdę, teraz gdy tego spróbowałam, znacznie bardziej was szanuję. Mam nadzieję, że ucieszy was wiadomość, że jestem współwłaścicielką „S. S. Savannah”. I mam też nadzieję, że będę lepszym szefem niż kelnerką.

Wszyscy się roześmieli i powrócili do zwykłej kuchennej krzątaniny. Niektórzy gratulowali jej, gdy szła w kierunku pokładu i dalej do damskiej toalety. Nie umknęło jej uwagi, że Toma, podążającego w krok za nią, witała cisza, gdy przechodził między pracownikami.

Dogonił ją na pokładzie. Byli dość daleko od klientów, którzy rozkoszowali się wieczornym powietrzem i widokami Savannah ze środkowego pokładu i dziobu łodzi.

- Reese, muszę z tobą porozmawiać - powiedział. Zaczął strząsać co większe i bardziej obraźliwe kawałki jedzenia z garnituru do wody.

- O co chodzi, Tom? - zapytała słodkim głosem. - Gniewasz się, że powiedziałam, że ten stół nic dziś nie zapłaci?

- Nie, oczywiście, że nie. Ze wszystkim, co postanowisz, ja się zgadzę, współniku. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego... jesteś ostatnio taka obca dla mnie. Trudno mi dopaść cię samą, nie pocałowałem cię od tygodnia.

- Może dlatego, że śmierdzisz rybą - odpowiedziała, śmiejąc się. Wiedziała, że jest okrutna, ale doskonale się z tym czuła.

- Reese, na miłość boską - o co chodzi? Nie wiesz o tym, że cię kocham? - wyznał cichym głosem, który miał zabrzmieć seksownie,

- Tom, wiem, że chcesz się ze mną ożenić. I wiem też dlaczego. Już nie jestem zainteresowana. Byłam idiotką myśląc, że ci na mnie zależy, zawsze chodziło o pieniądze mojego ojca. Najpierw zdobyłeś łódź, a teraz wyciągasz rękę po jego córkę, a we wszystkim chodzi o forszę, prawda?

- Nie, przysięgam, że...

Odwróciła się od niego i kawałek sałaty spadł z jej włosów. - Przepraszam cię, ale nie zniosę tego ani minuty dłużej - nawet ona nie była pewna czy ma na myśli efekt incydentu w kuchni czy tę rozmowę. Myślała, że jest w nim zakochana, a on oszukał ją tak jak Travis. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zaufa jakiemuś mężczyźnie.

Schwycił ją za ramię i przyciągnął ku sobie. - Reese, błagam cię, wysłuchaj mnie.

Odepchnęła go. Kawałek kurczaka spadł na pokład - miała na dzieję, że Tom poślizgnie się na nim i złamie kark.

- Reese, pozwól, że powiem ci coś, co ci udowodni, że nie chodzi o pieniądze. Wysłuchasz mnie?

- Mów, byle krótko. Cała się kleję i zaczynam śmierdzieć.

- W porządku. Powiem ci coś, czego nie powiedziałbym, nie mógłbym ci powiedzieć, gdybym nie kochał cię z całej duszy.

Czekała.

- Ja... - to bardzo trudne dla mnie. Nie potrzebuję twoich pieniędzy, Reese, mam dużo własnych. Regularnie zabierałem część utargu i oszczędzałem, aby móc wykupić Peyton. Ona zwiastuje jedynie kłopoty i...

Reese przerwała mu chłodno. Usłyszała już zbyt wiele. - Ona jest moją siostrą! I jeżeli knułeś coś za jej plecami, zasługujesz na to, żeby pójść do pudła. Puść mnie, Tom. Nie rozumiem jak mogłeś pomyś-

leć, że zainteresują mnie twoje chore knowania. Zamelduję o tym do władz - muszę. Jeżeli tego nie rozumiesz, to znaczy, że nigdy byś mnie nie rozumiał. Uciekła od niego.

Gdy odwrócił się, aby pójść do swojej kabiny-biura, w ostatniej chwili zauważył kawałek kurczaka i uniknął upadku.

Kiedy chodzili jeszcze do szkoły, przednie siedzenie starego czerwonego Chevroleta wydawało się znacznie większe. Głowy Lane i Deana jakimś cudem znalazły się przy kierownicy, a gdy się odwrócili, jego łokieć zahaczył o dźwignię zmiany biegów.

- Ufff, mógłbyś trochę przesunąć kolano? Mmmmm... Au!

Przepraszam. Kocham cię... Och, moja noga! Już dobrze... tak, o tak...

- wszystko to wypowiadali między jednym a drugim pocałunkiem.

Później, siedząc normalnie, ze stopami na podłodze, śmiali się sami z siebie. - Jak nam się udawało przez całe lata nie zrobić sobie krzywdy? - zapytała Lane.

- Jesteś przekonana, że twoje koleżanki nie zrozumiałyby tego?

- prosił.

- Zrozumiałyby, ale wszystkie trzy przyjęłyśmy pewne zasady i nie chcę ich łamać.

- Nie możesz im powiedzieć, że naprawdę bardzo się kochamy i jesteśmy za starzy na przednie siedzenie w pickupie?

- Pamiętasz tę noc, kiedy zdecydowaliśmy się na tylne siedzenie?

- zachichotała Lane.

- Bardzo śmieszne! Ten gliniarz o mało mnie nie zamknął, chcąc być przykładnym stróżem prawa i porządku. Pamiętam i jego, i jego latarkę.

Znów się roześmiali. Bez względu na to, na którym z siedzeń byli, czuli się ze sobą wspaniale.

- Powinienem był już lata temu oddać tego grata na złom, ale cały czas czuję do niego sentyment.

- Naprawdę? - Lane spojrzała na jego twarz rozświetloną blaskiem księżyca.

Dean skinął głową.

- Ze względu na nas?

- Tak - odpowiedział. Całowali się delikatnie, a potem coraz bardziej namiętnie, aż Lane z trudem odsunęła się.

- Jak sądzisz, jak długo potrwa zanim Jason mnie zaakceptuje i będziemy mogli porządnie się wyspać? - spytała.

- Myślę, że nie długo. Natkniemy się na ciebie ze dwa razy w parku, potem może kilka razy w pizzerii. Potem zaproszę cię, abyś zjadła z nami burgera, poszła na film. W końcu zaakceptuje cię jako nieodłączną część nas - nas trojga. Do tego czasu oszaleje na twoim punkcie tak jak ja. Boże, Lane - chcę się z tobą ożenić. Nie chcę czekać.

- Musimy się najpierw pozbyć tej dźwigni biegów pomiędzy nami.

- Nic nie może między nami stać.

- Kiedy zaczynamy? - zapytała Lane.

- Jason gra mecz w sobotę po południu. Mogłabyś być przypadkiem w pobliżu.

Lane pomyślała chwilę. - Oczywiście... w porządku.

- Tak? - Przybliżył swoją twarz do jej, próbując rozszyfrować jej uczucia..

- Myślę, że to wspaniały pomysł - wyszeptała Lane. Pocałowali się namiętnie, a rączka od szyby dźgnęła ją między żebra.

Lucille zapomniała, o której godzinie miały się spotkać, ale domyśliła się, że przyszła za wcześnie. Nie widziała nigdzie Peyton, a poza tym trudno było dostrzec cokolwiek, bo weszła z rozświetlonej ulicy. Widok ze szczytu hotelu był niesamowity - można było obserwować niemal całe miasto podczas posiłku. Mogło się od tego zakreślić w głowie.

- Proszę jeszcze jedno - powiedziała do barmana.

- Jeszcze jedno co? - zapytał.

- Jeszcze jedno podwójne martini, naturalnie.

- Proszę pani - powiedział cicho, pochylając się ku niej - czy mógłbym zaproponować pani filiżankę kawy?

Lucille zastanowiła się. Jaki miły młody człowiek. - Nie sędzę - podziękowała grzecznie. - Jest już zbyt późno, nie będę mogła potem spać. Poproszę o podwójne martini.

- Czy pani jest samochodem? - miły młody człowiek sprawiał wrażenie naprawdę zainteresowanego nią. Zaufała mu więc.

- Nie mam już samochodu. Nie sądziłam, że mi się przyda w więzieniu - również pochylała się ku niemu w konfidencjonalnej pozie, chociaż mówiła znacznie głośniejszym głosem niż jej się wydawało. - Czy to nie głupie, że w więzieniu nie serwują drinków wtedy, gdy ich najbardziej potrzebujesz?

Barman zerknął na swojego kolegę potrzebując niewielkiego wsparcia. Inni ludzie przy barze, którzy czekali na miejsce, gapili się z nieukrywanym zainteresowaniem. Zdjęcie Lucille Richards było we wszystkich gazetach podczas procesu, a jej pięć minut sławy jeszcze się nie skończyło.

- Gdzie mój drink? - zażądała.

- Przykro mi, proszę pani. Ma pani już dość. Nie wolno mi pani obsłużyć.

- Chcesz, żebym stąd poszła. Wszyscy chcą, żebym poszła, nawet

ludzie, którzy zatrudniali mnie przez dwadzieścia lat - sięgnęła do portfela, wyciągnęła z niego banknot i rzuciła go na bar. - Zatrzymaj resztę - powiedziała na dowód, że nie ma do niego żalu.

- Nie mogę tego zatrzymać, proszę pani. To jest banknot pięćdziesięciodolarowy. Proszę to zabrać i dać mi piątaka. dobrze? Zawołam dla pani taksówkę.

- „Zawołam dla pani taksówkę” - przedrzeźniała go. - Ty jesteś taksówką. Nie, to nie tak szło... Chciałabym nazwać cię przystojnym taksówkarzem, ale... ty jesteś przystojny, więc to wcale nie jest śmieszne.

Barman dał sygnał kelnerowi, który usłużnie ujął Lucille pod ramię. - Pablo zaprowadzi panią na dół i dopilnuje aby wsiadła pani do taksówki - powiedział do niej barman.

Młody człowiek delikatnie sterował Lucille w kierunku windy. Zauważyła kogoś, kto miał włosy takie jak Peyton. Dziewczyna siedziała z miłą damą i - któż by pomyślał - z jej własnym obrońcą!

- Niech się pan już nie martwi-powiedziała do Pablo. - Tam jest moja córka. Czeką na mnie. Czy to nie zabawne, że nie zauważyłam jej wcześniej? Muszę sobie sprawić nowe okulary - nie dbają o to, kiedy siedzisz w więzieniu. Cześć, kochanie! Cześć, Brian! Jaka miła niespodzianka!

Kiedy Pablo zobaczył, że ładna, rudowłosa dama rozpoznała Lucille, posadził ją na pustym krześle i zajął się własnymi obowiązkami.

- Brian, powinieneś się wstydzić zapraszając moją córkę do takiego miejsca! Żałuję tu alkoholu - zażartowała. - Wezmę podwójne martini.

Peyton zerknęła na matkę Briana, która była zbyt dobrze wychowana aby okazać cokolwiek. Na jej ustach błąkał się jedynie nieco zagadkowy, grzeczny uśmiech powitania.



- Pani Alexander, pozwoli pani, że przedstawię swoją matkę - powiedziała Peyton, utrzymując w ryzach swoją wściekłość.

Lucille wyciągnęła dłoń w kierunku Eleanor. - To zaszczyt dla mnie. Ma pani wspaniałego syna - powiedziała,

- Też tak sądzę - odpowiedziała miło Eleanor. - Obawiam się jednak, że mogę być stronnicza,

- Nadal nie wiem jak on to zrobił. Dzięki niemu uwolniono mnie od zarzutu morderstwa, Nie można już być lepszym.

Peyton położyła dłoń na ramieniu matki delikatnie, ale zdecydowanie. - Mamo, wezwę ci taksówkę - powiedziała.

Lucille strząsnęła rękę córki. - Wszyscy próbują się mnie pozbyć - poskarżyła się Eleanor jak przyjaciółka przyjaciółce.

Dla Peyton nie była już taka miła. - Pójdę, kiedy będę miała na to ochotę.

Brian, spokojny i uśmiechnięty podniósł się z krzesła. - Mogę odwieźć twoją mamę do domu - zaproponował uprzejmie.

Lucille zwróciła się ku niemu niemal bełkocząc z wdzięczności. -Ach, nie, Brian, już wystarczająco dużo dla mnie zrobiłeś. Wybroniliśmy mnie, chociaż musiało to być dla ciebie boleśnie oczywiste, że zabiłam tego sukinsyna.

Peyton wzdrygnęła się, - Mamo.,.

Lucille zwróciła się ku swojej nowej przyjaciółce, Eleanor, która przysłuchiwała się przyjaźnie. - Przygotowałam mu drinka pełnego środków przeciwbólowych - zwierzyła się. Mówiła coraz głośniej. Ludzie przy sąsiednich stolikach przestali rozmawiać i w sali zrobiło się zupełnie cicho. Słyszać było tylko jej głos.

- Zabiłam Travisa Petersona, a twój uroczy syn zwolnił mnie od podejrzeń. Boże drogi, musisz być bardzo dumna! Jedyne problem to to, jak ja mam z sobą żyć. Jak mam to zrobić? Możesz mi powiedzieć?

Peyton była przerażona. Ciągnęła matkę za ramię, ale Lucille była nieświadoma tego co robi jej córka, jak i tego, że cała sala zastygła w milczeniu, słuchając jej głośnej tyrady. Brian chwycił Lucille, gdy z jej piersi wyrwał się pijacki szloch. Wyprowadził ją na zewnątrz, nieomal niosąc. Opierała się o niego płacząc, gdy manewrował między stolikami w kierunku wind. Jej głos był jednak nadal donośny i pełen żalu, gdy przechodzili przez salę.

- Jak mam teraz żyć? Jak mam to robić? Czy możesz mi powiedzieć? Czy nauczyli cię tego na studiach? Czy Peyton mnie teraz nienawidzi, Brian? Czy moje dziecko mnie teraz nienawidzi? Nie winiłabym jej... Nienawidzę sama siebie...

Zostawszy same przy stoliku, w ciszy sali, Peyton i Eleanor Alexander przez dłuższą chwilę unikały się wzrokiem. Gdy goście powrócili do szeptów i plotek, Peyton zmusiła się do rozmowy.

- Przepraszam za zachowanie mojej matki. Była w ogromnym stresie...

Cały czas uprzejma, grzeczna i opanowana Eleanor powiedziała:

- Ależ kochanie, nie przejmuj się. Wiedziałaś, że jesteś nic nie warta jeszcze zanim pojawiła się twoja matka. Jeśli Brian lubi przebywać w twoim towarzystwie... cóż, mężczyźni zawsze będą mężczyznami. Muszą się wyszumieć, prawda? Dzięki Bogu to nigdy nie trwa długo.

Popijała wolno białe wino, oczekując, że Peyton wybiegnie zalana łzami. Ale Eleanor Alexander napotkała na swej drodze godną przeciwniczkę.

„Twoje zdrowie, przyszła teściowo”, powiedziała ponuro w duchu Peyton i podniosła kieliszek w geście niemego, złowieszczego toastu.

Eleanor Alexander była wydawcą Savannah Dispatch. Odziedziczyła pismo po swoim ojcu i chociaż nie poświęciła mu ani jednego dnia pracy, używała swojej pozycji jako karty przetargowej, jeśli chciała coś zdobyć - najlepszy stolik w restauracji, atrakcyjnego mężczyznę, na którym mogłaby się oprzeć, piękny fragment ziemi nad rzeką, na który ochotę miał również ktoś inny... albo coś bardziej przyziemnego, jak usługi fotografa redakcyjnego dla jej tajemnych celów.

Mark Elison ubrany był w zwykłe ubranie i miał ze sobą nie rzucającą się w oczy teczkę, kiedy zjawił się na pokładzie „S. S. Savannah” i zmieszał się z tłumem wieczornych klientów. Zamówił kolację i kilka drinków, zapłacił rachunek (dzięki, pani A.) i poszedł się przejść po pokładzie, jak wielu innych przed zejściem na ląd.

„Savannah” nigdy nie opuszczała doku, ale rozciągał się z niej piękny widok na rzekę i miasto, widać było okrągły księżyc na czystym niebie usłanym gwiazdami. Było to niezwykle romantyczne miejsce, nic więc dziwnego, że Mark napotkał kilka znajomych par, przechadzając się po pokładzie. Szukał miejsca, gdzie mógłby się przycisnąć po zamknięciu restauracji, kiedy już wszyscy klienci opuszczają łódź. Planował zakraść się i uśmiechał się na samą tą myśl.

Do ścian powyżej pokładu przymocowanych było kilka łodzi ratunkowych, bardziej dla ozdoby niż dla bezpieczeństwa. Zastanawiał się, jak tam się można dostać. Dostrzegł korbę, za pomocą której sprowadzało się łodzie na dół, ale nie można było tego zrobić nie zwracając niczyjej uwagi. Łodzie ratunkowe odpadały, zatem.

Mark spacerował dalej. Wreszcie ukrył się w najmniej roman-

tycznym miejscu na całym statku, za to pewnym i bezpiecznym -w męskiej toalecie. Kiedy odezwał się sygnał wzywający do opuszczenia pokładu, nikt nawet nie sprawdził, czy ktoś pozostał w toaletach.

Mark otworzył teczkę, wyciągnął z niej elastyczny czarny kombi-nezon i założył go. Miał już na sobie czarne buty, a teraz wyciągnął jeszcze kawałek czarnej kredy i umaza i nią twarz. Wyjął aparat foto-graficzny i dodatkowy film z teczki, którą położył na górze ścianki oddzielającej kabiny. Z jego doświadczenia wynikało, że nawet jeśli ktoś tu przyjdzie sprzątać, nawet nie spojrzy w górę, a co dopiero mówić o odkurzaniu.

Gdy wyszedł na pokład, w restauracji było już ciemno i mógł nie-zauważony prześlizgnąć się w stronę biura, na drugim końcu łodzi. Przykucnął pod bulajem, które było oknem w pokoju Toma Massicka i czekał. Był cierpliwy, a to była dobra cecha. Robił to co wieczór, od tygodnia czekając, aby obiekt jego zainteresowania wszedł do biura i ustawił się do jego potajemnych, ale sensacyjnych zdjęć.

Najpierw usłyszał szept.

- Chodź tu, tędy, przez korytarz - namawiał głos kobiety. Była lekko pijana i bardzo zalotna.

- Mogliśmy iść do mojego pokoju hotelowego - odpowiedział mę-zczyzna. Mówił z północnym akcentem.

- Co? I ryzykować, że nas zobaczy ktoś ciekawski? To jest małe miasteczko, złotko, a ja nie chcę rujnować swojej reputacji - zachichotała. Pociągnęła mężczyznę za sobą do kabiny Massicka.

Mark widział ich teraz wyraźnie. To była Peyton Richards, ale mężczyzna nie był tym, którego pani Alexander pokazała mu na zdjęciu. Ten był wyższy od Toma Massicka i miał jasne włosy. Mark miał tylko nadzieję, że jego szefowa będzie zadowolona tego nocną zdobyczą i zwolni go z dalszego czuwania.

Podczas gdy para zajęta była sobą, robił przez bulaj zdjęcia

w podczerwieni, Nazywała go David, co sobie zapamiętał. Kiedy skończyła się rolka filmu, zszedł z łodzi i udał się prosto do swojej ciemni.

- Jesteś w stanie to zrobić, jeszcze pięć przysiadów, wyprostuj się, o tak, pięknie! Jeszcze cztery, Reese. Wspaniale. Czujesz jak pracuje ci mięsień uda?

- John, daj mi odpocząć. Już nie mogę...

- Ale to robisz. Naciągnij ten mięsień. Ja też go czuję. Jeszcze trzy przysiady i pozwolę ci odetchnąć.

Reese stękała z wysiłku, ale zdołała wykonać jeszcze jeden przysiad zanim upadła na matę. Jej trener uklęknął przy niej.

- Tak jest bardzo dobrze. Nawet ja czuję teraz ten mięsień.

- Nic nie osiąga się bez bólu, to chcesz mi udowodnić, John?

- Przydałby ci się teraz masaż. Nie chcę żebyś się przetrenowała, a tylko rozciągnęła. Naprawdę bolało?

- Nie tak bardzo. Nie mogę dziś wziąć masażu i mam nadzieję, że jutro będę się mogła ruszać.

John podniósł się. - Jak to nie możesz? Przecież wiesz, że to najlepsza rzecz po takich ćwiczeniach.

- Zapominasz, że jestem teraz pracującą dziewczyną. Mój tata nie płaci już moich rachunków i nie stać mnie już na ciebie.

- Wiem, wiem, to będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, John. Mógłbyś sporo zarobić na innych klientkach w ciągu tych trzech godzin w tygodniu. Wiem już co to znaczy.

- Tak jak powiedziałem, praca z tobą sprawia mi wielką przyjemność. Masz wspaniałe ciało i dumny jestem pomagając ci utrzymać je w formie.

- Tak jak pani Forbes? - Reese zachichotała. Wciąż leżała na macie z podciągniętymi kolanami, rozrzuconymi ramionami, ciężko oddychając.

- Być może pani Forbes jest trochę przy kości, ale to jedna z największych plotkarek w mieście, I daje bardzo hojne napiwki.

Reese zaczęła wstawać, ale John delikatnie pchnął ją z powrotem na matę. - Nie wstawaj jeszcze, odpocznij przez kilka minut Posiedzę z tobą.

- Nie musisz tego robić, John. Już i tak poświęciłeś mi dużo czasu. Nagle John pochylił się nad nią i jego wargi dotknęły jej. Zupełnie ją to zaskoczyło. Gdy się nawet czasem zastanawiała

nad nim, to myślała, że jest gejem. Zawsze interesował się jej ciałem wyłącznie z zawodowego punktu widzenia, przez dwa lata kiedy ćwiczyli razem nie wykonał najmniejszego gestu, który wskazywałby, że jest nią zainteresowany inaczej.

Odepchnęła go. - Hola! - wykrzyknęła tak delikatnie jak umiała.

Zamiast się wycofać i przeprosić, John objął ją i położył się na niej. Przycisnął ją do maty i wymógł pocałunek, mocno przytrzymując jej ręce.

Walczyła, aby się wyrwać, ale równie dobrze mogła próbować przesunąć Gibraltar. Próbowwała krzyczeć, ale jego usta przykryły jej i nie była pewna czy ma siłę by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

Byli w jego prywatnym pokoju do ćwiczeń, a drzwi były zamknięte na klucz. Widziała, jak przekręcił klucz, gdy weszli, ale nawet się nad tym nie zastanowiła. Być może zawsze tak robił, a ona tego nie zauważyła. Teraz była zamknięta w pokoju bez okien z człowiekiem sto razy silniejszym od niej, napierającym na nią z taką siłą, że nie mogła poczuć jego ogromnej erekcji.

Było zbyt wcześnie, aby ktokolwiek mógł ją usłyszeć, gdyby krzyczała, nawet gdyby mogła wydobyć z siebie głos.

Gdy wreszcie oderwał od niej usta, zaczęła go prosić.

- John, nie chcesz tego robić. Proszę cię, przestań. Proszę...

Przełożył jej ręce nad głowę tak by mógł je przytrzymać jedną dłonią. Drugą zaczął ściągać jej legginsy. Cały czas jego twardy jak stal penis uwierał ją jak potworna broń, która zaraz ma być użyta,

Poczekaj, poczekaj... Pomogę ci - wykrzyknęła. - Ja to zrobię!

Zatrzymał się na chwilę zdziwiony i spojrzał w jej oczy. Nie rozpoznawała twarzy mężczyzny, która była tak zatrwajająco blisko. Oczy mu pociemniały, twarz wykrzywiło pożądanie i szaleństwo. W tej chwili zastanawiał się czyjej uwierzyć i lepiej żeby mówiła prawdę.

- Pozwól, że ja to zrobię - zamruczała na tyle słodko, na ile zdołała.

Serce biło jej jak oszalałe kiedy rozluźniła ciało w jego żelaznym uścisku.

- Zrobię to. Chcę - wyszeptała.

Czytała gdzieś, że gwałt jest bardziej aktem agresji niż namiętności, więc podejmowała duże ryzyko. A co będzie, jeżeli chciał żeby się broniła i dopiero się wścieknie kiedy ona się podda?

Czytała, że gwałciciele zabijają swoje ofiary, bo boją się, że zostaną rozpoznani. Cokolwiek się stanie, nawet jeśli zdoła się stąd wyrwać, on może chcieć ją zabić...

Ale on poluzował uścisk. Złapał ją za włosy unieruchamiając głowę i znów zaczął manipulować przy jej spodniach. Ponieważ walczyła pod nim, znów bardziej się podniecił.

- Zdejmij je - wychrypiał.

Gdy opuściła ręce, odsunął się nieco na bok, aby mogła zdjąć ubranie. W ułamku sekundy Reese kopnęła go z całej siły w miękkie, wrażliwe miejsce pod jego naprężonym mieczem. Dużo ćwiczyła i była w doskonałej kondycji, miała kościste kolana i jasno określony cel.

John krzyknął i zwinął się z bólu.

Reese odskoczyła od niego. Pokój był mały. Pierwszą myślą było

uciekać, byle dalej od niego, powiedzieć co się stało komuś w sali gimnastycznej i kazać go aresztować, albo, jeszcze lepiej, zabić. Była zła i obolała. W zamku nie było klucza.

John przestał krzyczeć, ale wciąż zwijał się na podłodze i jęczał.

- Gdzie jest ten cholerny klucz? - zażądała. Jęczał coraz głośniej.

Reese rozejrzała się wokół. W pokoju nie było nic oprócz maty, krzesła, roweru i kompletu ciężarków. Nigdy wcześniej nie podnosiła więcej niż dwadzieścia kilo ale teraz bez wahania dźwignęła trzydziestokilową sztangę i uniosła ją ponad jego głowę.

- Popatrz na mnie, John. Zwrócił na nią poczerwieniałe oczy.

- Nie wiem jak długo to utrzymam - powiedziała.

- Jezu Chryste - wymamrotał. Wciąż leżał w pozycji embrionalnej, trzymając się za krocze, jakby chronił tam coś niezwykle cennego.

- Gdzie jest klucz, John? Lepiej mi powiedz zanim omdleją mi ręce. Już jestem bardzo zmęczona.

Zdołał oderwać jedną rękę od swej obolałej męskości i sięgnął do łańcuszka, który nosił na szyi. Razem z małym krzyżykiem miał do niego przyczepiony klucz.

Reese odłożyła sztangę, tak, aby mieć ją pod ręką, ale żeby on nie mógł jej dosięgnąć. Skóra jej cierpła na myśl o dotknięciu go, ale chwyciła klucz i pociągnęła tak mocno, że zerwał się łańcuszek.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Zanim wyszła z pokoju, powiedziała:

- Miałaś rację, jestem silniejsza niż sądziłam. To twoja zasługa - dziękuję.

- Reese... Reese... kochanie... nie powiesz nikomu, prawda? Nie mogłem się opanować,, jesteś taka piękna... proszę...



Na chwilę zatrzymała na nim wzrok, ale musiała uciekać stamtąd ile sił w nogach. Była teraz tak słaba, że nie była pewna czy uda jej się dojść do samochodu. Kiedy dojechała do domu, pobiegła na górę zdzierając po drodze ubranie. Prawie przez godzinę stała pod gorącym prysznicem. Z trudnością zakręciła kurek i płacząc opadła na podłogę.

John tymczasem zdołał się podnieść i pokuśtykał w kierunku ukrytej kamery. Wyrwał taśmę i pociął ją na kawałki. Film wyszedł niezupełnie tak, jak to obiecał Tomowi Massickowi.

Zaśpiewaj mi jeszcze raz tę piosenkę o Bozi, Lane. Kręcone włosy Jasona przylepiły się do jego policzka, oczy same mu się zamykały, ale wciąż walczył z sennością trzymając ją za rękę. Wiedziała, że to wybieg, aby jeszcze nie odchodziła i było jej bardzo miło. Był dzieckiem Deana, a mógłby być i jej... „Widzę księżyc, a księżyc widzi mnie, Księżyc widzi kogoś, kogo ja zobaczyć chcę, Boże pobłogosław księżyc, pobłogosław mnie, Pobłogosław tego, kogo ujrzyć chcę”.

Do czasu kiedy skończyła nucić (już trzeci raz), Jason głęboko spał. Okryła go troskliwie i wyszła na palcach z pokoju. Przy drzwiach odwróciła się i popatrzyła na małą główką na wielkiej poduszce, skapaną w ciepłym świetle lampki nocnej. Ona i Dean dadzą mu braciszków i siostrzyczki, i stworzą wielką, kochającą się rodzinę...

Ostry dzwonek do drzwi spłoszył jej marzenie. Zerknąwszy raz jeszcze czy Jason się nie obudził, zamknęła drzwi i poszła do salonu. Zegar właśnie wybijał ósmą - godzinę kiedy Jason chodził spać - i zastanawiała się, kto to mógł być o tej porze bez zapowiedzi.

- Kto tam? - zapytała przez drzwi.

- Cześć, Lane. To ty, Lane MacKenzie?

- Tak. Nie widzę kim pan jest. Czego pan chce?

- Lane, to ja, Sam Ford, z biura szeryfa. Jestem znajomym Deana,

- Deana nie ma w domu, panie Ford. Pracuje dziś w nocy. Znajdzie go pan na posterunku.

Głos mężczyzny był niezwykle cierpliwy. - Właściwie, proszę pani, to mam tylko zostawić kopertę i znikam.

- Dla Deana?

- Mógłbym zostawić ją pani. Zaoszczędziłoby mi to wiele czasu, gdyby pani wzięła ją ode mnie.

Lane wahała się przez chwilę, a potem otworzyła drzwi.

Mężczyzna uśmiechnął się grzecznie i podał jej kopertę. Potem bez słowa odwrócił się i odszedł.

Kiedy zamknęła drzwi i spojrzała na kopertę zobaczyła, że napisane na niej było jej nazwisko, nie Deana. Zaskoczona usiadła na krześle, zapaliła lampkę i otworzyła list.

Było to formalne wezwanie do sądu w sprawie o odebranie praw rodzicielskich Deanowi pod zarzutem molestowania przez nią dziecka. Żona Deana pozywała go do sądu, aby odebrać mu dziecko, i posługiwała się reputacją Lane, aby go pokonać. Posługiwała się własnym dzieckiem! Zszokowana i wystraszona oparła się o krzesło mając nadzieję, że myśli jej się uspokoją. Nie mogła jednak opanować drżenia, To była walka pomiędzy Deanem i Jeannie, ale to ona zostanie w niej zniszczona.

Łzy spływały jej po policzku, ale nie była tego nawet świadoma. Nie miała pojęcia jak długo tak siedziała. Kiedy znów odezwał się zegar nie mogła doliczyć się liczby jego uderzeń, nie wiedziała czy była dziewiąta, dziesiąta czy jedenasta, dopóki nie popatrzyła na jego cienkie wskazówki. Jedenasta. Dean pracował na noc i będzie dopiero po świcie.

Lane ogarnęła fala strachu i paniki. Zakręciło się jej w głowie i musiała przytrzymać się ściany, aby nie upaść. Chciała biec, uciekać od swej szkolnej miłości i jego dziecka urodzonego przez inną kobietę, zgorzkniałą i złą kobietę, która oszukała go i zostawiła jego, i dziecko, a teraz chciała zniszczyć cały świat ich i Lane.

Nie mogła jednak zostawić Jasona samego, więc myśl o ucieczce była tylko przelotna. Mogłaby zadzwonić do Deana... Nie, powinna

zachowywać się jak dorosła osoba i poczekać aż wróci do domu, aby to przedyskutować.

Zmusiła się do trzeźwego myślenia, analizując wszystkie chwile jakie spędziła z Jasonem. Czy za mocno go przytulała? Za bardzo na widoku? Czy ktoś ich obserwował z ukrycia? Czy niewłaściwie go dotykała, choćby niechcący?

Kiedy czytała Jasonowi, lubił przytulić się do niej, a i ona to lubiła. Jak można czytać dziecku nie obejmując go ramieniem? Czy jest w tym coś złego? Gdybyjeszcze Jason kiedykolwiek unikał jej uścisków...

Nie! Najpierw nie miał do niej zaufania. Jego mamusia porzuciła jego i tatusia, i wyjechała do Atlanty. Wszystko co mu wtedy zostało to tatuś i gdy zaczął się już do tego przyzwyczajać, zobaczył tę obcą panią, którą tatuś całował, a która wcale nie była jego mamą. To go zmartwiło i zaniepokoiło. Przez długi czas Lane i Dean musieli być bardzo ostrożni, aż pomalą Lane zdobyła zaufanie Jasona, potem jego akceptację, a wreszcie, jak myślała, miłość.

Ale czy zrobiła cokolwiek karalnego w stosunku do dziecka? - ta myśl powracała jak bumerang.

Wezwanie leżało na stoliku tuż koło krzesła, na którym siedziała. Podniosła je znowu. Przesłuchanie miało się odbyć w następnym tygodniu.

- Nie jestem wcale uzależniona - powiedziała Lucille. Wiem, że wypięłam za dużo i przepraszam, jeżeli cię skompromitowałam, ale to może zdarzyć się każdemu, prawda? Peyton, ja byłam w więzieniu i naprawdę myślałam, że umrę na krześle elektrycznym, a tu nagle znajduję się w tej ekskluzywnej restauracji na szczycie świata, naokoło tylko niebo i słońce. Peyton, ja nie widziałam nieba przez pięć

tygodni! To prawda, wypiałam kilka drinków. Każdy by wypił, to wcale nie znaczy, że jestem uzależniona.

- W tym stanie nie ma już krzesła elektrycznego. A ty pijesz po kryjomu od lat. Myślałaś, że o tym nie wiem?

- Po kryjomu? To okrutne, Peyton. Piłam sama, to prawda, ale to dlatego, że mieszkałam sama. Z kim miałam dzielić przyjacielskiego drinka? Z Edwardem? Nie miałam żadnych przyjaciół oprócz Anny...

- Która podjęła leczenie i przestała pić, więc nie jest już twoją przyjaciółką, bo tylko tyle miałyście wspólnego - dokończyła Peyton. Matka zrujnowała jej szanse u Briana Alexandra i ona również była przyczyną całego gniewu w jej życiu. Miała tego dość.

- Mamo, potrzebujesz pomocy i ja już dopilnuję, abyś ją dostała.

- Co ty chcesz zrobić? - zapytała z lękiem Lucille.

- Umówiłam cię w klinice Grasslands na dzisiejsze popołudnie. Zbieraj się, pora już iść.

Lucille zaczęła odkurzać toaletkę. Przesuwała pędzle i kosmetyki Peyton i właśnie sięgała ku pudełku chusteczek, kiedy Peyton wybuchła.

- Przestań, mamo! Nie jesteś tutaj sprzątaczką. Nie musisz tu odkurzać! Zostaw moje rzeczy!

- Och, Peyton, jesteś taka okrutna. Nie wiem za co tak mnie nienawidzisz. Wszystko co robiłam było z myślą o tobie...

- Oprócz wybrania mi porządnego ojca - pogardliwie zauważyła Peyton. - Cóż, nie myśl już o tym. Posłuchaj, rzucisz picie, a potem znajdziesz jakąś przyzwoitą pracę, zamieszkasz u siebie i...

Dlaczego nie mogę zamieszkać tu z tobą, Reese i Lane? Wy dziewczęta potrzebujecie, aby ktoś o was zadbał, a ja...

- Do cholery, mamo, nie jesteś służącą! Już nie! A ja nie chcę z tobą mieszkać, chcę mieć własne życie. Chyba mam do tego prawo?

- Tak, kochanie, oczywiście, ale prawdopodobnie wkrótce wyjdiesz za mąż i...

- Wątpię czy mając matkę alkoholicką uda mi się to - odpaliła z okrucieństwem Peyton.

Po twarzy Lucille spłynęły łzy, Kiedy ponownie podniosła wzrok na Peyton, poprosiła jak dziecko.

- Potrzebuję drinka, Peyton, przyznaję się do tego. Potrzebuję teraz drinka. Nie mogę tego wytrzymać... Proszę cię, kochanie, tylko jednego, obiecuję...

- Dam ci całą butelkę, jeżeli mi obiecasz, że pojedziesz do Grasslands - targowała się beznamiętnie Peyton.

- W porządku, wygrałeś - powiedziała Lucille przez łzy. Zanim Peyton wrocila na górę z butelką z barku, jej matka piła

już wódkę z piersiówki, którą wyjęła ze swojej torebki. - Nie mogłaś nawet wziąć szklanki? - spytała Peyton z odrazą.

- Nie krzycz na mnie - żałośnie błagała Lucille. Przypinając matkę pasami w samochodzie Peyton zastanawiała się, kiedy właściwie zamieniły się rolami.

- Hej, Dean! Znowu pracujesz na podwójnej zmianie?

- Nazbierało się tego - przyznał Dean, Zabierał się za góry papierów, które piętrzyły się na jego biurku jak wydmy na plaży.

- Nie mów mi, że Jeannie wyciąga od ciebie alimenty! Po tyrrri co zrobiła? Prowadząc podwójne życie w Atlancie przez cały ten czas? Jeszcze nie wyszła za tego faceta?

- Nie wiem, jak ci to delikatnie powiedzieć, Sam, ale...

- Wiem, wiem. Po prostu diabli mnie biorą, gdy widzę jak z porządnego faceta i dobrego gliniarza robią idiotę.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem, Sam. Mam najwspanialsze

dziecko na ziemi, a kobieta, którą kochałem całe życie czeka na mnie w domu. Nie płacz za mną, Argentyno.

- Taak... Jesteś pewien, że to dobrze, że spędza czas z dzieciakiem?

Dean obrócił się na krześle i przygwoździł szeryfa miasta stalowym spojrzeniem.

- A co to do diabła ma znaczyć?

- Nic, nic... Przepraszam, Dean.

- Co ty do cholery próbujesz powiedzieć, Sam? - Dean wstał i podszedł do niższego mężczyzny. Czekał na odpowiedź.

- No nie obrażaj się, Dean. Jestem twoim kumplem i pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. I tak wkrótce byś się dowiedział, a poza tym sądziłem, że do ciebie zadzwoni. Chciałbym, abyś wiedział, że bardzo mi przykro.

Dean złapał szeryfa za czarny krawat i pociągnął go lekko ku górze.

- Wyksztuś to wreszcie, Sam! - zażądał z wściekłością.

- Ja tylko wykonuję moją pracę. Musiałem dostarczyć jej wezwanie.

Właśnie byłem u niej w domu. Myślałem, że do ciebie zadzwoni...

Dean puścił go i dopadł do telefonu.

- Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia zanim z nią porozmawiam?

- zapytał wykręcając numer do domu,

Sam potrząsnął głową i wycofał się z pokoju. Dean popatrzył za nim z odrazą.

- Lane? Lane, mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie, nie położyłam się. Wręcz przeciwnie, zrobiłam sobie duży kubek mocnej kawy. Ale to nie dzięki kawie prawdopodobnie nie prześpię kilku następnych nocy.

- Lane, Boże, posłuchaj. Sam Ford właśnie powiedział mi, że doręczył ci wezwanie do sądu. W jakiej sprawie? Co się dzieje, Lane? Czy to prawda? O co w tym chodzi?

Powstrzymywane dotąd Izy spływały teraz gorącą falą po policzkach Lane. Z ledwością mogła mówić.

- Lane, kochanie, zaraz tam będę. Poczekaj na mnie, jadę do domu...

Usłyszał tylko jej łkanie. Wyszeptał tylko, że ją kocha, odłożył słuchawkę i wybiegł. Sam Ford miał szczęście, że wycofał się do biura szeryfa zanim Dean mógł go dopaść.



Lane, dobrze się czujesz?

- Cicho, obudzisz Jasona. Już w porządku. Przepraszam, że się załamalam. Chcesz kawy?

- Pokaż mi wezwanie.

Podniosła je ze stołu i podała mu. Obserwowała jego twarz, zniszczoną jak na człowieka przed trzydziestką, dla niej wciąż przystojnego koszykarza, któremu kiedyś kibicowała. Na słowa w dokumencie zareagował najpierw niedowierzaniem, a potem narastającym przerażeniem.

- To Jeannie ci to robi - powiedział w osłupieniu.

- Dlaczego, Dean? Dlaczego ona to robi? To najpodlejsza i najbardziej niszcząca rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam.

- Nie wiem, ale nie ujdzie jej to na sucho. Weźmiemy Briana Alexandra na obrońcę, może on sobie z tym poradzi.

- Będą musieli przeprowadzić dochodzenie... Wiesz, jakie tego mogą być skutki, Dean? Co to będzie? O co mnie będą pytać? O co będą pytać Jasona? Biedne dziecko... Nie mogą go zmusić, aby mówił o takich rzeczach przy obcych...

- O jakich rzeczach? - zapytał ostro Dean. Zbyt ostro. Lane spojrzała na niego zaskoczona i nagle otoczyła ją czarna chmura, zimna, duszna oddzielająca od świata.

- O jakich rzeczach? - powtórzyła jego słowa i jego ton wątpliwości. - Czy myślisz, że mówię o rzeczach, które mogły zdarzyć się między Jasonem... - wzbierające łzy znów utrudniały jej mowę - między Jasonem a mną? Tym czteroletnim chłopcem a mną? - Prawie krzyczała.

- Uspokój się - powiedział Dean, doprowadzając ją do jeszcze większej furii. - Obudzisz go,

- Tak - powiedziała Lane cicho. Myśl o tym, że niewinne dziecko mogłoby się obudzić na dźwięk podenerwowanych głosów dorosłych odwróciło jej uwagę od jej własnych uczuć. - Lepiej już pójdę. Porozmawiamy o tym jutro, kiedy oboje ochłoniemy.

- Nie rozumiem dlaczego się ode mnie odwracasz. Co takiego powiedziałem? Co zrobiłem?

Lane włożyła płaszcz i wyjęła z torebki kluczyki. Przy drzwiach zwróciła się ku niemu.

- Gdzieś głęboko w duszy nie możesz przestać myśleć o tym, prawda?

Dean patrzył na nią potrząsając przecząco głową. Lecz później widziała jak przebiega w myślach wszystkie słowa jakie padły między nimi, jak dobry detektyw szukający wskazówki do rozwiązania zagadki kryminalnej i jak przyznaje się, przynajmniej częściowo, do winy.

- Lane - powiedział po prostu - jak czułaś się, kiedy po raz pierwszy przeczytałaś te słowa? Czy próbowałaś sobie coś przypomnieć, zastanawiałaś się?

- Tak, to prawda - odpowiedziała wolno. Od powstrzymanego płaczu bolało ją gardło. - Zastanawiałam się. Ale różnica między tobą a mną polega na tym, że ja zastanawiałam się, czy moje dotychczasowe zachowanie mogło być źle zinterpretowane. Ty natomiast zastanawiasz się czy przypadkiem nie zrobiłam czegoś okropnego. Myślisz, że może zdolna bym była skrzywdzić Jasona w ten sposób. Niech Bóg pomoże nam obydwójgu. I niech Bóg pomoże Jasonowi.

Gdy w pośpiechu schodziła ze schodów, w głowie brzmiały jej słowa piosenki, którą śpiewała Jasonowi. Chciała odjechać zanim

Dean wyjdzie za nią próbując ją zatrzymać, ale nie mogła prowadzić samochodu dopóki nie uspokoiła się nieco. Nie miało to znaczenia -Dean nie wybiegł za nią.

Zadzwoił telefon ale Reese go zignorowała. Nie było nikogo, z kim chciałaby rozmawiać. Włączyła się sekretarka: „Nie możemy teraz podejść do telefonu, więc zostaw swój numer, a któraś z nas oddzwoni”.

- Cześć, Reese. Jestem głosem z twojej przeszłości, mam nadzieję, że ci nie przeszkadza. Mówi David Cuthbertson. Dawno już nie gadaliśmy i nie widziałem cię od matury. Jestem tu w interesach i bardzo chciałbym się z tobą spotkać...

Reese schwyciła różową słuchawkę i wrzasnęła do niej;

- Nie mogę się z tobą spotkać, nie mogę się z nikim spotkać! Nie dzwoń do mnie! Przestań, zostaw mnie w spokoju!

Trzasnęła słuchawką i opadła na poduszki, wyczerpana tym niezwykłym jak na nią wybuchem. Poczowała jednak dziwną ulgę, jakby dusząca ją dotąd mordercza wściekłość znalazła swoje ujście.

- Reese! Reese, kochanie, to ja, tata! Otwórz drzwi! Wpuść mnie Reese, to ja!

Edward czekał całą wieczność zanim drzwi wreszcie się otworzyły. Przez wąską szparę dostrzegł zaczerwienione oczy i potargane włosy swojej córki. - Wpuść mnie, kochanie.

-Tata?

- Reese, na litość boską, co się z tobą dzieje? Martwisz mnie. Otwórz, kochanie.

Drzwi zamknęły się, szczęknął łańcuch, na założenie którego na-

legal kiedyś sam Edward, i Reese rzuciła mu się w ramiona, szlochając i przytulając się z całej siły. - Och, tato!

Wszedł z nią do domu, zatrzasnął drzwi nogą i poszli do salonu. Usiedli na sofie. Reese cały czas płakała w jego ramionach. Cała drżała, co go bardzo niepokoiło, ale wiedział, że w swoim czasie powie mu wszystko. Powoli płacz ustał i otarła oczy.

- Skąd wiedziałeś, że mam kłopoty, tato?

- Twój stary kolega ze szkoły, David Cuthbertson próbował się do ciebie dodzwonić i paskudnie go potraktowałaś. Ponieważ nie zrobił nic, co mogło cię urazić, a przynajmniej tak mu się wydawało, zaczął martwić się o ciebie i zatelefonował do mnie. Wybiegłem z zebrania, żeby jak najprędzej tu dotrzeć. Co się dzieje, kochanie? Czy David cię skrzywdził?

Reese pokręciła przecząco głową. - Nie, to nie David.

- Kto skrzywdził moją dziewczynkę?

- Och, tato, wiem, że zachowuję się jak dziecko, ale naprawdę nie musisz mnie tak traktować. Już wszystko w porządku. Pozwolisz, że nie będę do ciebie mówiła „tatusiu”? To strasznie głupio brzmi w moim wieku.

- Patrzcie na nią! Masz czerwone i opuchnięte od płakania oczy, dopiero co wtulałaś się we mnie, jakby twoje życie miało od tego zależeć, a teraz znów zamierzasz być dorosła?

Miał nadzieję ją rozśmieszyć i udało mu się to.

- A teraz, Księżniczko, powiedz mi co doprowadziło cię do takiego stanu. Czy ktoś cię skrzywdził? Co się stało? Nie zachowywałaś się tak nawet gdy umarł... jak mu tam?

Reese znów się roześmiała. Jej ojciec był niepoprawny.

- Nazywał się Travis, tato.

- Wiem, wiem, chciałem tylko zobaczyć uśmiech w twoich oczach. Teraz powiedz mi wreszcie co się wydarzyło.

- Ja... Ja.... Nie wiem czy mogę...
- Obiecuję, że się nie będę gniewał - powiedział Edward.
- Dziwnie mówisz - Reese ponownie wydmuchała nos.
- Zawsze chcesz, abym ci to obiecał zanim mi coś wyznasz.
- Tato... Ktoś próbował... zaatakować mnie dziś po południu.
- Zaatakować cię? To znaczy napaść cię, uderzyć, wyrwać torebkę?

Co się stało, u diabła, Reese? ! Nie karz mi się dłużej domyślać bo dostanę zawału.

- Ktoś próbował mnie zgwałcić - powiedziała. Ku swojemu przerażeniu zdała sobie sprawę, że na swój sposób rzeczywiście obawiała się, że się na nią wścieknie. Jakie to dziwne... Przecież nie zrobiła nic...

- Zgwałcić cię? Mój Boże, Reese, kto to był? Kto?

- Mój trener, John. Boże, nie mogę sobie nawet przypomnieć jego nazwiska. Znasz go, tato - przez trzy lata był moim prywatnym trenerem. Ma swoje studio na Gaston Street.

- Zabiję go! Zabiję łajdaka gołymi rękami!

- Tatusiu, proszę. Jemu się to nie udało. Próbował, ale powstrzymałam go zanim coś się wydarzyło. Czuję się dobrze. Po prostu okropnie mną to wstrząsnęło. Czuję się brudna i przerażona, i prawdopodobnie gdy David zadzwonił, wybuchłam. Teraz mam wyrzuty sumienia, biedny David. Muszę go przeprosić. Co on musiał sobie pomyśleć...

- Był na tyle mądry, że zadzwonił do mnie. Jesteś pewna, że nic się nie stało? Może pójdziesz do lekarza? Może ten... ma AIDS albo co innego... O, Jezu...

- Tato, nie! Naprawdę nic się nie stało, tylko się przestraszyłam. Myślę, że byłbyś ze mnie dumny. Kopnęłam go, a potem podniosłam ciężką sztangę i trzymałam mu ją nad głową grożąc, że upuszczę ją, jeśli nie odda mi klucza, abym mogła się wydostać...

- Zamknął cię?

Reese potaknęła. Czy powie jej teraz że była głupia dając się w ogóle postawić w takiej sytuacji? Znow zaczęła drzeć.

Ale Edward zajęty był własnymi myślami. Wstał. - Jesteś pewna, że już wszystko w porządku? - zapytał jeszcze raz.

- Tak. Nie widzisz? Czuję się dobrze.

- A gdzie do diabła są twoje koleżanki?

- Lane pracuje. Nie wiem gdzie jest Peyton. Ale naprawdę już wszystko w porządku. Nic się nie stało i czuję się absolutnie dobrze. Wracaj na swoje zebranie.

- Dobrze. Kocham cię - pocałował ją w czoło.

- Zadzwoń lepiej do Davida.

- Zapomniałem ci powiedzieć - zatrzymał się w Bailastone Inn.

- W Savannah? To wspaniale!

- Może najpierw trochę odpocznij zanim zaczniesz kokietować następnego młodego człowieka. Może powinnaś wrócić na trochę do domu, żeby Veronika się tobą zajęła...

- Veronika! Nie, dziękuję. Czuję się świetnie. A David nie jest następnym młodym człowiekiem, tylko moim dobrym kolegą ze szkoły. Nie widziałam go od roku i mamy mnóstwo rzeczy do obgadania. Poza tym nie uważasz, że powinnam go przeprosić za to, że go tak nastraszyłam?

- Dobrze, rób co uważasz za właściwe. Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Tak, tatusiu, tato - powtórzyła cierpliwie.

- Bardziej mi się podoba „tatusiu”.

- Cześć, tato - odprowadziła go do drzwi i otworzyła je szeroko.

Zrozumiał aluzję, pocałował ją i poszedł do swego błyszczącego, czarnego Jaguara.

Reese zatelefonowała do Davida, który czekał w eleganckim holu

hotelu albo na wiadomość od niej, albo od Edwarda. Z ogromną ulgą postyszał jej głos, nie chciał słuchać przeprosin i powiedział, że będzie pod jej drzwiami za dziesięć minut.

- Jestem cała zapuchnięta od płaczu - ostrzegła go.

- Nie będę patrzył - obiecał i odwiesił słuchawkę.

David był lekarstwem jakiego potrzebowała. Ucałował ją po przyjacielsku. - Wyglądasz pięknie - powiedział.

- David! Jak możesz tak mówić! Mam czerwone oczy i... ale wybaczam ci. Wybaczam wszystkim, tak się cieszę, że cię widzę, Jeszcze raz przepraszam za to jak z tobą rozmawiałam. Wybacz - nie byłam sobą...

- Ten, o którym myślałaś bez wątpienia zasłużył sobie na to. A teraz zabierz mnie na spacer po tym cudownym miasteczku, którym zawsze się tak chwaliłaś w drodze do szkoły zimą.

- Pamiętasz kiedy pierwszy raz zobaczyłam śnieg? - roześmiała się. Tak dobrze było się śmiać, że mogłaby na miejscu wyjść za Davida. Wzięła go pod rękę i wyszli z domu.

- Co cię sprowadza do Savannah? - zapytała Reese.

David był bardzo wysoki i musiał skrócić krok, aby mogła nadążyć. Szli wolno, jak przystało na tak piękne miejsce.

- Każdy kto nazywa siebie architektem powinien zobaczyć słynne domy Savannah - powiedział David.

- Nigdy nie wiem kiedy żartujesz, a kiedy mówisz poważnie - Reese dała mu lekkiego kuksańca. W odpowiedzi ujął jej dłoń w swoją i trzymał tak gdy szli dalej.

- Osiadłem w Vermont niedaleko Bennington, tam, gdzie robiliśmy nasze sławetne wypadki

- Czy to możliwe, że naprawdę związywałyśmy prześcieradła i wymykałyśmy się po nich z trzeciego piętra? - roześmiała się.

- Ty i kilka twoich zwariowanych koleżanek. A co nasza paczka zrobiła tamtej nocy z niespodziewanie uzyskaną swobodą?

- Nie pamiętasz? - zapytała z udawanym rozczarowaniem.

- Ależ oczywiście, że pamiętam. Poszliśmy na pokaz horrorów. A potem piliśmy piwo, aż było na tyle późno, żebyście mogły wejść z powrotem frontowymi drzwiami.

Reese roześmiała się. Idąc i rozmawiając, często zatrzymywali się, a Reese pokazywała mu wszystkie odrestaurowane domy, opowiadając ich historię i wskazując na szczegóły architektoniczne jak najlepsza przewodniczka.

- A więc jesteś architektem - powiedziała. - I odnosisz wielkie, wielkie sukcesy?

David pokręcił głową. Mieli taki sam kolor włosów.

- Wcale nie. Buduję domy i kluby, kościoły i sklepy, którymi duże firmy nie zwracają sobie głowy. Radzę sobie, ale nigdy nie będę bogaty.

- Ale lubisz swoją pracę - zapytała. Było to właściwie pytanie retoryczne, oczywiście było, że David był człowiekiem zadowolonym ze swojego życia.

- Tak - odpowiedział, - Czasami tylko czuję się trochę odcięty od świata pośród gór i lasów Vermont. Nie chcę robić wciąż tego samego, nie chcę, aby moje budynki były wszystkie w stylu Nowej Anglii, więc pomyślałam, że przez kilka dni popatrzę sobie na słynne domy w Savannah.

- To wspaniała niespodzianka - powiedziała Reese. Nie pytała go, a on nic nie mówił, czyjej osoba ma jakiś związek z jego przyjazdem właśnie tu.

- A ty? - zapytał ją. - Zdaje się, że nie wyszłaś za tego swojego chłopaka z liceum.

- Popatrz na ten dom - zatrzymała się przed drewnianym bu-



dynkiem o ciekawym froncie. - Tak właśnie dekorowano domy ponad sto lat temu. - A to są domy bliźniaki wybudowane w 1820 roku.

David szybko podążał za jej zmianami nastroju. - Wiesz może jak nazywa się ta robota murarska? Jest niezwykła, nigdy się z czymś takim nie spotkałem.

Reese była zadowolona, bo знаła odpowiedź. - To się nazywa murarka flamandzka. Spójrz też na drzwi - mają eliptyczne łuki i promieniste świetliki. No i te przepiękne, zgrabne kolumny.

- Kocha pani to miasto, panno Scarlett.

- Cóż panie Rhett, liczy się tylko ziemia!

Roześmiali się, a ona przyrzekła, że przestanie mówić jak przewodnik. Poszli piękną aleją do Lincoln Street skręcili w President Street aż doszli do Columbia Square.

- Chcesz usiąść na chwilę? - zapytała.

Usiedli na ławce na placu. - Mam wrażenie, że placów w Savannah jest bez liku - zauważył.

- Ależ można je policzyć. Mogę ci dokładnie powiedzieć...

- Nie musisz, naprawdę! - znów się roześmiali i David wziął głęboki wdech. Na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego zaskoczenia. - Czy to możliwe, że czuję magnolie? Ten słodki i delikatny zapach - czy to to, o czym pisali ci wszyscy poeci?

- Zgadza się. Podoba ci się?

- Bardzo.

- David, musisz opowiedzieć mi co porabiałeś od czasów szkoły i jak wygląda twoje życie w Vermont. Jesteś żonaty?

David pokręcił głową. - Nie, jestem chyba starym kawalerem. Zbudowałem sobie dom i żyję jak pustelnik, na wzgórzu, bez elektryczności i bieżącej wody. Tylko ja i wokół mnie najpiękniejsze lasy świata... Chyba jestem dziwakiem, ale lubię to życie. Projektuję domy

dla ludzi, zrobiłem klub i nawet mały budynek biurowy w Rutland. Mam wystarczająco dużo pracy i wystarczająco dużo książek do czytania. Zimą jeżdżę na nartach i czytam, i... odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”. Zawsze za dużo gadałem.

- To brzmi cudownie, Davidzie. Ja chyba nigdy nie będę mogła robić w życiu tego, co naprawdę chcę...

- Reese!

Rozejrzała się, zaskoczona. W ich kierunku szła Peyton trzymając pod ramię Briana Alexandra. Wyglądali na podekscytowanych i zmieszanych, jakby złapano ich na czymś, czego nie powinni robić.

- Cześć, Peyton. Jak miło cię widzieć, Brian - powiedziała Reese. To mój przyjaciel, David Cuthbertson.

Wymienili przywitania, a potem Peyton przytulając się mocno do Briana powiedziała do niego:

- Brian, mogę powiedzieć? Reese jest moją najlepszą... Reese jest moją siostrą!

David był lekko zaskoczony, nie wiedział, że Reese ma siostrę.

- Peyton obiecała wyjść za mnie - oznajmił im Brian.

- Ale.., - Reese powinna była ugryźć się w język. Nie chciała psuć radości Peyton, której nigdy nie widziała tak szczęśliwej. Niewypowiedziane pytanie dotyczyło matki Briana i Peyton w lot je pojęła.

- Brian i ja postanowiliśmy podejść do tego jak dorośli ludzie, On zajmie się swoją matką, a ja swoją.

Cała czwórka udała się do baru, aby wznieść toast za szczęśliwą parę. Od czasu do czasu Reese chwytiała spojrzenia Davida jakby sprawdzał, czy dobrze się czuje. Tymczasem pomału zapominała o okropnych wydarzeniach poranka. W końcu nic się nie stało, prawda? A spotkanie starego przyjaciela było prawdziwym lekarstwem.

Po wypiciu butelki szampana, rozweselona czwórka wyszła na świeże, wieczorne powietrze. - Znów ten zapach - powiedział David.

Z jakiegoś powodu wszystkim wydało się to bardzo śmieszne. Później przyszła pora żeby iść każdy w swoją stronę. Brian uścisnął dłoń Davida i cmoknął Reese w policzek, Reese ucałowała Peyton, a Peyton Davida. Na koniec David pocałował w policzek Reese, która krzyknęła i pobiegła jak opętana ulicą i prawie wpadła pod taksówkę, którą zatrzymała.

Pozostali patrzyli za nią w całkowitym osłupieniu.

Stary prawnik o mało się nie przewrócił wchodząc do biura Edwarda.

- Hej! - wykrzyknął patrząc na błyszczący czubek swojego buta, do którego przyczepiła się nitka z dywanu wiedziałeś, że masz dziurę w tym chodniku?

- To nie jest chodnik tylko dywan z Aubusson. Ręcznie robiony, jedyny w swoim rodzaju. Wartość muzealna. Masz pojęcie ile kosztował? Usiądź, Napijesz się kawy albo drinka? - odpowiedział na to Edward.

- Nie, dziękuję. Za późno na kawę, za wcześnie na drinka. Dobrze wyglądasz, Edwardzie.

Siwowłosy polityk położył teczkę na rogu biurka Edwards i usadowił się w jednym z foteli z czerwonej skóry.

- Dostyc tych bzdur - uciął Edward. - Poprosiłem, abyś przyszedł, ponieważ mam delikatną sprawę dotyczącą mojej córki, a w twojej kancelarii kręci się zbyt wielu nedorobionych urzędników.

- Moje biuro jest bezpieczne, wiesz o tym - bronił się George Bligh. Był przyzwyczajony do tego rodzaju zrzędzenia tego klienta. Zastanawiał się, o którą córkę mu chodzi - plotki szybko roznoszą się w sądzie.

- Nie obrażaj się. Stało się coś strasznego i potrzebuję twojej pomocy, George. Twojej pomocy prawnej, przyjaźni, jak i twojej dyskrecji.

- To dużo - zauważył stary adwokat

- Reese napadnięto wczoraj i chcę winnego pociągnąć do odpo-

wiedzialności. Taki facet powinien być wykastrowany i powieszony. A jeżeli prawo tego nie robi, to jestem gotów zrobić to sam - Edward oparł łokcie o stół i pochylił się tak, aby Bligh mógł dostrzec determinację w jego oczach.

- Czy tego człowieka aresztowano?

- Jeszcze nie. Chcę, abyś dopilnował, żeby to zrobiono, i to jak najszybciej. Usuń chociaż jednego gwałciciela z ulic Savannah.

- Och, ktoś ją zgwałcił? - Bligh był naprawdę przejęty.

- Nie! - wykrzyknął Edward. - Była na tyle sprytna i silna, żeby mu uciec. Ale intencje miał oczywiste.

- Będzie musiała osobiście złożyć skargę na posterunku - powiedział Bligh. - Naturalnie pójde z nią...

- Naturalnie nie pójdziesz! - krzyknął Edward. Wstał, odepchnął fotel i pochylił się nad biurkiem. - Nie będzie się jej ciągać po posterunkach! Ja złożę skargę za nią!

- Posłuchaj, Edwardzie, wiem, że to był szok, wiem, jak kochasz Reese i że chciałbyś ją ochraniać, ale to ona jest osobą poszkodowaną...

- Do cholery, George! Jeśli nie zrobisz czegoś, aby jej w to nie mieszać, osobiście zabiję tego sukinsyna i to z wielką satysfakcją - pochylił się na tyle blisko, aby prawnik zobaczył w jego oczach, że nie żartuje.

- Bligh, który w swojej długiej karierze widział i słyszał niejedno, nigdy nie lekceważył żadnych pogroźek.

- W porządku. Mam nadzieję, że masz dobrego adwokata od spraw kryminalnych.

- Przepraszam, George. To mnie wykańcza. Moja córeczka...

- Przypuszczam, że to przemyślałeś - powiedział ostrożnie Bligh. - Wiesz, że to może zaszkodzić twoim planom wzięcia udziału w wyborach do Senatu.

Po minie Edwarda, George Bligh domyślił się, że o tym jego klient nie pomyślał.

- Chcesz powiedzieć, że twoje ugrupowanie odmówiłoby mi poparcia, gdybym to zrobił?

- Nie byłby to dobry początek kampanii, nie uważasz?

Edward wstał i zaczął przemierzać pokój. - Nie powiesz mi, że ludzie mieszkający w tym stanie winiliby ojca za to, że chciał się rozprawić z kimś kto zaatakował jego córkę!

Rozprawić się - tak. Ale nie zabić. Znam cię, Edwardzie i sędzę, że wiem na co cię stać. Albo możesz zostać prężnym senatorem, który zrobiłby wiele dobrego dla tego stanu i naszej partii. Jesteś jednak również człowiekiem przyzwyczajonym do tego, że stawia na swoim, zazwyczaj dzięki pieniądзом, i że czasem jesteś uparty, i kierujesz się namiętnościami nie rozsądkiem. Ja ci radzę, abyś zapomniał o zemście i postępował zgodnie z prawem. Ludzie będą cię za to szanować.

Przez chwilę po tej rozmowie Edward rozważał pomysł wynajęcia kogoś kto by sprzątnął tego śmiecia, ale marzenia o Senacie tańczyły w jego głowie.

John Larmore poszedł do więzienia na wniosek Edwarda. Reese miała być wezwana jako główny świadek na rozprawę, ale Edward przynajmniej oszczędził jej bólu związanego ze składaniem skargi i pierwszymi przesłuchaniami. Dobrze było mieć wpływy. Myślał o startowaniu w wyborach do senatu stanowego. Ale dlaczego by nie podnieść poprzeczki? Może mógłby zostać senatorem Stanów Zjednoczonych za dwa lata, kiedy zwolni się miejsce? Rozważając tę możliwość Edward Burton postanowił nie zabijać sukinsyna, który próbował zgwałcić jego córkę. Poprzysiągł sobie natomiast, że dopilnuje, aby łajdak został za kratkami tak długo jak tylko prawo przewiduje. A potem osobiście dopilnuje, żeby opuścił miasto na zawsze.

Nie satysfakcjonowało go to całkowicie, ale musiał myśleć o przyszłości. Nie wyświadczyłby swojej małej córeczce przysługi, gdyby sam stanął na sali sądowej, a na pewno będzie dumna kiedy jej tatuś zostanie senatorem... Kto wie, może kiedyś będzie mógł się ubiegać nawet o najwyższe stanowisko... To by oznaczało duże pieniądze wydane na ukrycie tajemnic rodzinnych. Wiele spraw musiałby wyciszyć, ale wszystko jest możliwe w dobrej, starej Ameryce.

Na Lane wypadła kolej przygotowania kolacji, z czego Reese i Peyton były bardzo zadowolone. Nie chodziło wyłącznie o to, że tylko ona w tej dziedzinie miała doświadczenie, chociaż nie było to bez znaczenia. Uwielbiała gotować i miała wspaniałe pomysły kulinarne. Peyton nie znosiła czynności kuchennych, polegała głównie na mrożonkach i puszkach. Reese bardzo chciała się nauczyć, ale wszystkie jej próby kończyły się fiaskiem, mówiąc delikatnie.

Teraz, gdy Reese i Peyton zostały współwłaścicielkami łodzi, spędzały mnóstwo czasu pracując, i to ciężiej niż obie przypuszczały. Prowadzenie restauracji wymagało sporo zachodu, zwłaszcza, że mieściła się ona na starej łodzi zakotwiczonej na stałe na rzece Savannah i wymagającej nieustającej konserwacji. Istniał jeszcze inny problem: żadna z nich nie ufała Tomowi Massickowi, a jak dotąd nie udało im się go wykupić.

Stół nakryły dla trzech osób. Peyton usadowiła się na krześle i zaczęła wertować ostatnie wydanie pisma dla nowożeńców.

- Co myślicie o tej? - zapytała, pokazując im błyszczącą fotografię panny młodej, wykwiintnej, białej, koronkowej sukni.

Reese popatrzyła uważnie. - Wchodzi w rachubę - powiedziała.

Peyton ostrożnie wydarła stronę i położyła ją na kupce innych fotografii sukien ślubnych.

- Oooo, tu jest coś jeszcze, a może w ogóle powinnam się na to zdecydować od razu. Kryształowe szklanki od Lalique'a. Różne rozmiary do różnych typów win. Przynajmniej po dwa tuziny z każdego rodzaju, nie sadzisz?

Reese roześmiała się. - Może nie na sam początek - powiedziała.

Peyton odgarnęła rudy kosmyk i uśmiechnęła się. Wydarła kartkę z magazynu i położyła na kupce ewentualnych zakupów. Przeglądając dalej zdjęcia skierowała rozmowę na sprawy Reese,

- Co się dzieje między tobą a Davidem?

- Zupełnie nic, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi - Reese podeszła i usiadła koło niej. Podniosła zdjęcie z kupki rzeczy, na które Peyton już się zdecydowała. - Ten srebrny wzorek jest zbyt wymyślny. Babcia zawsze mawiała: „Nie pozwól, aby twoje srebra przyćmiewały porcelanę”.

- W takim razie będę musiała postarać się o wymyślniej szą porcelanę - odpowiedziała Peyton. Miała poważną, ale jednocześnie zakłopotaną minę. - Jeśli on nic dla ciebie nie znaczy, to dlaczego uciekłaś jak szalona, gdy cię pocałował?

- Co? Co się stało? - chciała wiedzieć Lane. Odwróciła się ku nim, w jednej ręce trzymając cebulę a w drugiej nóż. Z oczu płynęły jej łzy od obierania paskudnego warzywa.

- Zobaczysz jak poznasz Davida, niezły facet! - powiedziała Peyton. - Cmokaliśmy się przedwczoraj wieczorem wszyscy na do widzenia, byliśmy w niezłych humorach po szampanie - to było tego dnia kiedy ja i Brian zaręczyliśmy się.

- No tak! Jak zwykle ominęło mnie coś przyjemnego. Byłam na wyspie Tybee w sprawie włamania do akwarium. Myśleli, że ktoś ukradł rzadki okaz ośmiornicy, ale okazało się, że nowy pracownik wsadził ją do innego zbiornika i została pożarta przez rekina. Zosta-



ly jakieś szczątki i po tym sie. zorientowali. Miła wycieczka, ale nic do opisanie. No i przypadło mi wasze świętowanie.

- Reese zachowała się bardzo dziwnie, kiedy jej stary kumpel cmoknął ją w usta, mówię ci. Uciekła jak szalona.

Lane umyła ręce i podeszła do stołu, gdzie Reese siedziała bez słowa. Położyła dłonie na ramionach przyjaciółki.

- Reese! Czy... Nadal przejmujesz się tym co wydarzyło się z twoim trenerem?

Reese potaknęła.

Lane spojrzała na Peyton. - Czasami potrafisz być taka niedelikatna, Peyton!

- Nie wierzę, żeby ją to cały czas męczyło. On jej nawet nie zgwałcił. Wszystkie miałyśmy przynajmniej raz do czynienia z takimi goryłami i nie paraliżuje nas to, gdy taki smaczny kąsek jak David Cuthbertson zjawia się na horyzoncie. Przyznaj się, Reese - byłaś po prostu zaskoczona takim gestem Davida.

Reese potrząsnęła przecząco głową. - Naprawdę nie żywię żadnych szczególnych uczuć do Davida. Gdybyś nie była zaręczona z Brianem powiedziałabym, że masz wolną rękę i powodzenia! Wszystko w porządku. Lane, dzięki - dodała, poklepując dłoń przyjaciółki. Lane wróciła do garnków.

Nie powiedziała koleżankom o pozwie, który wisiał jej nad głową. Nie powiedziała im również, że ma jakiegokolwiek kłopoty z Deanem. Spędzała dni pracując ciężiej niż zazwyczaj, a wieczory na samotnych seansach w kinie lub w domu, oglądając telewizję albo czytając. One były tak zajęte pracą po godzinach w restauracji, że nawet nie zauważyły, że od jakiegoś czasu przestała się widywać z Deanem.

Lane właściwie nie wiedziała dlaczego nie chce z nimi o tym rozmawiać. Była zawstydzona i przerażona, i czuła się bardziej samotna

niż kiedykolwiek przedtem. Ten wstyd przygnębiał ją najbardziej. Nic złego nie zrobiła, była tego pewna, a jednak przebywanie z dzieckiem oznacza przytulanie i pocałunki... Nie, obiecała sobie, że nie będzie tego rozpamiętywała. Sprawa sądowa zbliżała się i gdy przyjdzie na to pora, będzie musiała sobie jakoś poradzić. Teraz zajęła się krojeniem warzyw.

- Och, kochana moja, jesteś najlepszą rzeczą jaka mi się mogła przydarzyć! - mrucał Brian, gdy delikatnie pieściła jego uda, brzuch, klatkę piersiową i wracała z powrotem w dół...

- Kochasz mnie, skarbie? - szeptała namiętnie.

Tylko mruknął i posadził ją na sobie, a ona drażniła się z nim tak długo, aż głośno wykrzyczał swą miłość do niej. Także później mówił do niej:

- Naprawdę kocham cię, Peyton, Nie obchodzi mnie, co myśli moja matka. To nasze życie, nie jej. Zobaczysz.

- Sądzisz, że przyjdzie na ślub? - zapytała Peyton tonem, z którego łatwo było wywnioskować, że wcale jej na tym nie zależy.

- To nie ma dla mnie znaczenia - wyszeptał Brian, przesuwając opuszkami palców po jej twarzy.

- Owszem, ma - powiedziała. Usiadła, odsuwając się od niego.

- Oczywiście, że ma, Brian. Jest twoją matką. Czy chcesz, żebym na resztę życia zrobiła sobie wroga z własnej teściowej? Musisz się z nią pogodzić, kotku. Jakoś musisz...

- Tylko pod warunkiem, że i ty będziesz moja.

- Ależ oczywiście! - zgodziła się Peyton. Znow położyła się koło niego, ale kiedy rozpoczął zabiegi miłosne, ponownie trochę się odsunęła.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Brian, kochanie, jeżeli mnie kochasz i chcesz się ze mną ożenić, i wszystko jest tak jak mówisz, to dlaczego nie dostałam od ciebie pierścionka zaręczynowego?

- Chciałem ci ofiarować... Moja matka ma pierścionek ze szmaragdem, który należał do mojej babci... Mój ojciec dał go jej, a ona zamierza dać go mojej żonie... A teraz nie wiem... Kupię ci inny. Chodźmy na zakupy, kupię ci największy, najjaśniejszy brylant na świecie! Ale najpierw przysuń się bliżej i poruszaj się troszeczkę tak jak przedtem...

Peyton spełniła jego prośbę, a gdy się później ubierali, powiedziała słodko: - Nie chcę błyszczących diamentów, Brianie. Chcę być częścią twojej rodziny, ze wszystkimi jej tradycjami. Rozumiesz mnie, kochanie, prawda?

Rozumiał. Problem polegał nie tyle na tym, jak poprosić matkę o rodzinną spuściznę, aby ofiarować ją Peyton Richards, ale na tym, że pierścionek nosiła już inna kobieta. Nancy Lewis była tą, którą Eleanor wybrała na żonę dla syna i która przyjęła od niego pierścionek prawie rok temu. Brian był silny i przekonujący w sali sądowej, gdy jednak chodziło o kobiety - zwłaszcza takie jak jego matka czy Nancy - zapalały mu się w głowie znaki ostrzegawcze: NIEBEZPIECZEŃSTWO - UNIKAJ WSZELKICH KONFLIKTÓW.

Wszystko co powiedział Peyton było prawdą - nigdy wcześniej nie był tak zakochany, chciał się z nią ożenić i mieć ją zawsze przy sobie. Chodziło tylko o to, że jeszcze nie wiedział jak zakomunikować to swojej matce i narzeczonej.

Wierzył jednak, że miłość sama znajdzie rozwiązanie. Gdyby tylko Peyton była trochę cierpliwsza! Gdyby znalazł ją chociaż trochę lepiej, wiedziałby, że cierpliwość napewno nie jest najsilniejszą cechą jej charakteru.

Jeese? Jak się czujesz? - zapytał David głosem winowajcy. - W porządku. Nie wiem co mi się stało, że tak uciekłam przedwczoraj...

- Nie przepraszaaj, Reese. Czy wiesz, że przepraszasz przynajmniej dwa razy dziennie odkąd się to stało? Pora przestać. I tak nie mogłaś nad tym zapanować. Nadal cię kocham, kumplu.

- Dzięki, kumplu.

- Dziwnie brzmisz. Czy to z mojego powodu?

- Nie. Myłam zęby i miałam w ustach pełno piany. Teraz mam takie dziwne uczucie kiedy mówię,

- Reese, muszę dziś wracać do Vermont Chciałbym się z tobą jeszcze zobaczyć.

- Tak... oczywiście, Davidzie. Przyjdź na łódź i pozwól się zaprosić na pyszny, duży stek.

-Och... Na łódź?

- Zły pomysł?

- Wolałbym spotkać się z tobą gdzie indziej, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie... ale dlaczego? Jestem właścicielką jednej trzeciej łodzi. Mogę postawić ci obiad, nawet jeśli nie będę mogła siedzieć z tobą cały czas...

- Reese, pozwól, że wpadnę do ciebie teraz, wypijemy po filiżance twojej okropnej kawy i cicho wyjadę, dobrze?

- Dobrze, Davidzie. Do zobaczenia za parę minut.

Dotarł po pół godzinie. Być może dlatego, że wyjeżdżał, być może dlatego, że była bardziej gadatliwa niż zwykle, a może dlatego, że coś

między nimi się działo - z jakiejś przyczyny całkowicie otworzyli przed sobą serca.

Ona opowiedziała mu o Travisie, o tym jak zawsze brała za pewnik to, że się pobiorą, myślała, że ją kocha, jak okropnie było dowiedzieć się, że każde słowo jakie od niego usłyszała było kłamstwem. Opowiedziała mu o swojej dziwnej obojętności na wieść o jego śmierci i wyznała mu, jak wielką ulgę poczuła, że jest wolna i niezależna. Powiedziała mu też o swoich lękach. O incydencie z Johnem Larmorem - nawet potrafiła się śmiać, opowiadając jak trzymała nad jego głową sztangę, której nigdy wcześniej nie mogła dźwignąć.

Również David dużo mówił - o swoich miłościach i rozczarowaniach, o swym ukochanym domu w Vermont i swoim życiu nauczyciela, i o tym jak czasem czuje się samotny, chociaż jest spokojny i spełniony, i o tym, że wie, że kiedyś się zakocha i wszystko się zmieni, ale że teraz jest szczęśliwy.

Rozmawiali też o zabawnych rzeczach, które wydarzyły się, gdy byli jeszcze w szkole w Bennington, o ludziach, których znali i o przyjaciółach, z którymi stracili kontakt. Rozmawiali tak, aż niebezpiecznie zbliżyła się godzina odlotu Davida. Reese zawiozła go do hotelu po rzeczy - przy otwartym dachu, aby mógł jeszcze nasycić się zapachem magnolii - a potem prosto na lotnisko.

Eleanor Alexander popijała kawę na patio. Widok z ich domu był powszechnie uważany za najpiękniejszy w mieście: ze wzgórza widać było płynącą w dole rzekę, a front domu wychodził na piękny plac.

Nie obserwowała jednak widoków. Oglądała fotografie i uśmiechała się. Gdy dołączył do niej Charles, z zadowoleniem zauważył, że jego żona jest w doskonałym humorze. Ostatnio martwiła się wybrykami syna. Próbował wytłumaczyć jej, że młodzi mężczyźni muszą

się wyszumieć i chociaż Brian traktuje to bardzo poważnie, przejdzie mu i ożeni się z Nancy. Eleanor było jednak trudno przekonać.

Nadal była bardzo piękną kobietą i razem stanowili przystojną parę. Zachowali młodzieńcze sylwetki i dbali o utrzymanie opalenizny przez okrągły rok. Szyto im ubrania na miarę i usuwano zmarszczki gdy się tylko pojawiły. Gdyby nie była wydawcą Dispatch, ich zdjęcia ukazywałyby się w kronice towarzyskiej po każdym balu dobroczynnym i znacznym przyjęciu. Zawsze patrzył na nią z dumą i wiedział, że i ona czuje do niego to samo. Pozwolił swoim włosom siwieć naturalnie i wszyscy się zgadzali, że jest teraz przystojniejszy niż w młodości.

Eleanor pokazała mu zdjęcia, które oglądała.

- Popatrz na to - powiedziała.

Charles nie wierzył własnym oczom. Czyżby jego elegancka Eleanor nagle rozpoczęła karierę porno? Dopiero, gdy odwrócił wzrok od ciała i spojrzął na twarz kobiety na zdjęciach, wykrzyknął;

- Mój Boże! Toż to dziewczyna Briana!

- Zgadza się. Na zdjęciu jest też data - z zeszłego tygodnia - Eleanor była tak zadowolona, że nie mogła spokojnie usiedzieć.

Charlesa nie dziwiło już nic, wiedział do czego zdolna jest jego żona. Całe życie była piękna i bogata. Gdy zmarł jej ojciec miała dopiero dwadzieścia kilka lat, a stała się jednym z najpotężniejszych wydawców prasowych w kraju. Eleanor stawiała na swoim i robiła to, co chciała. Charles zdołał trzymać się z daleka od jej machinacji, które zawsze go nieco bawiły, i dzięki temu stanowili zgodne małżeństwo.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - zadała retoryczne pytanie Eleanor.

Charles raz jeszcze spojrzął na fotografie. Dziewczyna naprawdę miała fantastyczne ciało i najwyraźniej wiedziała co z nim robić. Za-

stanawiał się kim jest mężczyzna - z pewnością nie był to Brian. Wydawało się, że jego żona czeka na odpowiedź, której nie było sensu dawać.

- Skąd to masz? - zapytał.

Eleanor uśmiechnęła się, zupełnie opanowana. - Mam swoje źródła - powiedziała.

Lubił się z nią drażnić i wiedział dokładnie, na co może sobie pozwolić.

- Matczyzna miłość nie zna granic - powiedział. Oddał jej zdjęcia i nalał sobie kawy ze srebrnego dzbanka. - Nie możesz ich pokazać Brianowi - powiedział stanowczo.

- Dlaczego nie? - nadal się uśmiechała, wkładając zdjęcia do koperty.

Charles westchnął. - Widzę dwa wyjścia z tej sytuacji. Albo Brian zerwie z Peyton i będzie cię za to nienawidził, albo ożeni się z nią i będzie nienawidził ciebie za to, że wątpiłaś w jego żonę. Cokolwiek się stanie, znienawidzi cię.

- Ale on musi znać prawdę o niej. Nie sądzisz chyba, że się z nią ożeni, gdy to zobaczy - poklepała kopertę. Jej uśmiech jednak zbladł.

- Wyślij mu to anonimowo - zasugerował.

- I pozwolić, żeby ta ruda dziwka wmówiła mu, że te zdjęcia są stare jak świat?

- W porządku, daj mu je. Ale chcę, Eleanor, aby on wiedział, że ja nie miałem z tym nic wspólnego. Przynajmniej jedno z nas będzie mogło odwiedzać nasze wnuki.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia i wiedząc, że jego żona i tak zrobi to, co będzie chciała, Charles rozłożył gazetę.

W pokoju reporterów wszyscy byli zajęci robotą, więc gdy zadzwonił telefon na biurku Lane, postanowiła rozmawiać przez głośniczek, nie przerywając pisania na maszynie.

- Lane MacKenzie.

- Lane... mówi Dean.

Lane natychmiast przeszła na słuchawkę, aby utrzymać rozmowę w tajemnicy.

- Słucham - powiedziała, mając nadzieję, że głos jej nie zdradza.

- Lane, przepraszam.

- Nie mam teraz czasu...

- Nie, nie, nie dzwonię po to, chociaż czuję tak całym sercem. Lane, dostałem właśnie telefon z Atlanty. Jeannie nie żyje.

-Co?

- Została pobita na śmierć. Zatrzymano faceta, z którym mieszkała. Muszę tam pojechać i zidentyfikować ją... Lane, chciałbym cię prosić o wielką przysługę.

-Tak?

- Czy mogłabyś zająć się Jasonem gdy wyjadę?

Była tak zdziwiona, że przez minutę nie wiedziała co powiedzieć. A potem nie mogła się opanować aby nie zapytać: - Ufasz mi?

- Naturalnie, że ci ufam. Zawsze ufałem. Lane, kochanie, to zawsze tkwiło tylko w twoich myślach, nigdy w moich, przysięgam. Jeśli chodzi o mnie, nic się nie zmieniło. Przykro mi, że tak to mówię, ale Jason cię potrzebuje, Lane. I ja też.

- Żeby go popilnowała. -Tak.

Był tak uparty, podobnie jak ona. Poza tym nie było czasu aby powiedzieć wszystko.

- W porządku - zgodziła się. - Mam go odebrać ze szkoły?

- Tak, dziękuję - powiedział Dean. Słyszała jak odetchnął z ulgą.



Mówiła sobie, że nie robi tego dla niego, tylko dla Jasona. Biedny dzieciak - naprawdę potrzebował teraz matki.

Peyton kopiowała coś w biurze „S. S. Savannah”, kiedy Brian wpadł jak burza. Zaczęła się uśmiechać, ale szybko zobaczyła w jakim był stanie.

- Wyglądasz jakby cię piorun trafił - powiedziała.

- Bo trafił - odpowiedział. Otworzył kopertę i rozłożył na kopiarce serię zdjęć. - Chcesz zrobić kopie? - jego ton przestraszył ją. Spojrzała na wachlarz fotografii.

- O Boże. Brian, mogę to wytłumaczyć... - powiedziała myśląc gorączkowo. Kto był pod buhajem tej nocy, gdy ona i kumpel Reese... To był tylko szybki numer, Reese sama powiedziała, że David jej nie interesuje i... o cholera! Brian był nieprzytomny z wściekłości. - Mogę to wyjaśnić - powtórzyła niezdarnie.

- Ciekawe jak - powiedział. Przybrał minę prawnika - poważnego, bezkompromisowego, poszukującego prawdy i sprawiedliwości. Serce w niej zamarło.

- To się zdarzyło dawno, zanim cię poznałam - powiedziała.

- O tak, David Cuthbertson był już kiedyś w Savannah, Dlaczego więc okłamał mnie mówiąc, że jest tu pierwszy raz?

Peyton bywała już w opałach, jej mózg jak komputer analizował wszystkie możliwe możliwości jakimi teraz dysponowała. - Nie chciał zranić uczuć Reese. Przyjechał, żeby zobaczyć się ze mną, nie chciał spotykać się z nią w trakcie tej podróży i...

~ Kłamiesz. Te zdjęcia są datowane.

- To mistyfikacja! Na pewno wiesz o tym, że można takie rzeczy robić z fotografią! Komuś zależy, abyśmy się rozstali! - przemawiała do niego, próbując wtulić się w jego ramiona. Stał bez ruchu, nie re-

agując. - To sprawka twojej matki, prawda? Nienawidzi mnie i ma możliwości, żeby...

- Żeby co? - przerwał gorzko. - Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Że będę musiał jej powiedzieć, że od początku miała racje,

Wyszedł. Peyton stała milcząc. Zastanawiała się, czy się rozpłacze. Naprawdę jej na nim zależało, naprawdę wierzyła, że jest kluczem do jej szczęścia, że dzięki niemu przyjmą ją do towarzystwa Savannah, że będzie miała własną porcelanę i srebra z monogramem... Nie rozpłakała się jednak. Łzy z trudem przychodzą komuś, kto je przez całe życie powstrzymywał.

Lane opanowała już doskonale sztukę, odbierania telefonu nie przerywając pisania na maszynie.

- Lane MacKenzie.

- Lane, mówi Edward Burton, Czy widziałaś Reese?

Lane przestała pisać i skupiła się na rozmowie. - Ostatni raz wczoraj rano. Wstawiała, gdy wychodziłam do pracy - odpowiedziała.

- Widziałaś ją wczoraj wieczorem?

- Nie, Reese zazwyczaj pracuje do późna. Przynajmniej do momentu kiedy zamykają restaurację. Czy coś się stało, panie Burton?

- A więc nie widziałaś jej przed półtora dnia, tak?

- Na to wychodzi. Proszę mi powiedzieć czy coś się stało, panie Burton.

- Nie ma jej, to się stało! Miała się ze mną spotkać w biurze i się nie pojawiła!

- Panie Burton, nie sądzi pan chyba, że... - przerwała. Myśleli o tym samym.

- Powinienem był go wtedy zabić, ale mówiła, że już wszystko w porządku. A on jest w więzieniu... o ile go nie wypuścili! O, mój Boże...

- Jestem pewna, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie, panie Burton. Na telefonie zaświeciło się żółte światelko, prawdopodobnie wydawca chciał zobaczyć jej artykuł. - Reese to bardzo rozsądna dziewczyna...

- O to właśnie chodzi! Nie wyjechałaby nic nikomu nie mówiąc. Coś musiało się jej stać. Dzwonię na policję.

- Jeśli tak pan uważa... Mam nadzieję, że powiedzą panu, iż trener nadal siedzi. Reese prawdopodobnie nic się nie stało. Może nie miała ochoty nikomu o tym mówić, może potrzebowała być sama przez jakiś czas... Przepraszam pana, ale nie mogę teraz rozmawiać. Jeśli się skontaktuję z Reese, powiem jej, żeby do pana zadzwoniła.

Odłożyła słuchawkę i skupiła się jak umiała na swoim artykule, poprawiając go i przesyłając komputerem do wydawcy.

Minęła jeszcze jedna godzina zanim mogła się spokojnie zastanowić. To nie była wielka sprawa nie przyjść na jedno spotkanie z ojcem, gdyby nie fakt, że Reese nigdy się nie spóźniała, ani nie opuszczała umówionych spotkań, nawet ze swoim dentystą. Lane zaczynała się martwić. Gdzie ona może być?

Zadzwoniła na łódź i do domu. Peyton powiedziała, że również nie widziała Reese, że nie pojawiła się w pracy.

- Aleja bym się nie martwiła - powiedziała lekko do Lane. - Jej kochany tatuś zawsze robi aferę, jeśli nie wie gdzie ona się podziewa przez dziesięć minut. Spójrzmy prawdzie w oczy, gdybyśmy ja czy ty zaginęły, czy Edward Burton albo ktokolwiek inny wydzwaniałby po szpitalach i kostnicach?

Peyton była zła na Edwarda, co było zrozumiałe, ale miała rację. Nie było kogokolwiek, kto martwiłby się o Lane MacKenzie. Nawet Dean nie wchodził w rachubę. Już nie.

Lane zajęła się pracą do czasu kiedy trzeba było odebrać Jasona ze szkoły. Bardzo chciała go zobaczyć, ale postanowiła być bardzo ostrożna z uściskami i pocałunkami.

- Cześć, Jason! - zawołała gdy zobaczyła go na huśtawce. Nauczyciele opiekujący się dziećmi po lekcjach zajęci byli dużą grupą siedzącą przy dużym stole piknikowym, lepiącą coś z plasteliny. Jason i jeszcze jedno dziecko bez przekonania huścili się, czekając, aż ktoś zabierze ich do domu.

Wydawał się szczęśliwy, że ją widzi. - Cześć, Lane. Mój tata pojechał do Atlanty.

- Tak, wiem, kochanie. Dlatego tu jestem. Spędzimy razem trochę czasu, będzie fajnie,

Jason zeskoczył z huśtawki i podszedł do niej, szurając butami po żwirze. Miał na sobie krótkie spodenki i strup na jednym kolanie, co przypomniało jej jak to jest być dzieckiem. Ma się dużo siniaków, zadrapań i nigdy nie rozumie się co i dlaczego robią dorośli.

- Jak długo nie będzie taty? - zapytał trochę niepewnie Jason, ale włożył swoją małą rączkę w jej dłoń.

Jeden z nauczycieli podszedł do nich.

- Jestem Lane MacKenzie. Przypuszczam, że pan Collins poinformował państwa, że odbiorę dziś Jasona?

- Tak, proszę pani. Cześć, Jason, jak się miewasz? Chciałbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości - powiedział do Lane młody człowiek, pokazała mu prawo jazdy, a on sprawdził je dokładnie.

- Czy ta pani jest twoją przyjaciółką? - zapytał Jasona.

Jason pokręcił głową. - Ona jest przyjaciółką mojego taty.

Nauczyciel uśmiechnął się i pomachał im na pożegnanie gdy przechodzili przez bramę szkoły. - Do jutra, Jason - zawołał, a chłopczyk pomachał mu w odpowiedzi.

- Jak długo nie będzie taty?

- Nie wiem, kochanie. Prawdopodobnie do jutra.

- Może zostanie w Atlancie z mamą?

- Nie, skarbie, obiecuję ci, że tata nie zostanie w Atlancie. Wróci do ciebie tak szybko jak tylko będzie mógł. Musiał wyjechać w ważnej sprawie. Wiesz jak to jest. Wyjeżdża, robi to co musi, ale zawsze wraca do ciebie, do domu, prawda?

Jason wydawał się zastanawiać nad jej słowami sadowiać się na tylnym siedzeniu samochodu. Przypięła go pasami. Pochylając się

nad nim poczuła zapach czystych włosów, nieumytych zębów małego chłopca i zapach świeżej ziemi i kamieni, które zebrał do kieszeni. Chciała pocałować go w policzek, ale wycofała się i to tak szybko, że uderzyła głową o brzeg dachu.

Jasonowi wydało się to zabawne, więc uśmiechnęła się do niego i usiadła za kierownicą. Jadąc do domu Deana, zastanawiała się czy kiedykolwiek pozbędzie się tego ukrytego poczucia winy za coś, czego nie zrobiła i nigdy by nie zrobiła. Czy kiedykolwiek będzie potrafiła zachowywać się naturalnie w stosunku do Jasona czy innego dziecka jakie może pojawić się w jej życiu?

- Zostaniesz dzisiaj ze mną na noc? - zapytał Jason.

- Tak, zostanę dopóki nie wróci tata - zapewniła go.

- Możemy razem obejrzeć film?

- Pewnie.

- Możemy obejrzeć „Pinokio”?

Udawała, że poważnie się nad tym zastanawia, gdy skręcali w Abercorn Street. - Kochanie, ile razy już to widziałeś? - zapytała obserwując go w lusterku wstecznym.

Zmarszczył czoło usiłując sobie przypomnieć. Był tak śliczny i słodki, że poczuła ogromny przyływ miłości i natychmiast przeklęła się za to w myślach. Nie powinna nic czuć, to było dziecko Deana, nie jej, poza tym już została oskarżona o robienie mu krzywdy...

- Mm... może z dziesięć - odezwał się cienki głosik.

- W takim razie możemy go dziś znowu obejrzeć.

- To dobrze - powiedział takim tonem, jakby od początku wiedział, że się zgodzi. Podjechali pod dom Deana.

Gdy wchodzili do mieszkania, właśnie dzwonił telefon. Jason podbiegł do niego.

- Halo? - jego mała twarzączka rozjaśniła się. - Cześć, tato! Kiedy wracasz? ...acha, w porządku... tak, odebrała, jest tutaj... czy mu-

sze jej słuchać?... no dobrze (głębokie westchnienie)... dobrze, już ją daję... też cię kocham, tatusiu. Cmoknął w słuchawkę i oddał ją Lane. Poszedł do kuchni - usłyszała jak otwierał lodówkę.

- Cześć, Dean - powiedziała.

- Lane, dziękuję, że tam jesteś - w jego głosie dźwięczała wdzięczność i... ślad niepokoju. Czyżby martwił się o Jasona, którego jej powierzył? - Sądząc po odgłosach z kuchni, Jason sam robi sobie coś do jedzenia. Czy to w porządku?

- Naturalnie. Jak na czterolatka zupełnie nieźle radzi sobie w kuchni. Na dolnej półce trzymamy mleko i ciasteczka, aby mógł do nich łatwo sięgnąć.

- Jak tam sprawy w Atlancie? - zapytała.

- Lane... to jest potworne. Ten facet, z którym mieszkała, pobił ją tak, że ledwie rozpoznałem jej twarz. To potwór. Przyznał się, a teraz plecie jakieś bzdury o tym, jak bardzo ją kochał i nie chciał jej stracić. Boże, Lane, myślę, że ona musiała wiedzieć jaki on jest. Sąsiedzi mówią, że to nie był pierwszy raz... Może dlatego pozwoliła mi zatrzymać Jasona, żeby też nie stał się ofiarą... Nie wiem. Cała ta historia jest straszna. Nie chcę, żeby Jason kiedykolwiek się dowiedział.

- Oczywiście, że nie. Powiedziałam mu tylko, że musiałeś wyjechać w interesach. Uwierzył, ale... zdaje się, że on myśli, iż Atlanta jest miejscem, z którego rodzice nigdy nie wracają. Obiecałam mu, że jutro wrócisz.

- Lane, jeśli chodzi o Jasona, ufam ci bezgranicznie. Musisz to wiedzieć. Wiem, co do niego czujesz - ja czuję to samo. Będziesz wiedziała jak postępować, więc zaufaj sama sobie, dobrze?

- Spróbuję. - Lane nagle zachciało się płakać.

- Obawiam się, że przez jakiś czas będzie mu ciężko, biedne dziecko...  
- powiedział Dean. - I tak za nią tęsknił, a teraz... Nie martw

się, dotrzymam twojej obietnicy. Wracam jutro rano. Możesz z nim zostać na noc, Lane? Nie chcę ci nic narzucać...

- Oczywiście, że zostanę. Umówiliśmy się na oglądanie „Pinokia” dziś wieczorem.

- Znowu? Muszę cię ostrzec - zna większość dialogów i piosenek na pamięć.

- Wiem, widział to już dziesięć razy. Roześmieli się oboje.

- Dean, zadzwoni! dziś do mnie pan Burton. On zdaje się myśli, że Reese zniknęła.

- Nigdy by przecież tego nie zrobiła.

- No właśnie o to chodzi. No cóż, jestem pewna, że się znajdzie. Nie chcę ci jeszcze dokładać kłopotów. Musisz przeżywać piekło.

- Sprawdzę u chłopaków w Savannah i będę tego pilnował. Przypuszczam, że Burton zgłosił jej zaginięcie.

- Znasz go. Na pewno tak zrobił.

- Zajmę się tym. Na razie muszę załatwić tu kilka spraw - sekcję zwłok i przesłanie ciała do jej rodziny...

Potem podał jej numer telefonu, pod którym może go znaleźć, obiecał zadzwonić z samego rana i jeszcze raz podziękował za opiekę nad Jasonem. Przyszło jej do głowy, że może rzeczywiście martwił się o to, że zostawił ich razem we dwoje...

„Przestań, Lane. Zadręczysz się!” - strofowała sama siebie.

Zjedli wspaniały obiad złożony z hamburgerów, marchewki i wiśniowo-czekoladowych lodów, a potem zaczęli oglądać film. On usadowił się na kanapie, a ona usiadła na krześle, ale gdy tylko skończyły się napisy i rozpoczął się film, Jason, nie odrywając wzroku od ekranu, podpełzł do niej i wspiął się jej na kolana. Przytulił się i tak obejrzelili cały film. Okazało się, że i ona zna słowa niektórych piosenek.



„Pozwól, żeby sumienie zawsze było twoim przewodnikiem!”  
-śpiewali razem ze Świerszczem.

Po filmie, Jason poszedł do swojego pokoju, rozebrał się i poprosił ją, aby popatrzyła czy dobrze myje zęby. Później wszedł do łóżka i chciał, aby zaśpiewała mu „Księżycową Piosenkę”.

„Widzę księżyc, a księżyc widzi mnie,  
Księżyc widzi kogoś, kogo ja zobaczyć chcę...”

Była zachwycona kiedy nucił razem z nią.

„Boże pobłogosław księżyc, pobłogosław mnie,  
Pobłogosław tego, kogo ujrzyć chcę.”

Oboje myśleli o Deanie kiedy okrywała go kołdrą, całowała w czoło i wychodziła na palcach z pokoju.

Gdy zadzwoniła do domu, nikt nie odebrał słuchawki. Zostawiła wiadomość na sekretarce: „Reese, mówi Lane. Zostaję dziś na noc u Deana, który pojechał do Atlanty. Zadzwoń do mnie, to pilne”.

Zastanawiała się ile wiadomości zostawił Edward i inni przyjaciele, którzy martwili się jej nieobecnością.

Było już po północy, a na River Street zalegała absolutna cisza, kiedy John Larmore zatrzymał tam swojego Harleya. Ryk silnika oznajmił jego przybycie całej okolicy. Na parterze dwupiętrowego budynku otworzyło się okno i rozzłoszczony męski głos zawołał:

- Kto tam się tłucze w środku nocy? Czy to ty, Johnie Larmore?

- Tak jest - odpowiedział zmęczonym głosem. - Przepraszam, panie Henley. To się już nie powtórzy.

- Lepiej by było dla ciebie! Kto to widział budzić przyzwoitych ludzi po nocy! - dodał mężczyzna i zatrzaskało okno.

Zazwyczaj nie pozostawał poza domem tak długo, szanował swoich sąsiadów, a poza tym sam też chodził wcześniej spać. Musiał wstawać przed wschodem słońca, żeby przebiec swoje dwadzieścia sześć mil, zanim nie było na to zbyt gorąco.

Powiesił kask na kierownicy, przyglądził włosy automatycznym gestem i poszedł w stronę mieszkania. John Larmore był dużym mężczyzną, ale miał szczupłe i prężne ciało, więc poruszał się jak pantera.

Zdobycie kaucji trwało wieki. Na myśl o całym dniu i połowie nocy spędzonych w więzieniu cierpła mu skóra. Oddychanie obrzydliwym powietrzem, przebywanie z brudnymi włóczęgami w zamknięciu doprowadzało go niemal do obłędu. John zaczerpnął świeżego nocnego powietrza zanim sięgnął do kieszeni po klucz od drzwi wejściowych.

- Gdzie ona jest, ty nikczemny maniaku? Gdzie jest moja córka?

John zobaczył tylko błysk broni w ciemnościach. Księżyc oświetlił na chwilę lufę trzymaną w niepewnych, drżących dłoniach. Skierowana była prosto w głowę Johna Larmorea.

- Mógłbym cię zabić w tej chwili i żadna ława przysięgłych nie uznałaby mnie za winnego - dobiegł go głos Edwarda Burtona. -Chcę jednak odzyskać córkę i klnę się na Boga, że jeżeli jej coś zrobięś, będziesz gnął w więzieniu do końca swoich dni.

- Nie wiem gdzie ona jest - powiedział Larmore. Kontrolował swój głos. Był człowiekiem, który w każdych warunkach potrafił całkowicie panować nad swoim ciałem, więc nie zamierzał zdradzać swoich uczuć i teraz. Nie bał się ludzi, ale broń to było coś innego. Czuł przed nią szacunek, Zwłaszcza, jeśli trzymał ją szalejący ojciec.

- Otwórz drzwi - rozkazał mu Edward.

Gdy sięgnął do kieszeni, aby wykonać polecenie, poczuł lufę przyciśniętą do pleców. W pierwszym odruchu chciał odwrócić się, zamachnąć - jeden cios karate i stary człowiek by leżał. Ale pistolet mógł wypalić.

Podniósł klucz tak, aby stojący za nim człowiek mógł go zobaczyć, potem włożył go do zamka i otworzył drzwi.

- Zapal światło - warknął Edward.

Trener powoli wyciągnął lewą rękę i poszukał kontaktu. Edward kopniakiem zatrzaskał za nimi drzwi. Znajdowali się w małym przedpokoju, z którego schody prowadziły na górę.

- Czy ona tam jest? -Nie.

W nagrodę został szturchnięty w plecy lufą. Zaczął wchodzić po schodach.

- Idź powoli i trzymaj ręce tak, abym je widział - zażądał Edward. Wchodzili stopień po stopniu, Edward kierował każdym ruchem.

Na ścianach wzdłuż schodów wisiały fotografie kulturystów i pięknych, długowłosych kobiet w obcisłych strojach. Był wśród nich plakat reklamujący bieg maratoński w jakimś mieście na północy. Gdy doszli do szczytu schodów, ukazał się niewielki pokój przy-

jęć. Stało w nim biurko i kilka tanich foteli. Na stole leżały rozrzucone kolorowe czasopisma. Z pokoju prowadziło dokaś kilkoro drzwi, ale wszystkie były zamknięte.

- Zatrzymaj się - powiedział Edward. John stanął. Nadal trzymał ręce w górze, a jego potężne mięśnie napęczniały pod koszulką.

- A teraz powiesz mi gdzie jest Reese. Co jest za tymi drzwiami? Gdzie ona jest?

Broń za plecami Johna żyła jakby własnym nerwowym życiem, nie mogąc się doczekać, aby wreszcie móc zrobić to, do czego była stworzona.

- Przysięgam na Boga, że nie wiem. Nie wiem gdzie jest naprawdę.

- Możesz sobie przysięgać, potworze. Wiem, że próbowałeś ją zgwałcić! Bóg jeden wie do czego jesteś zdolny. Masz mi powiedzieć gdzie ona jest Ostrzegam cię, z trudnością powstrzymuję się od pociągnięcia za spust, bardzo chcę cię zabić. I możliwe, że to zrobię, jeśli nie powiesz mi co z nią zrobiłeś...

- Nie ma jej tutaj! Nie widziałem jej od tamtego dnia. Przepraszam... Jest mi bardzo przykro i wstydzę się. Proszę - ja jej nie skrzywdziłem, nie skrzywdziłbym Reese, Lubię ją. Ona lubi mnie. Poniosło nas - to wszystko.

Lufa uderzyła go w prawe ucho. W tym momencie doszedł do głosu jego instynkt. Pochylił się, zaskakując napastnika, po czym zadał krótki cios łokciem, kopną! - i dla Edwarda Burtona, starszego i całkowicie pozbawionego kondycji, było po wszystkim. Leżał bezbronny i półprzytomny na podłodze. John podniósł pistolet który wylądował pod krzesłem.

- Nie ma jej tutaj, panie Burton - powiedział grzecznie. Oprowadzę pana do domu, jeśli pan chce. Nie wiem gdzie jest, tak jak panu mówiłem.

Edward słabo skinął głową. Jedno zebro miał na pewno złamane, jeśli nie więcej. Czuł się tak, jakby prawa strona jego ciała zapadła się do środka. Próbował wstać, ale nie mógł. John podał mu dłoń. Na myśl, że miałby dotknąć tego potwora, Edwardowi zrobiło się niedobrze, ale nie miał siły podnieść się o własnych siłach. Schwycił więc łapę Johna.

- Pokaż mi dom - zażądał, jakby nadal sprawował władzę.

Pierwszy pokój była to obszerna sala do ćwiczeń z rowerami stacjonarnymi, schodkami, maszynami do wiosłowania i sztangami. Nie było tu żadnych kryjówek ani tajemniczych drzwi. John Larmore zachowywał się jak uprzejmy gospodarz, oprowadzający swojego gościa. Edward czuł się jak głupiec. Nawet jeśli ten sukinsyn ukrył tu gdzieś Reese, na pewno nie miał zamiaru go do niej zaprowadzić. Musiał jednak dalej prowadzić tę grę.

Drugie pomieszczenie było męską szatnią z mnóstwem szafek i ławek. John skinął na Edwarda aby ten poszedł za nim do łazienki i sauny.

Trzeci pokój, szatnia dla kobiet, był identyczny.

Ostatnie pomieszczenie było dokładnie takie, jak opisała Reese - prywatne biuro Johna Larmore'a i jego sala do ćwiczeń. Biurko, stojak na sztangi i szeroka, miękka mata na podłodze. Wyobrażając sobie scenę, która niedawno miała tu miejsce, Edward poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Miał wrażenie, że mógłby gołymi rękami zadusić tego diabła. Drżał, zmuszając się do wyjścia stamtąd.

- Chce pan zobaczyć gdzie mieszkam? - zapytał John. Wskazał pokój za biurem, który okazał się być małą klitką z łóżkiem, kuchenką, dwoma krzesłami i zapasem magazynów kulturystycznych. Panował tam porządek i nikogo nie było. John otworzył drzwi do małej łazienki wyłożonej kafelkami aby pokazać, że i tam nikogo nie ukrywa.

- Nie sądzisz chyba, że po tej wycieczce wycofam przeciwko tobie oskarżenia - warknął Edward, kierując się ku schodom. Plecy bolały go tak jakby cała drużyna golfowa skakała mu po nich.

- Nie, proszę pana. Rozumiem. Chciałbym wiedzieć, gdzie ona jest, też się martwię - odpowiedział uprzejmie jego gospodarz.

~ Oddaj mi broń - powiedział Edward wyciągając rękę. John Larmore tylko się uśmiechnął i pokręcił powoli głową: mowy nie ma.

Edward bywał już w trudnych sytuacjach i potrafił rozpoznać niebezpieczeństwo. Dlaczego ten gwałciciel zrobił się nagle taki grzeczny? W końcu domyślił się odpowiedzi.

- Ktoś ci za to płaci. - To nie było pytanie.

John trzymał swobodnie pistolet w dłoni. Lekko się uśmiechnął, co doprowadziło Edwarda do szału.

- Nie śmiej się, łajdaku! Będziesz siedział do końca życia. A słyszałem, że tam nie przepadają za gwałcicielami. Albo powiedzmy inaczej - wiedzą jak z nimi postępować.

- Może pan już iść, panie Burton. Powie pan jeszcze jedno słowo, a zabiję pana z pana własnej broni. Włamał się pan do mojego mieszkania w napadzie szału i próbował mnie zastrzelić, odebrałem panu pistolet i musiałem pana zabić w samoobronie. Wprawdzie mógłbym to zrobić gołymi rękami, żaloszny staruszk.

- Będziesz się za to smażył w piekle - wymamrotał Edward. John odpędził go jak owada, machnięciem dłoni, w której trzymał

pistolet Edward zszedł po schodach i opuścił dom. Przeszedł na drugą stronę River Street i długo stał, wdychając jaśminowe, nocne powietrze, obserwując dom, jakby chciał sprawdzić czy przypadkiem nie umknął mu jakiś sekretny pokój, gdzie była jego córeczka, związana, oczekująca na jego pomoc.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, Edward Burton poczuł

na półkach Izy. Musiał znaleźć Reese. Potem będzie czas, aby rozprawić się z tym potworem. Wsiadając do samochodu zastanawiał się ile pieniędzy potrzeba było aby powstrzymać Johna Larmore od zabicia go według scenariusza, który mu przedstawił.

Peyton dobrze wiedziała, którą sukienkę założyć, wcześniej już to wypróbowała. Uwydatniała jej figurę i niewiele ukrywała. Wciągnęła pończochy i przypięła je do paska. Peyton nie nosiła rajstop - mężczyźni w ogóle nie uważali ich za sexy. Zaczęła się perfumować, kiedy przypomniawszy sobie, że jest sama w domu. Poszła do pokoju Reese i skorzystała skwapliwie z jej nowego nabytku, francuskich perfum po sześćset dolarów za uncję.

Ojciec Briana posiadał biuro w jednym z budynków należących do Edwarda Burtona, podobnie jak połowa biznesmenów w Savannah. Zatrzymała samochód na parkingu i zanim weszła do wieżowca, jeszcze raz sprawdziła we wstecznym lusterku jak wygląda. Tak jak przypuszczała, Charles Alexander kazał swojej sekretarce wpuścić ją od razu.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. Przykro mi, że sprawiam panu kłopot - powiedziała cicho, stając w drzwiach tak, aby mógł nacieszyć się jej widokiem.

- Proszę, niech pani wejdzie. - Podniósł się zza biurka, podszedł do niej i doprowadził do skórzanej kanapy. Czuł się dziwnie. Brian powiedział mu, że otrzymał kilka zdjęć, które ktoś anonimowo wsunął mu pod drzwi jego mieszkania. Wprawdzie nie mógł powiedzieć ojcu dokładnie co na nich było, zrywał zaręczyny i nie chciał więcej słyszeć o Peyton Richards.

Charles naturalnie widział zdjęcia zanim obejrzał je jego syn. Wspomnienie nagiej Peyton nie opuszczało go, a teraz stała na wprost

przed nim, bardziej ponętna niż na fotografiach. Charles był mężczyzną, który cenił sobie subtelność. Ale bez przesady...

- Chciałbym powiedzieć lub zrobić coś co by cię pocieszyło.

- Jest coś takiego - westchnęła niewinnie. Wyglądała, biedactwo, na nieco zdenerwowaną. Charles miał nadzieję, że jego syn nie był zbyt brutalny w momencie zerwania. Obserwował jak wkłada rękę do torebki i wyciąga z niej pierścionek. Podała mu go na wyciągniętej dłoni. - Mógłby pan oddać to swojej żonie.

Charles popatrzył na pierścionek. Spodziewał się zobaczyć stary klejnot, który nosiła jego matka, a potem jego żona kiedy się pobrali. Eleanor nosiła go przez wszystkie te lata, aż oddała go Brianowi, aby ten włożył go na palec Nancy Lewis. Nie posiadałaby się z wściekłości gdyby wiedziała, że Brian odebrał go Nancy i podarował Peyton Richards. To był jednak inny pierścionek - stary, to prawda, i drogi, ale jeśli była to rodzinna pamiątka, z pewnością nie należała do ich rodziny. Peyton najwyraźniej o tym nie wiedziała. Prawie poczuł dla niej współczucie. Wciąż mówiła o pierścionku.

- Mówi się, że kobieta może zatrzymać pierścionek, jeżeli jej narzeczony zrywa zaręczyny, ale nigdy nie czułabym się w porządku zatrzymując go, nawet gdyby kosztował dziesięć centów. A ten, o ile wiem, jest pamiątką rodzinną.

Charles delikatnie wziął od niej pierścień. - Moja żona doceni to, że go pani zwraca - powiedział, kontynuując tę szaradę.

- Sama bym go jej oddała, ale wiem jak mnie nienawidzi - usta Peyton lekko drżały. Charles pomyślał, że jest bardzo sexy i pożałował, że nie jest młodszy i... że ma żonę, naturalnie. Szczęściarz z tego Brian a...

Potrząsnął głową. - Nie jestem pewien czy to chodzi o panią - powiedział ciepłym tonem.



- Nie mam do niej żalu. Po tych zdjęciach Davida i mnie... - spuściła głowę i zaczerwieniła się.

Charles poczuł, że powinien ją pocieszyć, ale nie wiedział co powiedzieć. - Oddam jej pierścionek - skłamał.

Peyton wstała. Zrobił krok do tyłu, aby zrobić jej trochę miejsca. Oszalającym zapach jej perfum sprawił, że myślał o rzeczach, o których nie myślał od lat, Na przykład o bezpiecznym seksie i o prezerwatywach w portfelu.

- Byłam głupia, że postawiłam się w sytuacji, która mogła obrócić się przeciwko mnie - powiedziała ze smutkiem Peyton. - Gdyby tylko Brian pozwolił mi wyjaśnić...

- Między młodymi ludźmi często zdarzają się nieporozumienia - powiedział niezręcznie Charles.

- Och, panie Alexander, gdyby tylko o to chodziło! Pańskiej żonie naprawdę zależało na tym, aby to zerwać, myślę, że uważała mnie za śmiecia w porównaniu z wami wszystkimi - uśmiechnęła się smutno.

- Posłuchaj, Peyton - mogę do pani mówić Peyton? - nie wolno ci nawet myśleć takich rzeczy. To prawda, że żona ma dość zdecydowane poglądy, zwłaszcza jeśli chodzi o Briana, ale zapewniam cię, że nie jesteśmy snobami,

- Miło z pana strony, że tak pan mówi, ale mogę się założyć, że myśli pan, że łatwo ze mną pójdzie, - Nadała swoim ustom kształt idealny do pocałunku, jak to wielokrotnie ćwiczyła przed lustrem.

Oczywiście zadziałało. Charles Alexander pochylił się i pocałował ją - prosto w czoło, taki ojcowski pocałunek, ale Peyton to wystarczyło. Zanurzyła twarz w jego koszuli, opierając czoło o chłodny jedwab krawata.

Czyżby płakała? Charles był zupełnie zbity z tropu. „No już, już...”, powtarzał, ale nie odsunął jej od siebie. Peyton zarzuciła mu ręce na szyję i rzeczywiście zdawała się płakać.

- Przepraszam - szlochała. - Taki pan dobry i mam wrażenie, że trochę przejmuję się pan moimi uczuciami.

- Ależ tak ~ zapewnił ją, poklepując ją po ramieniu.

Peyton przytuliła się odrobinę mocniej i odchyliła do tyłu głowę, tak, że patrzyli sobie prosto w oczy. - Dziękuję - szepnęła.

Charles nie mógł się odezwać. Nie odsuwała się, tylko poruszyła delikatnie biodrami. Przytulił ją mocno i pocałował w usta, a ona oddała pocałunek.

Opadła z powrotem na skórzaną kanapę. Tego nie planowała, więc odepchnęła go. „Nie, nie!” - teraz łyzy się przydały,

- O, Boże, nie wiem co mi się stało. Przepraszam cię, tak mi przykro - jękał się Charles.

Peyton wzięła go za rękę i podprowadziła za biurko, do jego skórzanego fotela.

- Wszystko w porządku. Wiem, że nie miał pan nic złego na myśli. Pocieszał mnie pan i było to bardzo, bardzo miłe. A poza tym... -pochyliła się nisko nad nim, tym razem siedział w pożądaney przez nią pozycji. Manipulując za plecami, umieściła na biurku miniaturowy magnetofon i włączyła go. - Jest pan bardzo atrakcyjnym mężczyzną - szepnęła mu do ucha.

Charles Alexander poddał się jej całkowicie...

Najpierw ten maniak ją zaatakował, a wy go puściliście! Teraz zaginęła, a wy nie traktujecie mnie poważnie! Mówię wam, że moja córka nie daje znaku życia od dwóch dni. Ona nie znika ot tak sobie!

Szef policji pokiwał współczująco głową. Nie był to pierwszy zwa-riowany rodzic, z jakim miał do czynienia.

Siedzieli w pokoju przyjąć głównego posterunku, nie była to pierwsza klasa, ale było tam kilka kanap i stół z mniej więcej pasującymi do niego krzesłami, ekspres do kawy i telefon na monety. Ktoś próbował ozdobić pokój wieszając plakat - reprodukcję pejzażu Van Gogha, tak wyblakłą od słońca Savannah, że słońce na obrazie było prawie białe.

- Proszę mi wierzyć, panie Burton, wiem, jak pan się musi martwić. Ale Reese ma dwadzieścia jeden lat i ma prawo swobodnie się poruszać...

- Macie faceta, który próbował ją zgwałcić cztery dni temu! Nigdy dotąd nie wyjeżdżała nie mówiąc mi o tym! Nawet koleżanki, z którymi mieszka niewiedzą gdzie jest! Czy muszę dzwonić aż do gubernatora żebyście ruszyli tyłki i znaleźli moją córkę? - Edward chodził tam i z powrotem po pokoju, a szef policji siedział za długim stołem i obserwował go. Na stole leżała gazeta z poprzedniego dnia, kubek od kawy wypełniony długopisami i ołówkami, i opróżniona, ale nie umyta popielniczka.

- Mówi pan, że jej samochodu też nie ma? - zapytał niewzruszony szef. Był postawnym mężczyzną, zaprawionym w pracy na ulicach jako detektyw. Był bardzo opanowany, co było niezbędne w je-

go pracy. Nauczył się tak współczuć, aby nie miało to wpływu na jego życie prywatne.

Edward miał krzywo założony krawat i kilkudniowy zarost. Wcale nie spał. Na pogotowiu zabandażowano mu żebra, ale nic mu to nie pomogło. Nie mógł nawet wnieść skargi o napad - ten nafaszerowany sterydami mięśniak miał jego broń.

Resztę wieczoru Edward spędził na wydzwanianiu każdego, kto mu przyszedł do głowy, włączając w to wszystkie numery jakie znalazł w notesie Reese z czasów szkoły: Odkrył tylko, że nikt nie wie gdzie ona może być i że nikt nie lubił jak się go budzi w środku nocy, chociaż nie wszyscy byli niemili. A teraz ten spokojny do obrzydzenia gliniarz panoszył się i nie brał go poważnie. Lekceważenie Edwarda Burtona było niebezpieczne. Postraszył szefa policji wyższymi władzami, ale wiele to nie mogło pomóc w odnalezieniu Reese.

- O ile wiem, nikt nie widział jej samochodu. Może wy go znajdziecie. Szef zignorował jego sarkazm, słyszał już gorsze rzeczy.

- Proszę podać markę i numer rejestracyjny auta, będziemy szukać - szef wyjął z kieszeni notes i sięgnął po jeden z długopisów.

Edward opadł na krzesło obok niego. Podał mu wszystkie informacje na temat czarnego BMW, a policjant zapisał je dokładnie.

Byłoby dobrze, gdyby podał mi pan nazwiska tych wszystkich, z którymi pan rozmawiał - zwrócił się do Edwarda. Z długopisem zawieszonym nad kartką czekał na odpowiedź.

- Czy naprawdę zamierza jej pan szukać? - zapytał Edward.

- Tak. Są pewne rutynowe czynności, które trzeba wykonać zanim będzie ją można oficjalnie uznać za zaginioną.

- Ile czasu to zajmie? - Edward ponownie wstał, niemal przewracając krzesło. Znowu zaczął chodzić po pokoju.

- Panie Burton, zrobimy co w naszej mocy, aby odnaleźć pańską córkę  
- zapewnił go szef policji. - Mam nadzieję, że z pańską pomocą.

- Moja córka zaginęła! Czy będzie jej pan szukał, czy tylko plótł  
bzdury, które gada pan ludziom, żeby sobie poszli?

- Szef nie odpowiedział. Siedział milcząc, nie patrząc na  
rozhisteryzowanego Edwarda. Liczył do stu.

Po minucie Edward wręczył mu mały czerwony notesik Reese z  
adresami znajomych z collegu.

- Zadzwoiłem do wszystkich. Niektórzy nie podnosili słuchawki,  
większość się wyprowadziła, ale ich rodzice mówili mi jak ich znaleźć.  
Nikt nic nie wie. To musiał być ten maniak seksualny - być może właśnie  
teraz ją torturuje! Jezu! - wykrzykiwał zdesperowany Edward. Ukrył  
twarz w dłoniach.

- To notes z czasów szkolnych? Jak dawno to było? - zapytał policjant.

- Pięć lat temu. Wiem, że na zdrowy rozum nie ma to sensu, ale byłem  
tak niespokojny, a wy dupki nie ruszyliście palcem. To było wszystko co  
zdołałem znaleźć w jej pokoju. Reese mieszka osobno, wyprowadziła się  
kilka miesięcy temu.

- Tak, mieszka z dwiema przyjaciółkami, Lane MacKenzie i... Peyton  
Richards, zgadza się?

- Tak. Zna pan adres.

- Mamy nagrania wszystkich pana telefonów na lokalny i główny  
posterunek, panie Burton. Nie zlekceważyliśmy pana, zapewniam.

- Co się w takim razie robi?

- Próbuję wydobyć od pana maksymalną ilość faktów. Wolałby pan  
raczej porozmawiać z którymś z detektywów? - sam szef był teraz nieco  
sarkastyczny, choć próbował tego nie okazywać.

- Naturalnie, że nie! - krzyknął Edward. Znów gwałtownie usiadł.

- Proszę, niech się pan pośpieszy. Moja córka może mieć kłopoty, jej życie może być w niebezpieczeństwie. Co pan chce wiedzieć?

- Z jakimi ludźmi, których znała pańska córka moglibyśmy się skontaktować? Ucząc od szkoły średniej.

- Czy pan próbuje być złośliwy?

- Panie Burton... - szef pomachał czerwonym notesem.

Edward uspokoił się trochę. Gdyby był człowiekiem, który kiedykolwiek w życiu za cokolwiek przeproszał, mógłby przeprosić i teraz. Wziął głęboki oddech i próbował uporządkować myśli, rozbiegane od czasu kiedy się przeraził.

- Jest jedna osoba, z którą nie zdołałem się skontaktować. Nie wiem czy to cokolwiek oznacza. Jeden z jej starych przyjaciół gościł przez kilka dni w Savannah służbowo i również wczoraj wyjechał. Czy też to było przedwczoraj... Nie pamiętam, może pan sprawdzić w hotelu.

Lista okazała się być całkiem długa, ale do południa policja zdołała skontaktować się z każdym, od Toma Massicka począwszy, na innych pracownikach łodzi i luźnych znajomych, sąsiadach i bliskich przyjaciółach skończywszy. Nikt nie widział ani nie rozmawiał z Reese od dwóch dni.

„Mamusi! Mamusi! Mamusi!” - krzyki Jasona obudziły Lane śpiącą na kanapie w salonie. Telewizor nadal grał, ale krzyki Jasona przedarły się przez hałas. Natychmiast pobiegła do jego pokoju.

- Jason! Co się dzieje? - zapytała wchodząc.

Siedział na łóżku, płacząc. Twarzyczkę miał zalaną łzami i Lane nie zastanawiała się czy postępuje rozsądnie, czy nie. Usiadła przy nim, wzięła go w ramiona, kołysała go, przemawiając łagodnie.

- Wszystko w porządku, kochanie. Lane jest przy tobie, już

wszystko dobrze, już dobrze. Nic się nie dzieje, Jason. To był tylko zły sen.

Ucichł i mocno się do niej przytulił. Jej ramię było mokre od jego łez, ale nie chciała puścić jego drżącego ciała aby sięgnąć po chusteczkę. Prześcieradło i kołdra zepchnięte były w jeden róg łóżka -musiał się rzucać przerażony na długo przed tym jak go usłyszała. Przytuliła go mocniej, kołysząc delikatnie, dopóki szloch nie ustał zupełnie.

- Gdzie jest tatuś? - zapytał kiedy złapał oddech.

- Tatuś pojechał do Atlanty, pamiętasz? Tylko na jedną noc, Jason. Obiecał, że jutro rano wróci. Będzie się śpieszył, bo tęskni za tobą kiedy wyjeżdża.

- Ja też za nim tęsknię. I tęsknię za mamusią... Poczula, że znów zaczyna płakać i przytuliła go mocniej.

- Wiem, że za nią tęsknisz - powiedziała cicho - wiem, że tęsknisz, skarbie.

- Będiesz spała w łóżku mojego taty? - zapytał Jason. - Mogę prosić o szklanek wody?

- Oczywiście. To znaczy, oczywiście, że dostaniesz wody. I nie zamierzam spać w łóżku tatusia. Będę spać na kanapie w salonie. W porządku?

Pokiwał głową i przetarł oczy. Sięgnęła po chusteczkę i otarła mu buzię. - Pójdę po wodę, dobrze? - zapytała, a on się zgodził milcząco.

Weszła do łazienki i napełniła szklanek zimną wodą. Zmoczyła ręcznik i kiedy pił, odświeżyła mu twarz. Oddał jej pustą szklanek i przytulił głowę do poduszki. Pochyliła się aby poprawić mu kołdrę.

- Czy mogę dziś z tobą spać? Czuję się trochę samotny - zapytał.

- Zostanę z tobą - zapewniła go. - Zostanę tu tak długo jak będziesz chciał.

Jason ziewnął. - Kiedy będę miał duże łóżko, będziesz mogła ze mną spać - wymamrotał, na wpół śpiąc.

Lane zastanawiała się co ktoś o złych intencjach mógłby pomyśleć o tej rozmowie. Siadając wygodnie w fotelu koło jego łóżeczka, zdała sobie sprawę, że tak naprawdę już ją to nie obchodzi. Jej uczucia do Jasona były matczyne i czyste, a on czuł to, co czuje mały, przestraszony chłopczyk. Jeżeli ktoś to rozumie inaczej, niech idzie do diabła.

Tej nocy, skulona na małym foteliku, w ubraniu, spała lepiej niż przez cały miniony tydzień.

Deanowi, ponieważ był detektywem, pozwolono patrzeć przez szybę udającą lustro jak policja z Atlanty przeszłuchuje człowieka, który pobił Jeannie na śmierć.

Nawet Dean musiał przyznać, że Matthew Jakes był żalosną kreaturą. Delikatnej budowy, całkiem przystojny, przypominał papierową laleczkę. Deanowi wydawało się, że wystarczy spojrzeć na tę twarz bez wyrazu, aby wiedzieć, że nie kryła się za nią żadna wrażliwość ani rozsądek. Jeannie jednak zakochała się w nim - w tym żalosnym, przerażonym łajdaku, który płacząc powtarzał w kółko, że ją kochał i nie chciał jej skrzywdzić.

A jednak skrzywdził. Ile razy zdarzyło się to wcześniej? Jak to możliwe, że wołała tego tchórzliwego brutala od niego? Od niego' i Jasona?

Przed oczami Deana pojawił się jeszcze jeden obraz, który uparcie nie chciał zniknąć. Czarne loki Jeannie były sklezione krwią, twarz, którą kiedyś kochał i całował była bezkształtną masą tkanki i mózgu, bezzębne usta niemo krzyczały. Dean widział wiele ofiar brutalnych zbrodni, ale ta kobieta była kiedyś jego żoną i matką jego dziecka.



Przetarł oczy i próbował skoncentrować się na przesłuchaniu. Matt Jakes siedział wyprostowany, przed nim stał nietknięty styropianowy kubek parującej kawy i leżał pączek. Oficerowie śledczy pytając go o szczegóły wiodące do „wypadku”, byli subtelni, niemal współczujący.

Bełkotał niewyraźnie, więc jeden z detektywów podsunął bliżej magnetofon. Facet nie potrafił przestać płakać. Co za mięczak! Dlaczego Jeannie wybrała go ponad swojego męża?

- Kochałem ją - szlochał - Nie chciałem jej skrzywdzić.

- Oczywiście, wiemy o tym. Ona wiedziała, że pan ją kochał, prawda? - trzech gliniarzy byli dobrzy w tym co robili. Dean musiał to przyznać, chociaż sam nie mógłby się tak zachowywać - udawać, że obchodzi go co taki facet czuje...

- Pomagałem jej odzyskać dziecko - jęczał Matt Jakes. - Myślałem, że to ją uszczęśliwi.

- I wtedy będzie się odpowiednio zachowywać? - podpuszczał go jeden z gliniarzy.

Morderca wyglądał na wdzięcznego za zrozumienie, z którym, jak myślał, spotykał się. Otworzył się jak nieświeże jajo, zepsute i śmierdzące. Wydawało się, że nie będzie mu można przerwać nieoczekiwanej spowiedzi.

- Ona była trochę stuknięta. Płakała całymi dniami z tęsknotą za dzieckiem, mówiła jak bardzo za nim tęskni, no więc powiedziałem, żebyśmy go odzyskali. A wtedy wściekała się i mówiła, że nie chce żeby mieszkał pod jednym dachem ze mną. To boli, no nie? Ile facet może wytrzymać? Ja tylko próbowałem ją uszczęśliwić. Kochałem ją, kochałem ją bardzo...

- Bał się pan, że od pana odejdzie?

- Tak, A potem wpadłem na pomysł, dzięki któremu mogła mieć to co chciała. Chciałem zrobić jej niespodziankę zmuszając jej stare-

go do oddania dzieciaka. W ten sposób nie musiałyby prosić, a dziecko nie miałyby gdzie indziej iść, a wtedy przekonałyby się, że nie byłyby tak złe, gdyby oboje mieszkali ze mną...

- Co to był za pomysł, Matt?

Wycofał się. - Nie ważne - powiedział smutno.

- Ale jej się nie podobał, co? Nie potrafiła docenić tego, co próbowałeś dla niej zrobić?

Pokiwał ochoczo głową. Myślał, że nareszcie ktoś docenia jego pomysłowość i Bóg wie co jeszcze. Deanowi chciało się rzygać. Widok zmasakrowanej twarzy Jeannie wciąż pojawiał mu się przed oczami.

- Nie potrafiła tego docenić. Wściekła się. Powiedziała, że nie chce aby dzieciak kiedykolwiek mieszkał w jednym domu ze mną, że woli go raczej oddać do sierocińca. To naprawdę zabolalo. Tak mi się odwdzięczała?

- Na jaki pomysł wpadłeś, Matt? - delikatnie prowokowano go do odpowiedzi. Detektyw, który jak dotąd niewiele się odzywał sprawdził, czy w magnetofonie nadal jest wystarczająca ilość taśmy i czy wszystko się nagrywa. Podsunął kawę bydlakowi, który spowiadał się. Deanowi przyszło do głowy, że obrona może oprzeć się na wniosku o niepoczytalności, i że na pewno przyszło to też do głowy policji w Atlancie, którzy nie zamierzali dopuścić do tego, aby mu to uszło płazem.

- To skomplikowana sprawa - powiedział zabójca, jakby nie był pewien czy będą w stanie zrozumieć jego genialne machinacje. Dopiero gdy Dean poczuł, że bolą go dłonie, zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie co najmniej od godziny trzyma je mocno zaciśnięte w pięści.

- Mogę się założyć, że to był jakiś świetny pomysł.

Udało im się. Złoczyńca wyśpiewał wszystko, jakby mu za to mieli dać medal. - Kazałem jej podpisać papier, który mówił, że ta dziw-

ka, z którą mieszkał jej ex, molestowała dziecko, Wie pan co mam na myśli?

Uśmiechnął się. Dean z trudem powstrzymał się aby nie wpaść tam i nie dać łobuzowi próbki tego, czego doświadczyła Jeannie.

- Wtedy sąd przyznałby dziecko Jeannie i nie musiałyby się o nie ubiegać. Jakby się co złego wydarzyło, nie musiałyby winić siebie za to, że go przywiozła... Rozumiecie?

Rozumieli aż nadto, ale z poważnymi minami zapewnili go, że postępował zupełnie logicznie, że był nawet sprytny. On natomiast ciągnął dalej swój chory monolog, pograżając siebie coraz bardziej. Dean słuchając go powtarzał sobie, że żadna ława przysięgłych nie może uznać go za niepoczytalnego. Chory, zwariowany - jak inaczej można pobić kogoś na śmierć? Ale nie niepoczytalny w prawnym znaczeniu tego słowa. Ten mężczyzna doskonale wiedział, że postąpił źle, a tylko to trzeba było udowodnić. On sam przelewał na taśmę dowody.

Wrobił Lane ze swoich własnych pokrętnych powodów. Jeannie bardzo kochała Jasona. Z jakiejś przyczyny nie potrafiła opuścić tej groteskowej kreatury, ale podjęła jedną mocną decyzję - nie narażać Jasona na jego brutalność.

Dean opuścił pokój obserwacji i poszedł na górę, do sypialni detektywów. Rzucił się na leżankę, ale chociaż był bardzo zmęczony, nie mógł zasnąć. Jeannie zdawała się opuścić zimny postument w kostnicy i towarzyszyć mu.

Peyton upewniła się, że jest sama w domu. Reese zniknęła, Lane była w domu Deana Collinsa, ale przez mieszkanie przewinęło się mnóstwo gliniarzy, detektywów, facetów od zbierania odcisków palców i tym podobnych, którzy przeczesywali dom i czytali prywatną korespondencję Reese, i jej papiery. Nie można było być pewnym kiedy znowu któryś z nich się pojawi, a zazwyczaj towarzyszył im Edward Burton', dając pozwolenie na ich czynności, jakby to był jego dom. A przecież nie był - dał go Reese w prezencie ślubnym, ale taki był już Edward. Łatwo przyszło, łatwo poszło. To co ojciec dał, ojciec może odebrać. Da ci życie, a potem będzie ci je utrudniał jak może

Do piątku wieczór jednak dom wreszcie opustoszał i Peyton miała telefon tylko dla siebie. Zapytała czy założono im podsłuch. Jak na razie nie było dowodów na porwanie, ale koncentrowano się na telefonie Edwarda, bo to od niego zażądano by okupu.

Była wystarczająco sprytna aby nie dzwonić ze swego aparatu, na wszelki wypadek. Poszła do pokoju Lane i usiadła przy małym, białym biurku. Wyjęła swój miniaturowy magnetofon z kieszeni i przewinęła taśmę. Odsłuchiwała ją kilka razy, aby zapamiętać gdzie są „najlepsze fragmenty” i ustawiła gotową do odtworzenia. Wykręciła numer.

„Tu prywatna Unia Eleanor Alexander. Jeśli życzysz sobie rozmawiać z kimś z domu Alexander, odwieś słuchawkę i wykręć ten numer. Jeśli masz sprawę związaną z gazetą, zadzwoń do odpowiedniego biura Savannah Dispatch. Jeśli chcesz zostawić osobistą wiadomość dla Eleanor Alexander, możesz zaczynać, gdy skończy się długi sygnał”.

Gdy umilkł długi sygnał, Peyton nacisnęła guzik swojego magnetofonu i przysunęła go blisko telefonu. Odgłosy dyszenia, szelestu zrzucanych ubrań i pojękiwania były wyraźne. A potem głos samej Peyton:

- Och, panie Alexander...

- Mów do mnie Charles - dyszał łątwy do rozpoznania głós.

- Nie powinniśmy... - wzdychała Peyton na taśmie, a jej głós nagrywał się po drugie stronie kabla telefonicznego.

- Ale chcesz? - nalegał Charles Alexander, a potem sam mówił ciężko oddychając - „Ja chcę, bardzo... Boże, jesteś taka piękną, taka sexy...”

Jeszcze kilka wyrafinowanych zdań wypowiedzianych przez czcigodnego członka społeczności Savannah nagrało się na sekretarkę jego żony, a potem Peyton odłożyła słuchawkę na widelki. Zatrzymała magnetofon i schowała go z powrotem do kieszeni.

„Tatuś!” Powitanie było bardzo radosne, nie zmacone cieniem smutku. Jason tęsknił za tatą, ale teraz był już szczęśliwy. Poranne słońce wpadało przez okna, tata był w domu, jego przyjaciółka, Lane nadał tu była i przygotowywała śniadanie – w jego świecie zapanowała harmonia.

Dean podniósł go, uściskał, ucałował w umorusaną mlekiem buzię, po czym postawił go na ziemi i przytulił Lane - naturalny gest po powrocie do domu. Również go uścisnęła.

- Lane robi naleśniki! - wrzasnął Jason.

- Dla mnie też wystarczy? - zapytał Dean.

- Tak! - zawołali chórem Jason i Lane, po czym wszyscy się roześmieli.

- Wygląda na to, że nieźle wam się tutaj razem wiodło – powie-

dział Dean. Wziął z rąk Lane miskę, a ona zaczęła doglądać grzejący się syrop.

- Oglądaliśmy film - powiedział Jason.

- Niech zgadnę który - zaśmiał się Dean.

Twarzyczka Jasona rozjaśniła się, ale szybko zrozumiał żart i udawał, że jest rozczarowany. - Powiedziała ci!

- „I zawsze pozwól aby sumienie było twoim przewodnikiem!” zaśpiewał Dean.

Jason westchnął. - Lubię ten film - powiedział.

- Pamiętasz jak w zeszłym roku chciałeś oglądać tylko „Bambi”? - przypomniał mu Dean.

- W kółko i w kółko, i w kółko! - zapiszczał chłopiec.

- Ale to był smutny film - przypomniał synowi.

Jason pamiętał o tym i przytaknął. - Mama Bambi umarła - powiedział.

Lane milczała przewracając naleśniki. Serce jej pękało na myśl o nich obu.

- Pamiętasz co ci wtedy powiedziałem o umieraniu?

- Taak... Każdy musi umrzeć i to jest tak jakby zasnęli na długo. Czują się dobrze i tylko inni ludzie za nimi tęsknią.

- Świetnie, Jason. Masz wspaniałą pamięć.

- Dużo o tym myślałem - powiedział malec. - Patrick powiedział, że to nie prawda z tym snem. On powiedział, że kiedy ludzie umierają, idą do nieba i fruują tam z aniołami.

- No cóż, Jason, kochanie, nikt tak naprawdę nie wie co się dzieje po śmierci. Ludzie wierzą w różne rzeczy.

- Ja wiem w co wierzę - powiedział Jason.

- W co, kochanie?

- Wierzę, że zjem trzy naleśniki! - zawołało radośnie dziecko. Miał rację. Dean póki co zarzucił temat Przed pogrzebem będzie

jeszcze czas, aby powiedzieć mu o matce. Siadając do stołu Lane położyła rękę na jego dłoni, popatrzył na nią z wdzięcznością i wielką miłością.

- Dziękuję za opiekę nad Jasonem - powiedział.

- Tak, dzięki! To najlepsze naleśniki jakie w życiu jadłem - dodał Jason, opychając się.

- Hej, hej, nie zapominajmy o manierach - przypomniał mu Dean, upychając mu serwetkę pod brodą.

Przez chwilę jedli w milczeniu, Lane naląła kubek mleka dla Jasona i po kubku kawy dla siebie, i Deana. A potem Jason rzucił pytanie jak bombę, chociaż zrobił to tak spokojnie, jakby prosił o dokładkę syropu.

- Czy mama nie żyje?

Dean niemal zakrztusił się gorącą kawą. - Dlaczego o to pytasz?

- Zacząłeś mówić o Bambi, więc pomyślałem, że zaraz mi powiesz, że mama nie żyje. W przeciwnym razie co by cię obchodził ten film? Przecież to film dla dzieci - powiedział sensownie.

Dean odłożył serwetkę i spojrzał na syna. - Tak, Jasonie. To właśnie próbowałem ci powiedzieć.

Jason zastanowił się. Rozmazał palcem kilka kropli syropu, które skapnęła na stół. Potem spojrzał na poważne twarze Deana i Lane. - W porządku - powiedział.

- Możesz płakać jeśli ci smutno - powiedziała do niego Lane.

- Kiedyś płakałem, bo za nią tęskniłem, ale teraz już nie tęsknię. Czasami mam sny, ale to są złe sny. I tak mnie nie chciała. - To powiedziawszy, chłopiec podniósł widelec i z apetytem zaatakował pozostałe naleśniki.

Dean i Lane wymienili spojrzenia. Nie wszystko zostało powiedziane i Jasona z pewnością oczekiwały w przyszłości problemy, ale póki co przy stole zapanowała atmosfera ulgi.

-Tato?

Dean spojrział na syna, - Tak?

- Czy ożenisz się teraz z Lane? - wyraz niewinnych oczu chłopca był trudny do odczytania.

- Ajak by ci się to podobało? - zapytał ostrożnie Dean. Lane poczuła, że się rumieni. Oto decydowała się jej przyszłość, chociaż nie był czas po temu. Dziecko przeżywało tragedię bez względu na to co mówiło - przecież dopiero się dowiedział, że umarła jego matka. Nikt nigdy nie mógł zająć jej miejsca, i nikt nigdy nie powinien nawet próbować. To było zbyt szybko - matki nawet jeszcze nie pochowano. Dzieci potrzebują matek, bez względu na to jak dorosłe się wydają.

Lane dałaby wszystko, aby znaleźć się jak najdalej od tego stołu, przy którym wpólosierocony czterolatek i wyczerpany gliniarz, który dopiero był świadkiem strasznej osobistej tragedii, decydowali o jej losie. Wstała gwałtownie od stołu aby dołożyć masła do maselniczki, chociaż było go pełno, Otworzyła lodówkę i stała przed nią udając, że jest zajęta, nasłuchując.

- Byłoby fajnie - powiedział Jason. - Mogę już wstać?

Za przyzwoleniem Deana chłopiec zaniósł talerz do zlewu. Lane zamknęła drzwi lodówki i stała z maselniczką w ręku patrząc na niego. Kiedy podszedł do niej pochyliła się aby otrzymać bardzo lepkiego, syropowego całusa.

Była jesienna sobota, temperatura już nieco spadła, dzieci grały w piłkę w parku. Dopiero, gdy Jason pobiegł uszczęśliwiony do swoich kolegów, Dean i Lane mieli okazję poważnie porozmawiać,

- To musiało być dla ciebie okropne - powiedziała.



- Po prostu nie rozumiem co ona w nim widziała, dlaczego pozostawała w takim krzywdzącym ją związku.

- Nie chodzi chyba o to, dlaczego pozostawała w takim związku, ale dlaczego on ją krzywdził - zasugerowała Lane.

- Tak, oczywiście, masz rację. Ale jednak... wolała jego ode mnie. - Ego Deana było mocno poturbowane i nadal nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Lane przeszła do tematu, który dla niej był ważniejszy.

- Dean, naprawdę zaczynam martwić się o Reese. Nikt jej nie widział ani nie rozmawiał z nią od trzech dni. Jej ojciec szaleje i nie dziwię mu się. Czy możemy coś zrobić?

Dean uściskał jej rękę. - Zaraz pojedę na posterunek i dowiem się. Mogę dostać tę sprawę, bo dobrze ją znałem. Masz jakieś pomysły, co mogło się z nią stać?

- Wiesz o tym, że jej trener próbował ją zgwałcić? Pan Burton uważa, że przede wszystkim tam trzeba szukać, ale policja twierdzi, że John Larmore siedział, kiedy Reese zniknęła.

- Czy mogła chcieć po prostu wyjechać sama, uciec od wspomnienia tego wydarzenia i od ludzi, którzy o tym wiedzieli?

- Pytano mnie o to i o wiele innych rzeczy tak często, że kręci mi się w głowie. Jedno co mogę powiedzieć z całą pewnością to to, że Reese nigdy w życiu przed niczym nie uciekała, nigdy by nie martwiła tak swojego ojca ani przyjaciół.

Dean objął ją ramieniem. - Dużo przeżyłaś, dzieciaku - powiedział cicho.

- Martwię się o Reese.

- Pójdę pożegnać się z Jasonem, a potem pojedę na posterunek. Zawiadomię cię, jak tylko się czegoś dowiem, dobrze?

- Dzięki, Dean.

- Kocham cię, Lane. Zawsze cię kochałem. I zawsze będę.

- Ja też cię kocham. Boże, jak to dobrze móc powiedzieć to głośno! To znaczy... przykro mi z powodu Jeannie, naprawdę, ale...

- Wiem - powiedział Dean. Pocałował ją delikatnie i poszedł w kierunku grupy dzieciaków, które pozbywały się nadmiaru energii, biegając za pomarańczową, plastikową piłką.

Zapomniała już jak piękne jest Vermont, kiedy liście opadają tu wczesną jesienią.

- Nie chodzi tylko o kolory - zachwycała się głośno, jadąc przez małe miasteczka Nowej Anglii i wiejskie drogi. Przejeżdżała wysokimi tunelami starych dębów, klonów i wiązów, które zachwycały orgią czerwieni, pomarańcza, żółci i brązu. - Chodzi o to, jak drzewa ustawiają się wobec siebie, żadna gałązka nie jest nieruchoma, wszystkie cały czas się poruszają, trochę albo bardzo, zależnie od wiatru. Wszystkie barwy są jak warstwy koronki, zmieniają się gdy my się poruszamy i gdy porusza je wiatr. Popatrz tam - na tę delikatną, bladą wierzbę na tle ciemnoczerwonego klonu... Naprawdę myślę, że trzeba pochodzić z południa, aby docenić wszystkie te wspaniałe kolory.

David roześmiał się. - Kolory w Georgii również są piękne. Nigdy w życiu nie widziałem tylu cudownych kwiatów.

Reese pokiwała głową. Prowadziła samochód i musiała się bardzo starać, aby nie odrywać wzroku od drogi i nie spoglądać na drzewa, jak i na swojego pasażera.

- Wiesz co mam na myśli - powiedziała.

- Tak, naturalnie. Dla mnie to najpiękniejsze miejsce na ziemi, bez względu na porę roku.

Musieli postawić dach przejeżdżając przez Mason Dixon Line, ponieważ pozostawili już za sobą delikatne powiewy południowego powietrza i poczuli chłodny październikowy wiatr z północy. Jednak, gdy dojechali do Bennington, Reese zaproponowała aby ubrali się we wszystkie ciepłe rzeczy jakie mieli, opuścili dach i wystawili się

na pełne uderzenie piękna wokół. Otuliła się wielkim, wełnianym swetrem Davida. Smagana zimnym powietrzem miała wrażenie, że samo życie klepie ją po policzkach mówiąc „obudź się, wstań, żyj!”. Nie mogłabyś tu mieszkać. Jak się już przyzwyczaisz do pogody, to się zmienia. Tu jest zupełnie inaczej niż w Savannah, gdzie jest albo sucho, albo mokro, ale nigdy bardzo zimno czy upalnie. Można bez pośpiechu obserwować jak mijają dni, a najpoważniejsza decyzja, jaką trzeba podjąć to, czy zabrać parasol czy nie.

- Uwielbiam to miejsce - krzyknęła do Davida, poprzez wiatr, który burzył jej włosy, tworząc pszeniczne kaskady. - Tak się cieszę, że z tobą przyjechałam! Nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś tak nieplanowanego!

David wiercił się na siedzeniu obok, skrepowany pasami bezpieczeństwa. Lubił na nią patrzeć.

- Nigdy wcześniej nie czułaś się wolna! - powiedział do niej Roześmiała się i znów poczuła policzkujący ją wiatr.

- Myślisz, że powinniśmy podnieść dach? - zapytała.

- W porządku, jeśli jest ci za zimno.

- Nie! Tak jest cudownie!

Nigdy dotąd nie widział jej tak radosnej. Było wiele rzeczy, których nie wiedział na temat tej piękności z południa. Kiedyś wzdrygał się na myśl, że mógłby zakochać się w kimś, kto mówi z powolnym, leniwym akcentem i wygląda jak akwarela. Teraz, widząc żywy kolor na jej policzkach i *to, jak* zachwyca się jego Vermont nie był już tego taki pewien.

- Skreć na następnym skrzyżowaniu, krzyknął. - Zobaczysz stację benzynową z dużym pomarańczowym kotem na dystrybutorze.

Reese zerknęła na Davida, aby sprawdzić czy stroi sobie z niej żarty, ale on tylko kiwnął głową i musiała mu uwierzyć. Milę dalej mały budynek obłożony farbą opierał się o kolorowe drzewa. Gdy

zwolniła i skręcała, rzeczywiście zobaczyła ogromnego pomarańczowego kota, który powiódł za nimi wzrokiem, gdy go mijali. Siedział na jedynym z dystrybutorów^ jak postać z „Alicji w Krainie Czarów”.

Nikt nigdy nie potrafił rozśmieszyć jej tak jak David, Zastanawiała się dlaczego nie zdawała sobie z tego sprawy wcześniej, To prawda, że była już dziewczyną Trávisa, kiedy wyjechała do collegu, a nawet później, kiedy postanowili chodzić na randki z innymi, nie potrafiła traktować tych innych jak kogoś więcej niż przyjaciół. Teraz złapała się na tym, że zastanawia się co w ten sposób mogło jej umknąć.

Jechała teraz o wiele wolniej, ponieważ szosa zmieniła się w wąską drogę. Wokół nich rozciągały się głównie dziewicze lasy, wjeżdżali krętą, długą ścieżką pod górę.

- O cholera! Powinienem ci być powiedzieć. Ta stacja to było ostatnie cywilizowane miejsce zanim dojedziemy do mojego domu -powiedział David. - Jeśli chcesz zadzwonić albo kupić coś do jedzenia, powinniśmy się zatrzymać.

Reese potrząsnęła głową. Miała zaróżowione policzki. - Niczego nie potrzebuję - powiedziała wesoło.

- Gdybyś chciała zadzwonić do ojca...

- On wie gdzie jestem, a poza tym nie bardzo chce mi się teraz rozmawiać z kimkolwiek z domu. Wyjaśniłam wszystko Peyton, gdy dzwoniłam z samolotu i nie muszę wysłuchiwać jego uwag i ostrzeżeń.

- Ostrzeżeń? - zdziwił się David. - Skręć w lewo przy następnym dużym drzewie, tym z jasnozielonymi liśćmi.

Skręciła, a droga stała się jeszcze węższa i bardziej wyboista. Zwolniła do dziesięciu mil na godzinę i to również jej się podobało. Tu nie trzeba było się śpieszyć. Nie było ruchu, nie było hałasu, tylko szelest spadających liści i świergot ptaków.

- Mój Tata zawsze ostrzega mnie przed strasznymi rzeczami, które mogą wydarzyć się młodej damie kiedy wyjedzie z Savannah - powiedziała śmiejąc się Reese. - Nie chciał słyszeć o moim wyjeździe do Berrington. „Mamy bardzo dobre szkoły na miejscu” - przedrzeźniała Edwarda.

- Może trzeba go było słuchać. Widzisz tę polankę po prawej stronie? To się zaczyna moja ziemia. Skręć tu! ale uważaj - w krzakach mieszka rodzina bażantów, tuż przy drodze. Nie przestrasz ich.

Była oczarowana, rozglądała się, mając nadzieję zobaczyć piękne ptaki, przebiegające przez drogę i jeszcze bardziej zwolniła. W nagrodę ujrzała bażancicę i jej kurczęta dziobiące coś pośród liści pośrodku jego podwórza. Spojrzały na nią, ale nie uciekły. Cieszyła się, że ich nie przestraszyła.

David wybudował dom sam. Był niewielki, miał dwa kominy i oszkloną werandę, przez którą mogła dostrzec obszerną, staromodną kuchnię. Zatrzymała samochód i zgasiła silnik. Z lasu dokoła nie dobiegał żaden dźwięk, nawet ptaki umilkły na tę magiczną chwilę.

- Och, Davidzie! - westchnęła Reese. - Teraz rozumiem dlaczego kochasz to miejsce.

- Jest bardzo odizolowane od innych. Ludzie sądzą, że jestem pustelnikiem. Otwórz bagażnik, wyjmę bagaże.

Reese uśmiechnęła się wysiadając z samochodu i podeszła do niego.

- Jakie bagaże? Miałam cię tylko odwieźć na lotnisko, pamiętasz? Zazwyczaj nie zabieram własnych walizek, gdy odwożę kogoś na samolot Nigdy nie zrobiłam czegoś tak spontanicznie.

- Zrobiłaś wrażenie na samej sobie, prawda? - David droczył się z nią wyciągając swoją torbę i komputer. Reese przytaknęła, chwytając torbę z niezbędnymi zakupami, jakie poczyniła w przydrożnym supermarkecie gdzieś pod Waszyngtonem, gdzie zatrzymali się na noc.

David otworzył drzwi i usunął się na bok aby ją przepuścić.

Westchnęła z zachwytem. Pokój był wysoki na dwa piętra, przestronny i wypełniony światłem. Słońce przebijało się przez czerwone, żółte i pomarańczowe liście, i tańczyło wraz z nimi, gdy opadały. Wpadało do pokoju przez ogromne świetliki i przejrzystego szkła i wysokie, szerokie okna, były jedynym źródłem koloru w pokoju, nie licząc książek wypełniających dwie ściany od podłogi do sufitu. Dwie wygodne kanapy i dwa duże fotele obite surowym białym płótnem stały przed kominkiem. Małe białe pianino Stainwaya stało w rogu, na tle półek z książkami. Podłogę stanowiły szlifowane i polerowane drewniane deski, leżały na niej indiańskie, biało-brązowe chodniki, ocieplając ją w kilku miejscach. To był pokój, w którym można było zwinąć się w kłębek i zatopić w lekturze przy kominku, pokój stworzony do słuchania muzyki i poważnej rozmowy.

Poprowadził ją przez resztę domu: dużą, gościnną kuchnię z piecem drzewnym i gazowym, owalnym, dębowym stołem na rzeźbionej nodze i czterema krzesłami nie od kompletu, na których leżały kolorowe poduszki. Był tam też zlew ze starą ręczną pompką i kredensy wypełnione naczyniami i kubkami, jedzeniem w puszkach i setkami słoików w różnych rozmiarach, zawierającymi płatki śniadaniowe, kawę, cukier, mąkę, kakao i inne, suszone przetwory. Były małe słoiczki z rodzynkami i suszonymi borówkami, kawałkami czekolady, orzechami, łuskanymi i nie łuskanymi. Były większe słoiki z wszelkiego rodzaju ryżem, makaronem i fasolą. Był słój z kruchymi ciasteczkami i wiele innych, których zawartości nie potrafiła nawet odgadnąć. Wszystkie były szczelnie zamknięte i stanowiły bardzo apetyczną wystawę rzeczy do jedzenia.

Otworzył małe drzwiczki i pozwolił jej zerknąć do środka, do spiżarni, gdzie słoiki z przetworami owocowymi i warzywnymi stały w szeregu za wiszącymi pętami kiełbas i suszoną rybą.

- Wiem, że to wygląda tak, jakbym się spodziewał końca świata, ale ja się po prostu szykuję na zimę, jak wiewiórki i inne tutejsze zwierzęta. Gdy nadchodzi zima, czasem całymi tygodniami nie można się ani tu dostać, ani stąd wydostać.

- Tu jest jak w niebie. David, jestem pod ogromnym wrażeniem! Dom jest piękny i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jesteś takim pomysłowym gospodarzem... - przerwała, bo przyszło jej do głowy, że może przyłożyła do tego rękę jakaś kobieta. Dlaczego nie, ale czy w takim razie nie powinien był jej ostrzec, że jest jakaś kobieta w jego życiu?

Jak to zazwyczaj było z Davidem, domyślił się, o czym pomyślała. Uśmiechnął się. - Nie, nie zrobiłem tego Wszystkiego sam. Nie zupełnie. Ale to wszystko należy do mnie i zawsze należało. Ludzie sporo mi pomogli.

- Kobiety - powiedziała,

- Niech im Bóg błogosławi - zgodził się.

- To cudowny dom - powtórzyła.

- Niewiele zostało do obejrzenia - moja sypialnia i coś co można nazwać gabinetem, tam będziesz spała. Idź za mną.

Sypialnia była powodem, dla którego konieczny był drugi komin - na środku był następny kominek. Komin wchodził prosto w sufit i obłożony był szklanymi płytkami. Łóżko było wielkie, przykryte pu-chatą, białą kołdrą. Ściany pokrywały książki i obrazy, tylko w jedną z nich wbudowane były szafy, nie było tam żadnych innych mebli.

- Leżysz nocą w łóżku, patrzysz w ogień albo spoglądasz w górę i widzisz gwiazdy - zachwycała się.

-Tak.

Nastąpiła rzadka chwila niezręcznego milczenia. Wyciągnął w jej stronę rękę, ale nie odpowiedziała na ten gest. - A gdzie ja będę spała?



Poprowadził ją wzdłuż krótkiego korytarza. Przechodząc oprócz jakichś drzwi powiedział; - Łazienka jest tutaj. - Otworzył drzwi, aby pokazać jej wyłożony białymi kafelkami, słoneczny pokój z dużą miedzianą pompą stojącą obok białej emaliowanej umywalki. Była tam też toaleta i duża, okrągła galwanizowana wanna. Uśmiechnął się i uderzył otwartą dłońią w czoło w udawaną rozpacz.

- Chyba ostrzegłem cię, że nie ma wody bieżącej?

- Reese przytaknęła, śmiejąc się. Zaciekawiona, obejrzała prysznic na energię słoneczną nad wanną i dotknęła ręczki wielkiej pompy.

- Opierałem się nawiedzy starożytnych Rzymian, którzy wiedzieli wszystko o systemach wodnych bez użycia elektryczności. Myślę, że będzie ci się to podobać. No, a przynajmniej będzie wystarczające. Słońca jest dość, aby ogrzać wodę. Toaleta jest chemiczna i działa lepiej od tradycyjnej kanalizacji.

- Jesteś niesamowity, Davidzie. Jestem pod wrażeniem!

Uśmiechnął się do niej z wysokości swoich prawie dwóch metrów, a był to uśmiech małego chłopca - był dumny ze swych osiągnięć i z tego, że ona je docenia.

Potem zaprowadził ją do gabinetu. Było to przyjemne miejsce do pracy, gdzie stał również tapczan, na wypadek, gdyby poczuł się zmęczony. Papiery i teczki były porządnie ułożone na biurku.

Światło padające z nieba przybrało lekko fioletowy odcień, zmierzchało. David sięgnął po kamień leżący na biurku, w zagłębieniu tkwił krzemień. Uderzył o niego i powstała iskra zapalił lampę naftową, których było mnóstwo w całym domu. Rzuciła miękkie i spokojne światło.

- Obawiam się, że nie ma tu luksusów - powiedział - ale przyjaciele twierdzą, że jest wygodnie.

- Jestem przekonana, że tak, Jest idealnie - odpowiedziała. - Ja też będę spoglądała na gwiazdy przed snem.

- Czasami słucham świerszczy na zewnątrz i patrzę w gwiazdy. Wydaje mi się wtedy, że to one robią taki hałas, kiedy migoczą.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś, Davidzie.

- Mój dom i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi goszcząc cię.

Aby uniknąć kolejnej niezręcznej chwili, zrobił krok do tyłu i wykrzyknął:

- Nie jedliśmy nic od tej przekąski w Zonkers. Umieram z głodu! Reese uświadomiła sobie, że też jest głodna. Tak głodna, jak nigdy przedtem.

Dean zadzwonił do Lane jak tylko Edward otrzymał raport.

- Zauważono czarne BMW z blondynką za kierownicą. Pasażerem był wysoki blondyn. Zatrzymali się po benzynę na drodze 95 mniej więcej w czasie, kiedy Reese zniknęła. Jechali na północ.

- Mężczyzna! - Lane była bardzo niespokojna. Reese nie wspomniała nikomu o swoich planach.

- Nie ma potwierdzenia, że to była Reese - powiedział Dean.

- Człowiek ze stacji nie zapamiętał numerów, a kobieta płaciła gotówką. Na razie mamy tylko to, znamy tylko markę i model samochodu.

- Kobieta za kierownicą miała długie, jasne włosy - wpadła mu w słowo Lane, Zaczynała się poważnie martwić. Wszystko zaczynało przypominać film. Co się działo z Reese? Gdzie ona była?

Dean wyczuł w jej głosie wzrastające napięcie. - Lane, kochanie, dobrze się czujesz?

- Martwię się o Reese, ale czuję się dobrze, naprawdę. Nie wiem co bym zrobiła, gdybym nie musiała zajmować się Jasonem, Gramy w gry komputerowe. Jest znacznie lepszy ode mnie.

Dean zaśmiał się. - To dobrze. Nie chciałbym, żeby pokonała go dziewczyna...

- Panie Collins! Odpowie pan za tę uwagę!

- Chciałem tylko usłyszeć jak się złościsz - powiedział cicho do słuchawki.

- Powiadom mnie, jak tylko się czegoś dowiesz - poprosiła.

- Oczywiście. Muszę kończyć. Ucałuj Jasona ode mnie.

- Jasne - odłożyła słuchawkę. Gdzie jest Reese? Próbowала ukryć niepokój przed Jasonem, kiedy wrócili do gry.

Edward Burton był wściekły na gubernatora, - Jak to nie może \D pan śledzić ich w Południowej Karolinie? Czy nasz stan nie współpracuje z sąsiadami? Co tu się, u diabła, dzieje?!

Grzeczny mężczyzna po drugiej stronie linii telefonicznej zapewnił go, że „pełna współpraca jest zagwarantowana”.

- Co to do cholery znaczy? - wściekał się Edward. - Jesteś kiepskim gubernatorem, Jeny! Co ja mam za moje milion dolarów, które wydałem na twoją kampanię? Nie możesz nawet wysłać swoich ludzi do sąsiedniego stanu! Moja córka zaginęła, Jeny! Jeżeli coś się stanie, osobiście dopilnuję, żebyś zleciał ze stołka!

- Uspokój się, Edwardzie - gubernator był obojętny na wybuchy gniewu, a nawet lekko rozbawiony. - Kiedy taka sprawa przekroczy granice stanu, staje się sprawą federalną. Jak będziemy mieli potwierdzenie, że to jest taka sprawa...

Edward rzucił słuchawkę.

- Nie widzimy cię ostatnio, Dean, odkąd stałeś się wielkim detektywem. Robisz się zbyt ważny jak na starych przyjaciół? - Peyton drażniła się z nim jak zawsze. Postępowała tak z każdym, kto nie złapał się w sidła jej uwodzicielskich zabiegów. - Jak ci się układa życie z Lane? Jej też nie widzimy ostatnio, chociaż niby mieszka z nami. Zdaje się, że nieźle wam się wiedzie razem.

Dean wiercił się niecierpliwie siedząc na jasnopomarańczowym krzeselku. Im szybciej przekona Lane, aby wprowadziła się do niego i Jasona, tym będzie lepiej. W domu Reese zawsze czuł się obco. Za-

wsze wolał swój mały, przytulny domek od tego idealnie na zamówienie urządzonego domu, pełnego eleganckich antyków i mebli. Miał tylko nadzieję, że Lane nie będzie za tym wszystkim tęskniła.

- Chcesz drinka? - zaproponowała Peyton.

- Nie, dziękuję. Jestem tu służbowo. Muszę zadać ci kilka pytań.

- Służbowo? To brzmi poważnie. O co chodzi? Nadal szukacie Reese?

- Peyton wyprostowała nogi, podziwiając swoje nowe buty. Miała zgrabne kostki.

- Kiedy ostatni raz ją widziałaś? - zapytał. Wyjął notes i długopis, gotowy do zapisania każdego jej słowa.

- Co jest, Dean, nie możesz wymyślić nic nowego? Pytano mnie o to miliony razy. Co za różnica - gliniarz czy detektyw - wszyscy zadajecie mi te same cholerne pytania.

Dean popatrzył na jej obrażoną twarz. Ton jej głosu był napastliwy i nie bardzo rozumiał dlaczego. Czy to możliwe, że naprawdę nienawidziła Reese, pomimo lat udawanej przyjaźni? Po tym jak odkryła, że były siostrami, łatwo było zrozumieć dlaczego była wściekła na Edwarda, ale czy to mogło zmienić jej stosunek do Reese? Czy mogła stać się mściwa? Na samą myśl Dean poczuł chłód. Instykt mówił mu, że Peyton wie więcej niż chce powiedzieć.

Przemówił profesjonalnie, opanowany, tak jak go uczono.

- Kiedy widziałaś ją po raz ostatni? - powtórzył.

Peyton podciągnęła długie, szczupłe nogi i usiadła prosto. Mina na jej twarzy zdawała się mówić, że zaczyna jej być wszystko jedno jak to się skończy.

- Widziałam ją tutaj, w domu, przy kolacji. Lane gotowała, byliśmy we trzy. Rozmawialiśmy o moim ślubie z Brianem - powiedziała z nutą gorzkości.

- Czy mówiła coś o swoich planach na ten albo następny dzień?

- Nie - Peyton nie zamierzała rozwijać odpowiedzi. Była znudzona. t

- Co robiłyście po kolacji?

- Pozmywałyśmy i poszłyśmy spać - burknęła. - Wszystkie trzy pracujemy i byłyśmy zmęczone. Tego wieczoru restauracja była zamknięta, miałyśmy wolne i chciałyśmy odpocząć. W poniedziałkowe wieczory zawsze zostajemy w domu, nadrabiamy zaległości w plotkowaniu i idziemy wcześniej spać. Mogę się założyć, że Lane już ci to mówiła, mam rację? Ona to mówiła, ja to mówiłam, i to kilka razy, każdemu z waszego przeklętego wydziału.

- A następnego ranka? - zapytał Dean, niewzruszony jej wybuchem. Oceniał ją w nowy sposób, patrząc na nią jak policjant, a nie jak przyjaciół.

- Poszłam na łódź popracować nad rachunkami. Nie widziałam jej przed wyjściem, ani potem. - Ton Peyton wskazywał na to, że skończyła dyskusję.

- Peyton, czy rozmawiałaś z nią później przez telefon? Pomyśl dobrze. Niekiedy czas się płacze...

- Nic mi się nie płacze! Nie, nie rozmawiałam z nią przez telefon. Za bardzo się broniła. Dean wiedział, że coś jest nie tak, ale nie mógł tego uchwycić. Peyton wyslizgiwała się. Nie mógł powiedzieć nikomu o swoich podejrzeniach, dopóki były to tylko przeczucia. Wiedział, że Lane byłaby zła na niego za dreptanie po piętach jej przyjaciółce bez konkretnego dowodu.

- Jeżeli jeszcze ci się coś przypomni, Peyton, zadzwoń do mnie - poprosił, podnosząc się z krzesła.

Uśmiechnęła się. - Tak mówię wszystkim chłopakom. - Nie trudziła się, aby odprowadzić go do drzwi.

Kiedy Tom Massick zadzwonił, aby się umówić, John Larmore zajęty był indywidualnym treningiem. Recepcjonistka umówiła Toma na piątą.

- Nie mogłabyś porozumiewać się najpierw ze mną zanim kogoś umówisz, Daisy? Nie mam ochoty spotykać się z każdym kretyńcem w Savannah, który tu zadzwoni! - wybuchł kiedy pokazała mu jego rozpiskę na popołudnie.

- A skąd do diabła mam wiedzieć z kim chcesz pracować, a z kim nie? Mam czytać w myślach? - Daisy była wiotką kobietą, bez grama zbędnego tłuszczu, ale wygląd był jej jedyną zaletą.

John opanował złość i wycofał się do swojego biura. Usiadł i zaczął się zastanawiać jak ma sobie poradzić z Tomem Massickiem, kiedy ten pojawił się w drzwiach.

- Gdzie jest mój film? - zapytał Tom zanim jeszcze zamknął za sobą drzwi. Widać było, jak Daisy wychyla się znad swojego biurka, próbując posłyszeć o co robi awanturę ten przystojniak w garniturze.

Kiedy drzwi były już zamknięte, John wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją. - Nie wyszło - powiedział. - Usiądziesz? - gestem wskazał na krzeselko przy biurku.

Massick był opanowany, ale nie wiadomo było na jak długo wystarczy mu zimnej krwi. Ignorując zaproszenie, pochylił się nad biurkiem i oparł się o jakieś papiery, gniotąc je.

- Co to znaczy „nie wyszło”? Kamera się popsuła? Film się zerwał? A może zapomniałeś włożyć kasetę? To podobne do takich idiotów jak ty. Jakim cudem to spieprzyłeś, Larmore? Jestem ciekawy, powiedz mi, byle szybko. A potem oddaj mi moje pięć tysięcy dolarów.

- Nie mam - powiedział Larmore. Rozłożył ręce w geście bezradności, ukazując przy okazji wspaniale rozwinięte tricepsy.

- Czego nie masz? Pieniądzy czy filmu?

- Film nie wyszedł. Pieniądze wydałem. Podaj mnie do sądu. Tom Massick był szybki. Złapał Johna Larmore za koszulkę i pociągnął ku górze. - Zrobię coś lepszego - zagroził.

Larmore roześmiał mu się w twarz. - Patrzcie, patrzcie. Nasz Po-peye najadł się dzisiaj szpinaku. - Jednym ruchem odtrącił pięść Massicka.

Obaj wiedzieli, że trener może pokonać hazardzistę i oszusta w jednej rundzie. Tom był jednak szybki, a element zaskoczenia działał na jego korzyść. Błyskawicznie wy dobył nóż i otworzył go, nie robiąc przy tym ani jednego zbędnego ruchu. Przyłożył go do gardła Larmorea zanim ten mógł uchylić się albo schwycić go za przegub. Krew trysnęła z głównej tętnicy i jak Morze Czerwone zalała biurko i wszystkie papiery. Tom cofnął się o krok, aby się nie poplamieć. Podniósł z podłogi kartkę papieru, wytarł nóż i rzucił ją w kałużę krwi, która wciąż tryskała z gardła martwego człowieka.

Sprawdził czy nie ma na sobie kropelek krwi i nie znalazłszy ani jednej otworzył drzwi, aby wymknąć się po cichu. Niestety stanął twarzą w twarz z zaciekawioną recepcjonistką.

- John prosił, abym pani powiedział, że nie chce, aby mu przeszkadzano. Może pani iść do domu - powiedział do Daisy. Zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się.

- Zawsze o tej porze idę do domu - powiedziała zalotnie.

- W takim razie może parną podwiozę? - Tom schwycił przynętę. Daisy zachichotała. - Pewnie. Nie mam samochodu. Do pracy i z pracy biegam.

Tom udał, że go to niezwykle zainteresowało. Przepuścił ją przodem. Kiedy zobaczyła jego zgrabne, białe Masarati, Daisy zdecydowała, że tym razem zrezygnuje z biegania.

Byli w łóżku Toma na „S. S. Savannah”, kiedy o szóstej po południu



dniu klientka Johna Larmorea odkryła ciało. Ale już wtedy Daisy nie zamierzała powiedzieć ani jednego słowa przeciwko przystojnemu, kochającemu, seksownemu Tomowi Massickowi. Wielbił jej ciało tak jak ona wielbiła jego i chciała mu wierzyć gdy mówił, że jest jego prawdziwą miłością. Była gotowa skłamać dla niego przed sądem, jeśliby ją o to poprosił.

Odkąd zniknęła Reese, Lane nie była jeszcze w domu. Zajęła się życiem swoim, Deana i Jasona. Nadal miała na sobie granatowy kostium i białą bluzkę, w których poszła do pracy w piątek. Bluzkę i bieliznę prała co wieczór w mieszkaniu Deana, ale tęskniła już za innym ubraniem.

- Czy ktoś jest w domu? - zawołała wchodząc. Przez chwilę wstrzymała oddech i nasłuchiwała, mając nadzieję, że usłyszy głos Reese, ale panowała cisza. Peyton na pewno była na łodzi, męcząc się nad księgami rachunkowymi, próbując zrozumieć coś z pomieszanych rachunków, które Tom Massick niechętnie oddał w ręce swoich współpracowników.

Lane zdjęła buty i zanurzyła stopy w miękkim dywanie przechodząc do salonu. Niosła je w jednej ręce wchodząc na schody. W swoim pokoju zdjęła żakiet i spódnicę, powiesiła je starannie i rozebrała się do kąpielni. Nie mogła znaleźć pantofli, prawdopodobnie leżały kopnięte pod łóżko. Uklękła, schyliła się i uniosła kołdrę, którą zrobiła dla niej jeszcze jej babcia. Były tam - białe pantofle leżały rozrzucone między jakimiś papierami. Lane sięgnęła głębiej i wyciągnęła kapcie i papiery.

Tu nie jest brudno, tylko jest bałagan - powiedziała sama do siebie. Podniosła się i założyła pantofle. Spojrzała niedbale na papiery, które trzymała w ręce.

Zaskoczona tym co zobaczyła, Lane upuściła fotografie na łóżko, jakby parzyły. Przysiadła i patrzyła na nie - sześć wulgarnych zdjęć leżało na jej kołdrze. Podniosła jedno. To Peyton musiała je tu zostawić, ale dlaczego? Chciała, żeby je znalazła? Nie, nie leżałyby wtedy

pod łóżkiem. Musiała je upuścić przez omyłkę. Lane rozejrzała się. Co Peyton robiła w jej pokoju?

W zasięgu jej ręki był tylko telefon. Może z jakiegoś powodu Peyton przyszła tu, aby zatelefonować, oglądała te okropne zdjęcia, a one ześlizgnęły się pod łóżko. Były obrzydliwe. Widniała na nich data - zrobiono je dopiero w zeszłym tygodniu. Ukazywały Peyton w trakcie stosunku. Mężczyzna miał silne, muskularne ciało i dość długie blond włosy. Lane rozpoznała miejsce - para znajdowała się na łodzi, w prywatnej kabinie Toma Massicka. Zdjęcia robione były prawdopodobnie przez bulaj, z pokładu na zewnątrz. Odbyła na tyle dużo zajęć z fotografii w szkole dziennikarstwa, żeby wiedzieć, że zdjęcia robione były w podczerwieni. Innymi słowy – po kryjomu.

Zastanawiała się, co to wszystko mogło znaczyć. Może nic! Może miała zbyt bujną wyobraźnię. W końcu życie seksualne Peyton było jej sprawą, nawet jeśli była zaręczona z kimś innym. Ale kim był ten mężczyzna? Zdjęcia zrobiono z tyłu i ukazywały tylko jego nagie plecy, długie nogi i tył głowy.

Kimkolwiek był, na pewno nie był to narzeczony Peyton. Brian Alexander miał dobrze ostrzyżone, krótkie kasztanowe włosy. Lane wydawało się, że zna wszystkich mężczyzn w życiu swoich przyjaciółek, ale Peyton zawsze miała jakieś sekrety. Jeśli chodziło o ten, mogła go zatrzymać dla siebie. Lane nie chciała o niczym wiedzieć.

Ale reporterka w Lane była bardzo zaciekawiona. Może w tej historii było coś więcej, może dotyczyła innych ludzi oprócz Peyton i nieznajomego. Postanowiła poczekać aż coś się wyjaśni. Wsunęła fotografie pod jakieś papiery w swojej toalecie.

- Pan Edward Burton? - dwaj mężczyźni wyglądali jakby wyszli prosto z serialu kryminalnego. Zjawili się w biurze zaledwie parę minut po tym, jak opuściła je Veronika.

- Dobrze wiesz kim jestem, Jim - powiedział Edward. - O co tu chodzi? Macie dla mnie jakieś wieści? Znaleźliście Reese? Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił? Dlaczego przyszliście osobiście? - Nagle zbladł i przytrzymał się brzegu biurka. Wstał. - Mój Boże, nie przyszliście tu chyba ze złą wiadomością...?

- Nie, nie, panie Burton, To znaczy, jest to zła wiadomość, ale nie... Drugi detektyw, którego Edward nie znał, przerwał koledze jakby w akcie litości. - Przyszliśmy, aby pana aresztować, panie Burton za zamordowanie Johna Larmorea. Ma pan prawo nic nie mówić, a wszystko co pan powie może być wykorzystane przeciw panu w sądzie. Ma pan prawo do adwokata...

Edward patrzył na policjanta czytającego mu prawa jakby rzeczywiście oglądał telewizję. To nie mogło dziać się naprawdę.

- O czym wy do diabła mówicie? - zażądał odpowiedzi.

Potem przypomniał sobie, że ma prawo do milczenia i zdecydował, że to dobry pomysł, przynajmniej do chwili kiedy się dowie o co chodzi. John Larmore zamordowany! Więc ktoś zajął się tym gwałcicielem... ale gdzie jest Reese?

- Gdzie jest moja córka? - zapytał. Przenosił wzrok z jednego gliniarza na drugiego.

- Zechce pan pójść z nami, panie Burton - powiedział ten pierwszy grzecznie.

Poszedł z nimi, dopytując się cały czas o Reese. Jeśli ktoś zabił człowieka, który ją przetrzymywał, to gdzie ona była? Czy też nie żyła? Prowadzony przez dwóch facetów w tanich garniturach, Edward opuścił biuro. Mijając biurko sekretarki polecił jej, aby zadzwoniła do George'a Bligha i powiedziała mu, że został aresztowany.

Na posterunku, gdzie stawiał żądania i groził zaledwie poprzedniego dnia, Edwarda wpisano do kartoteki, wzięto jego odciski palców i zabrano do pokoju przesłuchań zanim jego prawnik tam dotarł. Odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

Bligh wreszcie się zjawił, wiedział już o co chodzi.

- Chciałbym porozmawiać z moim klientem na osobności - powiedział detektywom, a oni się wycofali.

- Co się do cholery dzieje? - zapytał go Edward.

- Wydaje się, że każdemu, kto tylko chciał słuchać opowiadałeś, że zabijesz Johna Larmore - wybitny prawnik westchnął, siadając na chybottliwym drewnianym krześle, które wyglądało jakby miało się załamać pod jego ciężarem. - Kiedy znaleziono go martwego, nic dziwnego, że stałeś się pierwszym podejrzanym.

- Ależ to bzdura! Nie zabiłem tego sukinsyna, chociaż to prawda, że chciałem. George, umieram z niepokoju o Reese - może on ją gdzieś ukrył i... Czy wiesz coś o Reese?

Prawniki potrzęsnał głową. - Nie, Edwardzie, przykro mi. Ale mogę ci powiedzieć, że nie było jej w studiu Larmore'a. Dokładnie je przeszukali, nie było żadnego śladu, że ją tam przetrzymywał.

- O, mój Boże... - jęknął Edward.

George Bligh odczekał chwilę zanim zmienił temat na bardziej palący.

- Edwardzie, twoje nazwisko wymieniła recepcjonistka Larmore'a.

- Byłem u niego dwa dni temu. Wiele osób musiało go widzieć żywego od tamtego czasu. - Edward nie wydawał się zaniepokojony swoją sytuacją, nadal przejmował się głównie Reese.

- Wróciłeś tam wczoraj wieczorem?

- Ależ skąd! - spojrzał na zatroskanego Bligha. - chyba ona tak nie twierdzi? Dlaczego miałyby kłamać?

- Daisy to głupiutka kobietka. Może kogoś kryje. A może nie.

- Świetnie! Ty też myślisz, że go zabiłem? Otóż nie! George, wydo-  
stań mnie stąd.

- Przepraszam cię, Edwardzie. Kaucja nie wchodzi w tym wypadku w  
rachubę.

Edward poczerwieniał z wściekłości. Raz w życiu zaniemówił.  
George Bligh obawiał się, że jego klient dostanie ataku serca.

- Mam zamiar poważnie porozmawiać z panną Daisy - obiecał swemu  
klientowi. - Dobiore się do sedna. W międzyczasie, radzę ci  
współpracować i zachować spokój. Nie spocznię dopóki cię z tego nie  
wyciągniemy, a to powinno wkrótce nastąpić, jak się znam na  
ano-rektycznych panienkach.

- A znasz się? - zapytał złośliwie Edward.

- Tak się składa.

Zanim zdążył to wyjaśnić, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł  
umundurowany policjant - Przepraszam pana, ale jest telefon do pana  
Burtona z Biura Federalnego. To bardzo dziwnie, ale mówią, że muszą z  
nim rozmawiać, to rozkaz Dyrektora. - Pełen z wątpienia wyraz twarzy  
gliniarza zdradził go - zapewne myślał, że to jakaś sztuczka. Jego  
przełożeni jednak uwierzyli, a on był tylko posłańcem. - Może pan  
odebrać tutaj - powiedział, wskazując na czarny aparat na ścianie.

- Panie Burton, mówi agent Conroy na rozkaz Dyrektora. Kilkakrotnie  
widziano samochód odpowiadający opisowi samochodu pańskiej córki.  
Doniesienia dochodziły jednak z różnych miejsc i żadne nie zostało  
potwierdzone.

Edward wysłuchał i słabo podziękował rozmówcy. - Która godzina? -  
spytał George'a Bligha po odwieszeniu słuchawki.

- Godzina? - Bligh popatrzył na zegarek. - Dokładnie minuta po  
czwartej.

Ku jego zdziwieniu, jego klient uśmiechnął się. - Widzisz co się

dzieje, kiedy użyjesz trochę swoich wpływów? - powiedział chełpliwie z domieszką ironii. - Agenci FBI będą do mnie dzwonić co godzinę i znajdą mnie bez względu na to gdzie jestem! Wybuchnął histerycznym śmiechem.

George Bligh zdołał umieścić Edwarda w szpitalu. Jego pokój strzeżony był przez dwóch strażników, jako że nadal był głównym podejrzanym o wyjątkowo krwawe i okrutne morderstwo. W międzyczasie jego adwokat złożył wizytę panie Daisy Jackson, przedstawiając się jako prawnik, który musi zadać jej kilka pytań na temat strasznej śmierci jej szefa.

Zaproponowała mu sok z selera, ale odmówił grzecznie. Powiedział jej, że przypomina mu jego wnuczkę, co usposobiło Daisy przychylnie.

- Czy pana wnuczka też zajmuje się sportem? - zapytała.

- Tak, oczywiście - odpowiedział, chociaż nie był zupełnie pewien co ona ma na myśli. Ta młoda kobieta wcale nie wyglądała na wysportowaną - podmuch wiatru znad rzeki mógłby ją zdmuchnąć. A poza tym tak naprawdę nie miał żadnych wnucząt

- Chciałabym zostać trenerką - zwierzyła mu się Daisy, po czym poprawiła się, chichocząc: - To znaczy, chciałam tego do tej pory.

- I już pani nie chce?

- No cóż... Mój szef nie żyje, więc nie mam pracy. A poza tym może niedługo wyjadę z Savannah - młoda, chuda kobieta nie potrafiła ukryć podniecenia. Była daleka od żałobnego smutku z powodu śmierci szefa. Na rozum George'a była raczej radosna.

- Wygląda pani na bardzo szczęśliwą osobę - rzucił przynętę.

- Bo jestem! - zgodziła się.

- Niech zgadnę. Jest pani zakochana? - zapytał, uśmiechając się, jak miał nadzieję, z dziadkową dobroduszością.

Daisy zachichotała z zachwytem - odgadł jej sekret - Zdaje się, że to widać - powiedziała radośnie.



- A kim jest szczęśliwy młody człowiek? - spytał prawnik.

Daisy zastanowiła się przez chwilę. Czy powinna mówić? Dlaczego nie? Wkrótce z nim wyjedzie i wszyscy się dowiedzą. Poza tym nie zdradzała tej drugiej tajemnicy, tej znacznie gorszej. Nigdy jej nie zdradzi ponieważ jest zakochana. - Ma na imię Tom - Tom Massick. Dopiero go poznałam, ale wie pan jak to czasem jest od razu się wie, że to jest właśnie ten.

George pokiwał siwą głową. - Tom Massick? Czy to ten przystojniak, do którego należy restauracja na wodzie?

Daisy potwierdziła ruchem głowy, a oczy błyszczały jej ze szczęścia. - Zamierza ją jednak sprzedać i wyjeżdżamy na północ. Prawdopodobnie do Nowego Yorku albo Bostonu. Ma bardzo dużo znajomości - Daisy przyznała się tym samym do wszystkich swoich marzeń i nadziei.

- Mam nadzieję, że będzie pani bardzo szczęśliwa - powiedział George Bligh, szczerze jej tego życząc, chociaż był raczej pewien, że los obróci się przeciwko niej.

Reese obudził zapach smażonego bekonu. Na oknach osiadł mróz, ale topił się już w promieniach porannego słońca, które odbijało się od błyszczących powierzchni i rozświetlało pokój. Było jej ciepło i przyjemnie pod pierzyną, chociaż spała nago, jako że nie zabrała ze sobą koszuli nocnej ani piżamy. Podłoga była zimna i postanowiła kupić jakieś pantofle, to znaczy, jeśli zdecyduje się zostać dłużej niż dzień czy dwa. Ubrała się szybko.

- Trudno mi w to uwierzyć, ale znów jestem głodna, pomimo tej uczytwejczoraj wieczorem - powiedziała, wchodząc do kuchni, gdzie David smażył jajecznicę.

- Dzień dobry - powitał ją. - Dobrze spałaś?

- Cudownie, dziękuję. Mogę ci w czymś pomóc?

- Wyciśnij sobie trochę soku, pomarańcze są tam, w dolnej szufladzie. Zrób jakieś tosty - dla mnie grube.

Wycisnęła sok z pomarańczy, grubo pokroiła chleb i zaczęła rozglądać się za tosterem.

- Użyj pieca - powiedział - już rozpałiłem ogień.

Kiedy zaczynali drugą filiżankę kawy, David powiedział jej, że musi jechać do miasta na spotkanie z potencjalnym klientem. - Możesz zostać tu sama? - zapytał.

- Uwielbiam to miejsce. Dam sobie radę.

- Strasznie się cieszę, że tu jesteś - powiedział, poważniejąc nagle. Patrzył na nią z łatwym do odcyfrowania wyrazem twarzy.

- Och... Davidzie... - szepnęła. - Może źle zrobiłam przyjeżdżając tu z tobą...

- Przepraszam - powiedział natychmiast odwracając wzrok. - Nie chciałem cię spłoszyć, naprawdę. - Wstał od stołu, pozbierał talerze i zaniósł je do zlewu. Odwrócony do niej tyłem, napompował wody do dużego czajnika, postawił go na piecu, aby zagrzać ją do zmywania.

Reese podeszła do niego - Ja to zrobię. Ty przygotowałeś śniadanie, ja pozmywam,

Odwracając się twarzą do mej, David objął ją. Chciała aby ją pocałował, ale serce biło jej jak oszalałe. Czowała, że słabnie, brakowało jej tchu. Straciła odwagę i odepchnęła go.

- Przepraszam - powiedział znowu. - Myślałem, że tym razem tego chcesz. Reese, nigdy nie zrobiłbym czegoś, czego ty byś nie chciała. Przysięgam.

- Wiem, Davidzie. Wiem i nie byłoby mnie tutaj gdybym nie miała do ciebie całkowitego zaufania. Tylko z tobą umiałam rozmawiać po tym jak,.. po tym, co się stało. Zrozumiałeś i przyjechałam tu z to-

ba, aby o tym zapomnieć. Stopniowo mi się to udaje, jestem pewna, Davidzie, nie ma innego człowieka na ziemi, z którym wolałabym teraz być. Tylko... potrzebuję trochę więcej czasu.

David uśmiechnął się do niej. - Nie ma problemu - zapewnił ją wesoło. - W porządku, możesz pozmywać. Muszę jechać do Rutland. Chcesz żebym coś dla ciebie kupił?

Zastanowiła się przez chwilę. - Kapcie. Tylko ciepłe,

Po jego wyjściu pozmywała naczynia i zamiotła podłogę, myśląc, że Kopciuszkowi wszystko przydarzyło się w odwrotnej kolejności. Reese zaczęła w pałacu, a skończyła machając miotłą, czując się przy tym w pełni szczęśliwa. Czy była gotowa zostać tu na zawsze? Reese zaczęła śmiać się sama z siebie. Przecież David i ona byli tylko dobrymi przyjaciółmi.

Przestawało jej to jednak wystarczać. Chciała go kochać. Zastanawiała się czy pozwoli się kiedykolwiek jeszcze dotknąć jakiemuś mężczyźnie bez wzdrygnięcia. Zastanawiała się też na ile Davidowi wystarczy cierpliwości. Czas się wyraźnie kurczył.

David przywiózł z miasta świeży chleb i duży kawałek żółtego sera. Pokroił trochę kielbasy wiszącej w spiżarni, otworzył butelkę czerwonego wina i zjedli pyszny lunch. Później pracował w swoim gabinecie, a ona przeglądała jego imponującą bibliotekę, po czym zagłębiła się w lekturze Grahama Greene'a.

- Czytasz po ciemku? - przestraszył ją, wchodząc znienacka. Zapalił kilka lamp, a ona zdała sobie sprawę, że dzień minął nie wiadomo kiedy.

- Och, Davidzie, tutaj jest tak pięknie. Kocham ten dom i kocham Vermont i kocham... ciebie - powiedziała. Na dźwięk własnych słów była tak samo zaskoczona jak on.

W jego oczach widać było ból, iż nie może wziąć jej w ramiona, skinał tylko głową, jakby nie miał zaufania do własnego głosu.

Uklęknął przed kominkiem i zaczął układać w nim gałązki i drewnianka.

Zrobiło jej się głupio, Czyżby go zwodziła? Nie. Czuła to co powiedziała, nie żałowała, że to powiedziała. W pokoju panowała cisza, ale nie cisza niewygodna i krępująca, tylko taka, którą łatwo przerwać kiedy nadejdzie właściwy moment.

- Chcesz drinka? - zapytał. Reese uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie anegdotkę, którą jej ojciec zawsze opowiadał o mieszkańcach Savannah. Poczowała nieoczekiwane ukłucie. Była daleko od domu. Gdy tylko pojedzie do miasta następnym razem, albo na stację benzynową, zadzwoni do Edwarda, żeby powiedzieć mu dzień dobry i że nie wie kiedy wróci...

Zdała sobie sprawę, że David czeka na odpowiedź.

- Chyba zostało trochę wina w butelce - powiedziała.

Usiedli razem przed kominkiem, pijąc wino i słuchając przez radio wiadomości, a potem Mozarta. Razem poszli do kuchni, aby przygotować kolację, i rozmawiali o wszystkim, tylko nie o nich samych. Po obiedzie on grał stare melodie na pianinie, a ona śpiewała ich ulubione piosenki. Oboje pamiętali słowa.

Wreszcie ogień na kominku przygasł i chłód przypomniał im, że zrobiło się późno.

- Dobranoc, Reese. Cieszę się, że tu jesteś, bardzo się cieszę.

- Dobranoc, Davidzie - odpowiedziała. Weszła do gabinetu, a on poszedł do swojej sypialni.

W jakiś czas później Reese wyślizgnęła się spod kołdry i owinąwszy się nią powędrowała korytarzem. Pchnęła drzwi do pokoju Davida. Było cicho, księżyc obrysowywał jego postać w pościeli.

- David? - szepnęła.

Spał. Bez wahania Reese podeszła do jego łóżka, upuściła okrycie i położyła się koło niego. Objęła go, a on kochał ją bez słowa, jak-

by we śnie. Stopniała w jego objęciach. Jakiś czas później znów się kochali, bardziej przytomnie tym razem i z uczuciem zachwyty, a rankiem obudzili się w swoich ramionach. Świat był cudowny.

Z szafy grającej wydobywała się „Ballada o Kevinie Barrym”, a piwo lało się z kurków. Veronika czekała przy barze, sącząc irlandzką whisky.

Tom Massick kiedy wszedł, ociekał deszczem. Nie miał parasola. Gdy strząsnął z siebie trochę wody, podszedł do niej, a ona roześmiała mu się prosto w twarz. - A to co? Próbujesz zapuścić wąsy? Czy to przebranie, czy może ci się wydaje, że dobrze w nich wyglądasz?

Tom usiadł na stolku koło niej i zamówił piwo. - Chodźmy stąd gdzieś, gdzie moglibyśmy porozmawiać - powiedział.

Z jakiegoś powodu Veronika pożalowała starego oszusta, Szło jej niemal zbyt łatwo. Dopła whisky jednym haustem i skinęła na barmana, aby nalał jej następną, wskazując stolik w rogu. Poszła zająć tam miejsce, zostawiając Toma, aby zapłacił za drinki.

Krzeselka przy stoliku wyściełane były zielonym, miękkim aksamitem. Usiedli naprzeciw siebie.

- Przegrałeś zakład, Tom - powiedziała. - Edward poprosił mnie o rękę, a twoja ślicznotka zniknęła. Wyparowała, prawdopodobnie uciekła. W każdym razie przegrałeś, a kto przegra, musi opuścić miasto, pamiętasz?

Tom nie wyglądał na szczególnie przejętego. - Pamiętam - odrzekł.

- Więc? Jakie masz plany?

Tom poczekał aż chłopak postawi ich drinki na stole. Podniósł swoją szklanekę w geście toastu i wypił.

- Planuję opuścić to miasto tak szybko jak to możliwe. Właściwie miałem cię prosić, żebyś mnie odwiozła na lotnisko. Zdaje się, że

widziałem Masarati Edwarda Burtona zaparkowane przed barem.

- Dzisiaj? Teraz? - Veronika zrobiła się czujna. Coś było nie tak.

- Pewnie, dlaczego by nie? Nie mam po co już tu się kręcić ~ mówił spokojnym głosem, ale podniósł kolejną whisky i wypił ją za jednym zamachem.

Veronika pochyliła się do przodu. Bluzka, którą miała na sobie uszyta była specjalnie tak, aby się w niej pochylać w słabo oświetlonych miejscach. - O co chodzi, Tom? Nie wierzę, że tak po prostu zostawiasz w spokoju Edwarda Burtona, po tym, jak całe życie przysięgałeś, że go zniszczysz. To do ciebie niepodobne.

- Założyliśmy się i przegrałem, to wszystko. Jestem dżentelmenem, który zawsze spłaca swoje kartiane długi - powiedział lekko Tom. Jakby zbyt lekko. Gestem zamówił kolejnego drinka.

- Musisz wyjechać z miasta, tak? Nie próbuj zaprzeczać, znam objawy. Trochę czasu z tobą spędziłam. Opowiesz o tym swojej starej współpracownicy? Mówią, że robi się lżej, gdy się człowiek wygada.

- Nie mam o czym opowiadać - gdy wypowiadał te słowa, zjawił się kelner i zajął Veronice głęboko w dekolt. Roześmiała się i oparła o krzesło. Zmieszany kelner postawił szklanki i szybko się zmył.

- Tom, znam cię. Co się dzieje? Wyjeżdżasz, a ja zostaję tutaj, w Savannah, więc jeśli dzieje się coś niedobrego, daj mi jakąś wskazówkę, abym w razie czego dała sobie z tym radę.

Tom nie odpowiedział. Był zdecydowanie podenerwowany. Zdała sobie sprawę, że chce jak najszybciej zniknąć. Piła wolno piwo z wysokiej szklanki patrząc jak on pochłania trzecią whisky, jakby to było gorzkie, lecz niezbędne lekarstwo.

- Ty wiesz gdzie jest Reese, prawda? - powiedziała nagle Veronika. - O to chodzi? Czy to jest twoja ostateczna zemsta na Edwardzie? I na Reese, za to, że cię odrzuciła? Czy coś z nią zrobiłeś?

- Na litość boską, mów ciszej! - zasyczał Tom, - Nie, nie mam pojęcia, gdzie jest Reese.

- O co więc chodzi? Coś ty zrobii? Dlaczego tak ci śpieszno, aby wyjechać z Savannah, że gotów jesteś zrezygnować ze swojej zemsty na Edwardzie?

- Czy możesz wypić to piwo? Chciałbym, żebyśmy stąd wyszli. Veronika znów pochyliła się ku niemu i usadowiła się wygodnie, jakby szykowała się na długi wieczór. - Nie - powiedziała. - Nie, dopóki nie dowiem się co cię zżera. Powiedz Veronice, a wtedy ona ci pomoże, jak to było zawsze.

Tom zdawał się rozważać jej słowa.

- Jeszcze jednego drinka? - spytała go sarkastycznie. Popatrzył na nią i potrząsnął głową. - Siedzi mi na ogonie napalona panienka - powiedział.

Veronika uśmiechnęła się. - Mam uwierzyć, że po tych wszystkich latach nie potrafisz sobie poradzić z taką sytuacją? Nie kupuję tego, próbuj dalej, Tom.

Popatrzył na zegarek.

Veronika wzięła go za rękę. - Dalej, kochanie. Byliśmy współnikami i kochankami, dużo razem przeszliśmy. Nie zamierzam cię wrobić. Chcę tylko wiedzieć jakie masz zamiary wobec Edwarda. Wiem, że to musi mieć coś wspólnego z nim, tak jak wszystko co robiłeś przez ostatnie sześć miesięcy. Powiedz mi więc prawdę, a zaraz wyjdziemy.

- Chodzi po prostu o dziewczynę - upierał się. Zniecierpliwiona Veronika wstała gwałtownie. - W porządku,

Tom. Do widzenia i wszystkiego najlepszego! - powiedziała.

- Poczekaj! - złapał ją za ramię. - Usiądź - poprosił. Zakłutem nożem faceta. Nie oddał mi czegoś, co był mi winien, nie ważne czego. Nie chciałem go zabić. Przez przypadek to był ten sam facet, któ-



rego Edward posądzał o porwanie Reese, więc on jest naturalnym podejrzanym. Ja... ta dziewczyna obiecała, że wskaże Edwarda jako winnego.

- Pozwól, że zgadnę resztę. Pieprzyłeś ją jak nikt inny i obiecałeś, że ją zabierzesz ze sobą w<sup>T</sup> podróż dookoła świata. Mam na razie rację? A teraz musisz zniknąć zanim ta panienka zorientuje się, że została nabrana, wygada prawdę i przyjdą po ciebie.

Tom przytaknął. - Czy możemy już, do cholery, stąd wyjść?

- Pewnie - Veronika podniosła się. Tom rzucił kilka banknotów na stół i wyszli przy dźwiękach muzyki irlandzkiej, która płynęła z grającej szafy.

Siedząc za kierownicą pięknej, błyszczącej limuzyny, Veronika skręciła w kierunku Tybee Street zamiast jechać prosto na lotnisko.

- Gdzie ty jedziesz? - zapytał zaniepokojony Tom.

- Nie martw się. Muszę zabrać coś z domu. Obiecuję, że nikt cię nie zobaczy i że dowiozę cię na lotnisko w ciągu pół godziny.

Tom miał powiedzieć, że lepiej żeby Edwarda nie było w domu, kiedy przypomniał sobie, że ten prawdopodobnie siedzi w areszcie.

- Do kogo się tak uśmiechasz? - zapytała Veronika zerkając na niego. Jechała coraz szybciej.

- Po prostu jestem ci wdzięczny. Dziękuję szczęśliwej gwiazdzie, że mogę na ciebie liczyć.

- Bzdura - brzmiała jej odpowiedź. Oboje się roześmiali. Wjechała na podjazd, zostawiła włączony silnik, a Tom położył

się na siedzeniach. Padał ulewny deszcz, za co był wdzięczny.

Veronika tymczasem poszła do swego pokoju, wsunęła nową mikro taśmę do kieszonkowego magnetofonu i przypięła maleńki mikrofon do bluzki.

- Jedźmy już, do diabła - marudził Tom, kiedy wróciła do samochodu.

Strząsnęła parasolkę, zamknęła ją i rzuciła na tylne siedzenie. Roześmiała się. - Nie martw się, Tom, Tak samo chcę żebyś jak naj-  
szybciej wyjechał jak ty sam. A teraz opowiedz mi całą tę historię. Wiesz  
jak uwielbiam takie opowieści. Więc jak nazywał się ten facet którego  
zabiłeś?

Pobierzecie się?

Dean i Lane patrzyli na siebie ponad stołem. Jason czekał na odpowiedź. Nastąpiła chwila ciszy, a potem odpowiedzieli w tym samym momencie.

- A chciałbyś tego? - zapytała chłopca Lane.

- Oczywiście, że tak! - powiedział Dean.

Wszyscy się roześmiali, Jason z radości rozlał mleko, a tak naprawdę w całym zamieszaniu nie padła żadna konkretna odpowiedź.

Kiedy go już wykąpali i ułożyli do snu, usiedli, aby wreszcie porozmawiać.

- Myślę, że on chce, abyśmy się pobrali. Jak ty uważasz? - zapytał Dean, jakby od kolacji upłynęło pięć minut

- Mamy czas - odpowiedziała Lane.

- Hej, chyba nie zmieniłaś zdania! - wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie chodzi o ciebie, ani o Jasona - zapewniła go Lane. - Naprawdę martwię się o Lane. Dlaczego nie mogą jej znaleźć, Dean? Nie mogę poważnie myśleć o własnym życiu dopóki nie dowiem się, że z nią wszystko w porządku.

- Federalni uważają, że wszystko się wyjaśni kiedy znajdziemy tego tajemniczego nieznajomego. Ale nie mamy nikogo kto by odpowiadał temu opisowi, ani nikogo, kto naprowadziłby nas na ślad, w każdym razie nie tu, w Savannah.

- Ale jeżeli on był pasażerem w jej samochodzie, nie wygląda na to, żeby została porwana wbrew swej woli - zastanawiała się Lane.

- Nikt, kto zna Reese nie wierzy, że mogłaby tak uciec nie zawiadamiając ojca albo ciebie, kogokolwiek. - Dean objął ją ramieniem, ułożyli się razem, wygodnie na kanapie, jak stare małżeństwo. - Kim mógł być ten facet? Kto, kogo zna Reese, ma prawie dwa metry i przydługie, jasne włosy.

- O mój Boże! - wybuchła Reese. Skoczyła na równe nogi i poszła po torebkę do korytarza. Wróciła trzymając w ręku kilka fotografii. - Dean, nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, albo najmniejszy związek z Reese. Może to tylko prywatna sprawa Peyton, o której nie powinnam ci mówić. Ale... - podała mu zdjęcia. - Patrz!

Dean był zaskoczony tym, że jego narzeczona pokazuje mu zdjęcia pornograficzne, ale okiem doświadczonego detektywa dobrze im się przyjrzał. Niemal natychmiast pojał o co jej chodziło. - Kim jest ten facet? - zapytał.

- Nie wiem. Znalazłam to w moim pokoju, pod łóżkiem. Sądzę, że Peyton musiała dzwonić z mojego telefonu. Zapomina płacić rachunki i czasami ją odcinają. Prawdopodobnie je upuściła, nie wiem. Ale kim on jest?

Dean przerzucał zdjęcia oglądając każde dokładnie.

- Czy mogę je zatrzymać? - zapytał. Lane wzruszyła ramionami.

- Cieszę się, że mogę się ich pozbyć. Ale Dean, to są naprawdę intymne zdjęcia. Nie chciałabym zawstydząć Peyton, jeśli to nie będzie konieczne.

Dean siedział zamyślony. - Miałem uczucie, że Peyton coś ukrywa, kiedy ją przesłuchiwałem. Że wie o czymś, o czym nie mówi, Albo o kimś.

- Czy na podstawie tego możesz dowiedzieć się kto to jest? - zapytała Lane. Co prawda widać tylko tył jego głowy i tyłek, niezły zresztą... - dodała drocząc się z nim.

Dean jednak, zagłębiany we własnych myślach, nawet jej nie słyszał. Wciąż patrzył na zdjęcia. - Pasuje do opisu i jak na razie nie mamy nikogo bardziej podobnego wśród znajomych Reese tu, w Savannah. Zabiorę to na posterunek, dobrze?

- W porządku - kiwnęła głową. Kiedy wstał i skierował się do drzwi, dodała: - Teraz? - ale nie usłyszał jej, był już na zewnątrz.

Położyła się spać w jego łóżku, bez niego. Wrócił do domu o świcie i chociaż rozbierał się bardzo cicho, obudziła się. Objęła go. - Dowiedziałeś się czegoś? - zapytała.

- Zatrzymali Edwarda Burtona pod zarzutem morderstwa - powiedział.

Lane usiadła gwałtownie. - Co? Jakiego morderstwa?

Dean ziewnął i przeciągnął się. - Zabito faceta o nazwisku John Larmore. Był osobistym trenerem Reese. Zdaje się, że przystawiał się do niej ostatnio. W każdym razie Edward wściekł się na niego.

- Dean, on próbował ją zgwałcić! Nie przystawiał się, a próbował zgwałcić!

- Przepraszam, kochanie, nie wiedziałem. Nie prowadzę tej sprawy, nie znam szczegółów. Opowiem ci więcej jutro... - zasypiał.

- Dean, a co z tym blondynem na zdjęciach z Peyton? Zidentyfikowano go?

Dean znowu ziewnął, ale tym razem śpiącym głosem powiedział „przepraszam”. Zmusił się do tego aby opowiedzieć jej o tym, co się dowiedział. - To stary kolega ze szkoły w Vermont, David Cuthbertson. Czy wspominała ci kiedyś o nim?

Lane szukała w pamięci. Dużo rozmawiały o różnych kolegach ze szkoły, ale tego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. - Nie sędzę - odpowiedziała.

- Był tu cztery czy pięć dni temu, mieszkał w Ballastone Inn. Jest architektem i podobno przyjechał zobaczyć nasze zabytki. I Reese Burton.

Lane poczuła falę ulgi, a zaraz za nią przyptyw paniki. - I co dalej? - spytała wstrzymując oddech.

- Nie wiem. Nie możemy go zlokalizować. Mieszka w jakimś małym miasteczku w Vermont, ale nie ma jego numeru telefonu w spisie. Mówią, że mieszka w lasach jak pustelnik i nie ma telefonu ani elektryczności...

Lane usiadła. - Dean! To zatrważające!

- Nie wiem, kochanie. Parker i O'Brian porozmawiają z Peyton z samego rana. Musi się przyznać, że go zna, gdy zobaczy te zdjęcia,

Po tych słowach natychmiast zasnął, natomiast Lane nie zmrużyła oka do świtu.

Peyton jeszcze smacznie spała kiedy zadzwonił telefon. Błyskawicznie oprzytomniawszy, sięgnęła po słuchawkę. - Halo?

- Czy to Peyton? - zapytał niski, znajomy głos.

- Charles! Dlaczego dzwonisz do mnie w środku nocy? Czy coś się stało? - zapytała niespokojnie.

- Tak. Coś się stało - odpowiedział, tłumiąc śmiech. - Zakochałem się w tobie.

Chciała powiedzieć, że jest obrzydliwym staruchem, który ją nudzi, ale był jednocześnie wpływowym, bogatym człowiekiem, a nie była pewna czy nie będzie go jeszcze potrzebować. Przybrała aksamitny, seksowny to głosu.

- Charles, co ty opowiadasz! Obudziłeś mnie!

- Przepraszam - w jego głosie nie było cienia zmieszania. - Sam nie mogłem spać, więc zamiast tak leżeć i myśleć o tobie, chciałem

usłyszeć twój głos. No i podziałało! Powinnaś zobaczyć co tu dla ciebie mam!

„Obrzydliwy facet” - pomyślała sobie, ale dalej mówiła słodko: - Gdzie o tej porze jest twoja żona, Charles?

- Śpi jak dziecko. Ale nie będziemy przecież o niej rozmawiać, prawda? O, już zmiękł przez ciebie, niegrzeczna dziewczynka!

- Charles, są numery pod które możesz zadzwonić, jeśli tęsknisz za seksem na telefon. Mój numer do nich nie należy - sprawiała wrażenie bardziej rozdrażnionej niż naprawdę była. W istocie cała ta sytuacja bawiła ją. Chciała się tylko dowiedzieć, co się stało, gdy Eleanor wysłuchiwała taśmy.

- Peyton, kochanie, bardzo cię przepraszam. Po prostu chciałbym cię wziąć w ramiona, to wszystko. Mówię ci, że się w tobie zakochałem.

- Czy wszystko jest w porządku - zapytała go ostrożnie.

- Kiedy tak miło ze mną rozmawiasz i mruczysz jak kot to wszystko jest w absolutnym porządku. No patrzcie, to znowu działa... mów do mnie, Peyton.

- Dlaczego nie obudzisz swojej żony, żeby z tobą pogadała? - odpaliła.

- Daj mi spokój! - rzuciła słuchawką i wyłączyła telefon. Być może nigdy nie dowie się co się stało, kiedy Eleanor Alexander usłyszała na taśmie głos swojego męża w trakcie miłosnych zawodów. Wyobrażanie sobie różnych jej reakcji było jednak równie dobre, jeśli nie lepsze. Położyła się z powrotem spać z uśmiechem na twarzy, myśląc o tej suce, słuchającej nagrania

Veronika była jego pierwszym gościem we wtorkowy poranek. Był nieogolony i brudny po nocy spędzonej w celi. Ona wyglądała kwitnąco i elegancko, pachniała pieniędzmi i urodą.

- Nieżle się wpakowałem, co? - powiedział. - Jak Boga Kocham, nie wiem jak to się stało. Nikogo nie zabiłem.

- Wiem - powiedziała z dziwnym uśmiechem.

- Jak to wiesz? Skąd, do licha, możesz wiedzieć? Mógłbym być mordercą.

- Jesteś dziś przewrażliwiony, i trudno cię za to winić. Ale Edwardzie, Kochanie, mam coś co cię stąd uwolni. Naprawdę - uśmiechnęła się do niego, błyskając olśniewająco białymi zębami. Karminowa szminka skojarzyła mu się z krwią.

- Czyżby? - w jego głosie słychać było więcej sceptycyzmu niż prawdziwego zainteresowania.

- Mam wyznanie kogoś, kto zabił Johna Larmore'a. Mam je na taśmie - powiedziała Veronika, a sposób, w jaki to powiedziała przekonał go, że mówi prawdę.

- Kto to?

- Zaraz, zaraz - droczyła się z nim. - Czy możemy o tym porozmawiać za chwilę?

Edward skrzywił się i skinął głową. - Zawsze jakieś dyskusje. Chcesz się targować? Zawierać umowę? W porządku, mów.

- Małżeństwo - powiedziała krótko.

Edward parsknął. Ten nieogolony, brudny facet siedzący w więziennej celi w pogniecionym garniturze, z karą śmierci wiszącą mu nad głową - odrzucał ją! Siedziała czekając na jego odpowiedź.

- Jesteś byłą stręczycielką, prawdopodobnie kiedyś byłaś dziwką. Jesteś w moim wieku i przeszłaś operacje plastyczne. Kłamiesz, kiedy masz na to ochotę, oszukujesz, kiedy tylko możesz, uwielbiasz oszustwa, nigdy nie mogłem ci ufać, jeśli na moment odwróciłem się tyłem. I ty uważasz, że powinienem się z tobą ożenić?!

Nie śmiał się jednak. Veronika była niewzruszona.

Edward pokiwał głową i powiedział krótko: - Zabierz tę taśmę do



mojego prawnika. Jeśli on powie, że dzięki niej wyjdę, wtedy porozmawiamy.

Veronika pokręciła głową. - Nie ma mowy. Najpierw porozmawiamy, a potem zabiorę taśmę do prawnika. Albo i nie, zależy, jak się skończy nasza rozmowa.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - zapytał. Bawiła go cała ta sytuacja, tak jak ją.

- Nie musisz. Albo te taśmy ci pomogą, albo nie było umowy.

- Jesteś twarda.

- Dziękuję - odpowiedziała, jakby złożył jej komplement na temat sukni albo sposobu tańczenia.

Edward uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku dni. - No jazda! - wykonał drobny gest jakby ją przepędzał. - Zabierz taśmę do George'a Bligha i spytaj go czy jest coś warta.

Veronika uśmiechnęła się promiennie. - Czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni? - zapytała z udawaną nieśmiałością.

Edward uklonił się jak dziewiętnastowieczny dżentelmen z południa. - Madam, ucałowałbym pani dłoń aby przypieczętować umowę, gdyby nie te kraty - powiedział.

- Nie bierzesz tego poważnie, więc idź do diabła! - Veronika zabrała się do wyjścia z pokoju wizyt.

- Veroniko, wracaj! Chcę się z tobą ożenić, naprawdę. Jesteśmy bardzo do siebie podobni, jak ulepieni z tej samej gliny. Może należymy do siebie. Do diabła z wyborami do Senatu - to banda pyszałków i lizusów. Tu jest lepiej. Bądź moją żoną, Veroniko, i razem damy wszystkim popalić. Mówię serio.

- Jeszcze jeden warunek - powiedziała.

- Jeszcze jeden? No dobrze, jaki?

- Żadnego kontraktu przedślubnego.

- Ciężko się z panią robi interesy, panno Koslowsky.

- Biedna, samotna dziewczynka musi o siebie dbać, panie Burton.  
- Zgoda. Niech będzie. A teraz mnie stąd wydostań. Spojrzała na niego przenikliwie, próbując dotrzeć do mężczyzny ukrytego za fasadą chłodnego spojrzenia. - Jestem nieobliczalna, jeśli się mnie zdradzi, Edwardzie - ostrzegła go.  
- Zapewne - odpowiedział. - Mówiłem ci, że jesteśmy do siebie podobni.

Peyton zbudził uporczywy dzwonek do drzwi. Przeklinając pod nosem, wstała z łóżka i podeszła do okna. Z góry widziała czubek głowy mężczyzny przed drzwiami.

- Co ty do diabła wyprawiasz, Dean - zawołała z góry. - Zdejmij palec z tego cholernego dzwonka! Nie wiesz, że pracuję do późna? Która godzina? Dopiero weszło słońce. Czego, do cholery chcesz?

- Równie serdeczne dzień dobry, Peyton - odpowiedział, robiąc krok do tyłu, aby na nią spojrzeć. - Przykro mi, że cię budzę, ale to pilne. Muszę z tobą pomówić, to nie może czekać,

- Możesz chyba wstrzymać się kilka minut, aż się ubiorę i zrobię coś z włosami. Masz, rzucam ci klucz. Idź do kuchni i zrób nam po filiżance kawy.

- Gdy zeszła na dół pół godziny później, nadał miała na sobie satynową koszulkę nocną i kusy, niezapięty chiński szlafroczek.

Usiadła naprzeciwko niego przy małym stoliku przy oknie,

- Wpadłeś na coś ciekawego? - Peyton wzięła łyk kawy. - Niezła kawa. Lane ma szczęście - powiedziała.

Dean położył przed nią jedno zdjęcie i uważnie obserwował jej reakcję. Była bardzo zaskoczona, ale szybko odzyskała rezon. - Skąd to masz?

- Lane znalazła pod swoim łóżkiem.

- To należy do mnie i będę ci wdzięczna, jeśli oddasz mi to zdjęcie, jak i pozostałe. Nie ma potrzeby, żeby pokazywać je na mieście. To chyba nie przestępstwo, przynajmniej nic o tym nie wiem - odwróciła fotografię na drugą stronę,

- Nie, to nie jest przestępstwo i nie zamierzam tego komukolwiek pokazywać. Chcę tylko wiedzieć kim jest ten facet.

- Po co? To moja sprawa!

- Tak, całkowicie twoja sprawa. Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Myślę jednak, że to może być David Cuthbertson, a on może doprowadzić nas do Reese.

Popijając kawę, Peyton zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie przyznała:

- Tak, to on. Ale nie wiem, gdzie się podziewa. To była tylko jedna noc.

- Kto zrobił te zdjęcia? - zapytał Dean w miarę możliwości delikatnie.

- Czy ktoś próbował cię szantażować? Albo jego?

Peyton wstała i stanęła na tle okna tak, że światło zarysowało jej szczupłą sylwetkę w satynowej koszulce. Przypuszczała, że Dean jest odporny, śpiając co noc z Lane, ale robiła to instynktownie. Kiedy masz kłopoty, pokaż co możesz zaoferować. Zazwyczaj zasada ta sprawdzała się.

Ale stary, dobry Dean był tak przejęty rolą detektywa, że nic nawet nie zauważył. Podniósł zdjęcie i schował je do kieszeni. Spojrzał na nią. - Powiesz mi?

- Pewno, dlaczego by nie? I tak jest już po wszystkim. Matka Briana myślała, że złapie mnie z Tomem Massickiem, a złapała mnie z innym. Między mną a Brianem wszystko skończone. Zrobiłam błąd i dałam się złapać. Ale... - niemal wymknęło jej się, że udała jej się zemsta na starej suce.

- Przykro mi, Peyton, ale to może być pomocne. Powiedz mi tylko, czy Cuthbertson opowiadał ci coś o miejscu, gdzie mieszka, albo czy coś dzieje się między nim a Reese. To ważne. Nie zdradzę skąd mam te informacje, obiecuję.

Peyton pokręciła głową. - Mieszka gdzieś na północy. W Maine

czy New Hampshire, w jakiejś chatce z drewnianych bali. To wszystko co wiem. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele.

- Dzięki, Peyton. Jeśli ci się jeszcze coś przypomni, zadzwoń do Lane. W ten sposób nie będziesz musiała z nikim obcym rozmawiać. Jadę szukać tego faceta, myślę, że Reese może być z nim.

Peyton nie odezwała się ani słowem. Było już trochę za późno, aby przyznać się, że wiedziała od początku. Skoro zgrywa takiego detektywa, niech sam do tego dojdzie.

Dean otrzymał od kapitana zgodę na poszukiwania.

- Ale to tylko dlatego, że nie mamy lepszych śladów - powiedziano mu surowo. - Bądź w kontakcie telefonicznym i jeśli sprawy zaczną się toczyć w innym kierunku, wracaj natychmiast. Jakoś nie mam przekonania do twojego jeżdżenia bez celu. Ale nie mam też lepszych pomysłów. Po prostu bądź w kontakcie, Collins.

- Tak jest, odpowiedział Dean. Zostawił swój samochód na lotnisku, poleciał do Rutland w Vermont i wynajął tam auto. Góry wznosiły się wokół niego, nie miał pojęcia dokąd go ta wyprawa doprowadzi. Powietrze było suche, ale rześkie, był wdzięczny Lane, że kazała mu wziąć ciepły sweter.

W Bennington College sekretarka nie chciała mu udostępnić żadnych danych na temat miejsca pobytu byłych uczniów, dopóki nie pokazał jej odznaki i nie wyjaśnił, że poszukuje Reese Burton.

- Ach tak, kontaktowali się z nami ludzie z Biura Federalnego w sprawie panny Burton. Ostatnio mieszkała w Savannah, w Georgii. Napisała do nas w czerwcu i załączyła pokaźny czek na fundusz stypendialny.

- Czy ktoś pytał o Davida Cuthbertsona?

Sekretarka zaprzeczyła. - A jest jakiś związek? - zapytała z ciekawością.

Dean zignorował jej pytanie. - Ma pani jego obecny adres?

Podeszła do komputera i wystukała nazwisko. Po chwili wróciła z wydrukiem. David Cuthbertson również nie żałował pieniędzy na stypendia, miał wspaniałą średnią jako student i zakończył studia z wyróżnieniem. Obecnie był architektem z prywatną praktyką. Listy odbierał na poczcie w Rupert w Vermont

Dean podziękował sekretarce za współpracę i zapytał o drogę do Rupert. Po krótkiej dyskusji z innymi pracownikami, sekretarka przyniosła mapę. Okazało się, że Rupert znajduje się w połowie drogi między East Rupert i West Rupert, wysoko w Górach Zielonych, niedaleko Dorset Manchester i Butternut Bend. Uzbrojony w mapę i pomocne wskazówki, Dean wyruszył znów na północ.

Był szczęśliwy, że ma napęd na cztery koła, ponieważ droga robiła się stroma i śliska. Nie podziwiał cudownej feerii barw liściastych drzew u szczytu jesieni, miał zadanie do wykonania i skupił się wyłącznie na pytaniu, które zamierzał zadać Davidowi Cuthbertsonowi, jeżeli nie znajdzie tam Reese. Albo nawet jeśli znajdzie.

Setki razy pytał o drogę, na próżno wypatrywał drogowskazów, dzień się już prawie kończył, aż wreszcie dotarł do domu Davida. Gwizdnął pod nosem. Wyobrażał sobie chylącą się, drewnianą chałupkę, tym czasem przywitała go smukła szklana budowla pomiędzy drzewami.

Gdy wjeżdżał na podjazd, mocniej zabiło mu serce. Czarne BMW Reese zaparkowane było na widoku. Obok niego stał Jeep. Dean zatrzymał samochód i wysiadł. Gdy podchodził do drzwi, otworzyły się i ku jego ogromnej radości ukazała się w nich Reese - cała i zdrowa.

- Dean Collins! Jesteś ostatnią osobą, której się tu spodziewałam! Co ty tu robisz! Chodź, wejdź do środka. David? - zawołała.

Dean wszedł do przestrzennego pokoju i rozejrzył się. Żadnych śladów walki, najmniejszej sugestii, że Reese mogła być do czegoś zmuszana albo pilnowana. David Cuthbertson wszedł z innego pomieszczenia. Był wysokim blondynem, który już dawno nie odwiedzał fryzjera. Na swój niedbały sposób był przystojny. Nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego, ale Dean w każdej chwili gotów był wyciągnąć swój kaliber 38.

Reese przedstawiła ich sobie. - Davidzie, to jest mój dobry przyjaciel Dean Collins. Jest zaręczony,., chyba się zaręczyliście do tej pory? Zaręczony z moją serdeczną przyjaciółką, Lane MacKenzie. Jest gliną. Detektywem! Dean, to jest nasz gospodarz, David Cuthbertson, mój stary kolega ze szkoły i... - przerwała zastanawiając się, kim jeszcze dla niej jest Dean słuchał uważnie - co próbowała powiedzieć?

- Jaka miła niespodzianka - powiedział uprzejmie Cuthbertson, - Zawsze cieszę się z przyjazdu gości. Tu na górze łatwo tylko o samotność.

Dean zwrócił się do Reese. - Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Ależ naturalnie. Dlaczego miałoby być inaczej? - roześmiała się. - Czuję się lepiej niż przez ostatnich kilka lat!

Obserwując reakcję Cuthbertsona, Dean mówił dalej: - Czy zdajesz sobie sprawę, że szuka cię FBI?

Reese oniemiała. - Dlaczego? - była prawdziwie zaskoczona.

Cuthbertson zrobił krok w kierunku Reese, może po to, aby ją pocieszyć, może aby powstrzymać ją od ucieczki. Na wszelki wypadek ręka Deana powędrowała w kierunku kabury.

- Peyton nie powiedziała nikomu gdzie jestem? Nie powiedziała mojemu ojcu, że wyjeżdżam tutaj?

- Peyton? - powtórzył za Reese Dean.

- No tak. Rozmawiałam z Peyton tego dnia, kiedy wyjeżdżałam

i prosiłam, aby powiedziała ojcu i Lane, że wyjeżdżam na kilka dni z Davidem... - spojrzała na Deana. - Nie powiedziała nikomu?

- Nie, nie powiedziała - odparł Dean. Rozluźnił się i poczuł, jak opada z niego ciężar niepokoju. Spojrzał na Cuthbertsona, który nagle stał się tak niewinny i zaskoczony jak Reese. - A przecież wiedziała. Wiedziała, że twój ojciec umiera z niepokoju... Reese, musisz natychmiast do niego zadzwonić. Odchodził od zmysłów ze zmartwienia. Musi wiedzieć, że z tobą wszystko w porządku. Gdzie jest telefon?

- Obawiam się, że nie ma - powiedział David. - Będziemy musieli pojechać na stację benzynową...

- Nie, to niepotrzebne. Mam komórkę w samochodzie. - Dean poszedł po telefon i w ciągu kilku minut Reese pocieszała Edwarda, zapewniając go w kółko, że nic jej nie jest, wręcz przeciwnie, jest bardzo szczęśliwa. Obiecała, że wróci do domu z Deanem i zadzwoni z samego rana, aby powiedzieć mu, kiedy może się jej spodziewać.

Kiedy skończyła rozmowę, David zapytał cicho - Czy Peyton zrobiła już kiedyś coś takiego?

Reese wolno pokręciła przecząco głową. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak postąpiła, musiała zapomnieć, że ze mną rozmawiała.

Dean miał pewien pomysł dlaczego Peyton pragnęła zemsty, ale milczał jak grób. Ku jego zdziwieniu, David usiadł koło Reese i sam zaczął jej o tym opowiadać. - Nie, Reese - powiedział. - Ona nie zapomniała. Była zła, bo przespałem się z nią, a potem wyjechałem z tobą. Nie wiem, o co ma żal do twojego ojca, że go tak zmartwiła, ale myślę, że to ja ją uraziłem i skorzystała z pierwszej okazji, aby się zemścić. Przepraszam cię, kochanie.

Reese drgnęła i spojrzała na niego. - Spałeś z nią?

- Tak - powiedział.

- Acha.



- To nie miało żadnego znaczenia - powiedział.

Reese uśmiechnęła się. - Wiem o tym - odparła z miłością w głosie. - Nie martwi mnie to. Jestem tylko zaskoczona zachowaniem Peyton. Jest zaręczona z kimś innym.

- Nie jesteś na mnie zła? - zapytał David.

- Oczywiście, że nie. Kocham cię, Davidzie - odpowiedziała Reese. - Czułabym się okropnie gdybyś przespał się z kimś innym teraz - z kimkolwiek, rozumiesz? Ale wtedy nie byliśmy jeszcze w sobie zakochani, a nawet jeżeli byliśmy... - szukała odpowiedniego słowa.

- Nie byliśmy jeszcze zaręczeni? - podpowiedział David.

- Chyba tak, coś takiego - Reese uśmiechnęła się i pocałowała go.

Dean stał oniemiały jak posąg, obserwując tę nieprawdopodobną scenę. Po chwili odchrząknął i powiedział: - Lepiej zbierajmy się w drogę.

Nalegali jednak, aby został na kolacji i spędził noc (tapczanik w gabinecie był już wolny), a wyjechać będzie lepiej skoro świt.

Wykonali jeszcze kilka telefonów, rozpalili ogień na kominku, otworzyli wino, przygotowali kolację, potem pozmywali naczynia i ogrzaną w dłoniach brandy wzniesli toast za starych i nowych przyjaciół.

Tom pograżył restaurację na wodzie w długach, tak jak się tego spodziewała. Peyton przekopala sie przez księgi rachunkowe na tyle dokładnie, aby móc ocenić ile ten łajdak „zaoszczędził”, a ile po prostu ukradł. Wierzyła jednak, że wyjdzie na swoje - była sprytna i miała za partnerkę Reese. To prawie tak jakby wejść w spółkę ze Świętym Mikołajem.

Co wieczór pracowała do późna, męcząc się nad rachunkami i prowadząc restaurację. Część personelu odeszła, bo nie mogli wytrzymać presji, ale nie zamierzała rezygnować bez względu na to, czyje uczucia mogły po drodze ucierpieć. Mogła przecież zatrudnić nowych ludzi, i to za niniejsze pieniądze.

Restauracja pozostawała czynna do późnych godzin. Ludzie lubili spacerować po pokładzie i przytulania po kolacji - nie miała nic przeciwko temu, o ile kupowali drogie likiery deserowe, które kelnerzy dyskretnie podawali.

Była prawie czwarta rano, kiedy wreszcie dotarła do domu. Ten przeklęty Dean Collins obudził ją wcześniej poprzedniego dnia i nie mogła ponownie zasnąć. Ubrała się i poszła na łódź. Gdy wróciła do domu, miała za sobą prawie osiemnaście godzin nieprzerwanej pracy. Była tak zmęczona, że kręciło się jej w głowie. Przekręciła klucz w zamku i weszła nie zapalając światła w korytarzu na dole. Szła w kierunku schodów.

Poczuła męską dłoń zaciskającą się na jej ramieniu. Peyton wrzasnęła, ale dom był pusty i nikt nie mógł jej usłyszeć. Mężczyzna ścisnął ją aż do bólu. - Puść mnie! Puść mnie! - krzyczała.

- Ty mała dziwko - powiedział cicho, prosto do jej ucha.

- Edward! - Peyton tak ulżyło, że się roześmiała. - Na Boga, co ty robisz? Chcesz mnie przestraszyć? Udało ci się. Puść moje ramię.

Zamiast ją puścić, złapał ją za drugie ramię i zaczął nią potrząsać. Nagle Peyton przestraszyła się o własne życie. Głowa jej się chwiała i pomyślała, że może złamać kark. Edward był silniejszy niż przypuszczała i był w morderczym nastroju.

- Wiedziałaś, gdzie ona jest! Wiedziałaś! Chciałaś, żebym cierpiał, żebym oszalał i może kogoś zabił. Na to miałaś nadzieję? Nadal nią potrząsał, aż osłabła w jego uścisku. Wtedy poluzował go, a Peyton osunęła się na dywan nie wydając dźwięku.

- Nie umarłaś, dziwko - powiedział. Chciał ją kopnąć, ale już raz aresztowano go za morderstwo w tym tygodniu. Podeszedł do okien i zaczął zaciągać zasłony, aż pokój był zupełnie odcięty od świata. Potem zapalił lampę. Peyton nadal leżała na podłodze, ale poruszała się.

- Ja nie mogłem cię spłodzić - powiedział. - Jesteś szatańskim nasieniem.

Peyton spojrzała na niego. Powoli, z trudem, podniosła się.

- Tak - wyszeptała. Miała zaciśnięte gardło i trudno jej było mówić.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - zapytał. Nie spodziewał się odpowiedzi i nie otrzymał jej.

- Naprawdę mnie tak nienawidzisz? - zadał następne pytanie retoryczne, ale tym razem odpowiedź otrzymał.

- Tak! - zasyczała.

Edward spojrzał na nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Peyton opadła na fotel i zanurzyła twarz w dłoniach. Wciąż kręciło się jej w głowie, miała wrażenie, że zamiast niej ma balon pełen szpilek, który zaraz pęknie. Łzy cicho spływały jej po policzkach.

Edward patrzył na nią, ale nie pozostało nic więcej do powiedze-

nia. Nigdy w życiu nie przeproszał i nie zamierzał zacząć właśnie teraz.

Siedzieli tak w milczeniu przez godzinę, albo i dłużej. Potem Peyton wstała i poszła w kierunku schodów. Nie patrząc na niego, zaczęła powoli, po jednym stopniu wchodzić na górę,

Edward wstał, cały czas ją obserwując. Zanim doszła do półpiętra, zawołał cicho - Peyton?

Odwróciła się i spojrzała na niego. Kiedy ujrzał pogardę i nienawiść na jej pięknej twarzy, zrezygnował z powiedzenia czegokolwiek. I tak byłoby to o wiele lat za późno.

Dean prowadził, a Reese wykręciła numer do Lane i poprosiła ją, aby zgromadziła wszystkich w domu, kiedy tam dotrą. Sądziła, że po prostu wróci i będzie dalej normalnie żyła, ale kiedy dowiedziała się jak bardzo jej ojciec i przyjaciele przejęli się jej zniknięciem, chciała spotkać się ze wszystkimi. Za wyjątkiem tego, który został w Vermont, oczywiście. Na samą myśl o nim uśmiechnęła się i poczuła ciepło.

Jechali dwa dni, zmieniając się za kierownicą i zatrzymując tylko gdy to było niezbędne. Gdy przekroczyli próg domu na East Oglethorpe Street Jason Collins rzucił się w ramiona swojego taty, a Edward utulił swoją córkę tak mocno, jakby już nigdy nie chciał wypuścić jej z objęć. Później Reese przywitała się z Lane, Lane z Deanem, nawet Veronika uścisnęła Reese, a wreszcie Reese zwróciła się w stronę Peyton, która stała w kącie z niezwykłym dla siebie zażenowaniem.

- Peyton? - zawołała do niej. Peyton stała blisko schodów. Skrzyżowała ręce na piersiach i pochyliła się w stronę Reese z niepewnym uśmiechem na ustach. - Nie cieszysz się, że mnie widzisz, Peyton?

zapytała Reese otwierając ramiona do uścisku. Peyton zrobiła krok w jej stronę i objęły się.

- Peyton przysporzyła nam wszystkim wiele niepokoju i smutku - powiedział głośno Edward. Gadanina i śmiechy ucichły.

Reese i Peyton odsunęły się od siebie. - Ależ, tato, jestem pewna, że nie zrobiła tego umyślnie - odezwała się zaszokowana Reese.

- To prawda, Reese, nie chciałam tego. Byłam tak zajęta własnymi kłopotami sercowymi, że rozmowa z tobą wyleciała mi z głowy. Brian ożenił się z tą kobietą, którą wybrała dla niego jego matka. Ot tak to zrobił, a ja tym razem naprawdę byłam zakochana, przysięgam Reese - zaczęła pochlipywać.

- Wiem, Peyton. Bardzo mi przykro - powiedziała Reese.

- Reese! Czyś ty oszalała? Peyton celowo wyprowadziła nas w pole, pozwoliła, żebyśmy się zamartwiali, wezwali FBI i... Reese, do licha, kiedy ty poznasz się na ludziach?

Reese powoli podeszła do swojego ojca. Wszyscy obecni w milczeniu obserwowali ich.

- Peyton jest moją siostrą. Nie pozwolę powiedzieć na nią ani jednego złego słowa. Nie w moim domu.

- Przeciwnie stawiasz się mnie, moja panno? - rozzłościł się nie na żarty Edward.

- Tak, tato... Chyba tak.

- Nie masz pojęcia przez co przeszedłem przez ostatnie pięć dni. Czy wiesz, że mnie aresztowano - aresztowano! Za zabicie tego gwałciciela, który na ciebie napadł? Wiesz, że przez ciebie spędziłem noc w więzieniu? Dzięki twojej siostrze - Edward wypluł ostatnie słowa z nieukrywaną nienawiścią.

- Co masz na myśli? - Reese nagle zapragnęła znaleźć się z powrotem w Vermont, w domu bez elektryczności i bieżącej wody, za to pełnym światła i miłości.

Lane puściła rękę Deana i podeszła do Reese, objęła ją ramieniem. - Panie Burton - powiedziała - wszyscy jesteśmy teraz nieco drażliwi - po tym jak denerwowaliśmy się o Reese. Może usiedlibyśmy wszyscy? Jason, poczęstuj wszystkich ciasteczkami. Jason i ja upiekliśmy czekoladowe ciasteczka, czekając tu na was. Jestem pewna, że wszyscy poczujemy się lepiej, kiedy usiadziemy i pogadamy. Jest chyba dużo do opowiadania.

Na jej słowa wszyscy rzucili się do kuchni, aby zrobić kawę i herbatę, albo coś mocniejszego, w zależności od potrzeb. Jest coś w atmosferze kuchni co zbliża ludzi do siebie i nawet Edward wkrótce się uśmiechał, obejmując Reese, jakby nie chciał więcej stracić jej z oczu.

- Muszę z tobą porozmawiać] - Peyton pociągnęła Deana za rękaw i delikatnie popchnęła w kierunku jadalni.

- O co chodzi, Peyton? Mój Boże, w życiu nie widziałem bardziej wyrozumiałej osoby od Reese!

- Co masz na myśli? Czy ona wie o mnie i o Davidzie? Pokazałeś jej zdjęcia? - Peyton mówiła cicho, ale było w jej głosie coś przenikliwego. Nagle Dean wyobraził sobie jaka będzie Peyton za dwadzieścia lat. Strząsnął jej rękę ze swojego ramienia.

- Nie, nie zrobiłbym tego Reese.

Peyton odetchnęła. - To dobrze. Nie chciałam jej zasmucić.

- Ale ona wie o tobie i Davidzie, jeśli cię to interesuje - Dean nie mógł sobie tego odmówić. Uśmiechał się.

- Jak to wie? Jak mogła się dowiedzieć skoro nie pokazałeś jej zdjęć? - krzyknęła Peyton.

- David jej powiedział - odparł Dean. Obserwował jak jej oczy rozszerzają się ze zdumienia. Ona zaś zastanawiała się o co tu chodzi. Dlaczego wmawia jej coś, co absolutnie nie mogło być prawdą? Peyton dużo wiedziała o mężczyznach i kobietach, jak i o tym co się dzieje jeśli zejdzie się dwoje. To, co mówił jej Dean nie miało sensu.

- O czym ty do diabła mówisz? - zapytała.

- Po prostu - Dean nie mógł ukryć satysfakcji, widząc jak królowa oszustwa, próbuje zrozumieć prawdziwą miłość i zaufanie.

- Wie o mnie i o nim? I nie jest wściekła? -Nie.

Peyton wreszcie zrozumiała. - Aaa... oni nie śpią ze sobą, są tylko przyjaciółmi, tak jak mówiła. Dlaczego miałoby ją obchodzić z kim on sypia ? Tak mi przynajmniej mówiła, w przeciwnym razie nigdy bym...

Dean przerwał jej. - Biedna Peyton. Prawie mi ciebie żal. Naprawdę szkoda mi ciebie - to mówiąc otworzył drzwi do jasno oświetlonej kuchni, gdzie siedzieli porządni ludzie.

George Bligh był ponownie w biurze Edwarda Burtona. - Jesteś absolutnie pewien, że chcesz tego, Edwardzie? - dziwił się starszy polityk, paląc wyśmienite cygaro.

- Absolutnie - potwierdził łagodnie Edward. - To ona nalegała -żadnego kontraktu przedślubnego. Chyba uważa, że to zabije romantyczność - roześmiał się i strząsnął popiół do kryształowej popielniczki.

- Akurat! - parsknął prawnik. - Wymyśliła sobie, że dostanie więcej w testamencie. Kontrakt przedślubny leży w twoim interesie, nie w jej.

- Wiem o tym. Nie uważasz, że jestem tego świadom, George? Edward był niezwykle spokojny jak na człowieka, który wkłada szyję w pętlę.

- Jeśli będzie chciała czegoś czego ty nie chcesz jej dać, wystarczy, że przejedzie cię swoim samochodem i zgarnie wszystko - powiedział prawnik.

- Nie, jeżeli w testamencie zapiszę wszystko Reese.

- To oczywiście można załatwić, ale nie wiem jak to uratuje twoje pertraktacje o ekstradycję z rządem amerykańskim. On nigdy nie stawi się na rozprawie.

- Do diabła z nim. Wykonał za mnie brudną robotę, niech coś z tego ma - zaśmiał się Edward. - Zamordowanie Johna Larmore było prawdopodobnie jedynym przyzwoitym uczynkiem w jego życiu i za to niech ma możliwość ukrywania się na jakimś pustkowiu przez resztę życia - sama ta myśl sprawiała mu ogromną radość.



George Bligh zastanowił się. - Chcesz więc, żebym mimo wszystko sporządził kontrakt przedślubny?

- Tak - odpowiedział Edward. - Ujmij to językiem prawniczym: niech Veronika ma dostęp do dużej części pieniędzy dopóki żyję. Nic poza tym. Wszystko ma dostać Reese.

- Teraz mówisz rozsądnie. Ale i tak nie mam pojęcia, dlaczego chcesz się ożenić ze zdrajczynią i oszustką - George Bligh pomyślał o swojej zmarłej żonie i o zaufaniu jakie do siebie żywili, i nagle poczuł wstręt do tego co robi. Co się stało z jego idealistycznymi planami strzeżenia konstytucyjnych praw każdego klienta, chronienia niewinnych i oskarżania winnych, z jego dumą, że stanowi część prawa, które zespała społeczeństwo? Co robi w tym biurze urządzonym z niepotrzebnym zbytkiem, spełniając zachcianki człowieka pozbawionego jakichkolwiek zasad etycznych? Wiele dokonał od czasów szkoły - stał się bogaty, odniósł sukces, ale...

- Myślę, że najlepiej ujął to Prezydent Johnson. „Lepiej, żeby stali w namiocie, sikając na zewnątrz niż odwrotnie” - zacytował Edward, wybuchając śmiechem. Adwokat podniósł się z fotela, aby wyjść.

- Natychmiast przygotuję umowę - powiedział.

- Nie śpiesz się. Jestem twoim głównym klientem, wszystko inne może poczekać, mam rację? Posiedź chwilę, wypal spokojnie cygaro i wypij drinka. Może zjesz ze mną kolację dziś na łodzi? Należy teraz do mojej córki.

- Do obydwu twoich córek - przypomniał mu George Bligh. - Dziękuję, ale mam inne plany. Teraz chciałbym się trochę przewietrzyć.

Po jego wyjściu Edward podniósł słuchawkę i zadzwonił do Veroniki.  
- Ubierz się w coś ładnego, włóż biżuterię i przyjedź po mnie ko-

Io szóstej. Pojedziemy świętować i porozmawiać o naszej przyszłości, jak ci się to podoba?

Jej głos nadal go podniecał. Na dźwięk niskich, gardłowych tonów, żywiej zaczynała mu płynąć krew. Ta kobieta mogła dodać mu młodości i werwy na wiele lat. Poczekaj trochę - do dnia ślubu - i zmusi ją do napisania umowy. Nie ma sensu psuć jej teraz dobrego humoru. To o czym nie wiedziała wprowadzało go w doskonały nastrój, mógł odkładać ślub o całe długie miesiące, ciesząc się trwającą walką *intelektów*. *Miał teraz nad nią przewagę* i tak miało pozostać. Bez względu na wszystko, życie z Veroniką zapowiadało się podniecająco.

- Cześć, Reese.

- David! Tęsknię za tobą.

- Widzę, że dotarłaś bezpiecznie do domu. Czy już wszystko się uspokoiło?

- O, tak. Mój tata był naprawdę zdenerwowany, ale już wszystko dobrze. Jaka u ciebie pogoda?

- Zimno, rzeško i pięknie. Większość liści spadło wczoraj podczas burzy.

- To jest ciepło, jak zwykle. Muszę przyznać, że dobrze jest w domu. Kocham miejsce, w którym mieszkasz, ale jest ona jak ziemia Nigdy-Nigdy. Teraz kiedy jestem daleko od ciebie, wydaje mi się nie-realne, Mam wrażenie, że miałam cudowny sen.

- A teraz się obudziłaś?

- Tak. Zdaje się, że nie można śnić przez całe życie.

- Reese, kocham cię. Naprawdę, naprawdę jestem w tobie zakochany. Tęsknię za tobą tak bardzo, że nagle wszystko przestało mieć sens.

- Davidzie...

- Wiem. Nie mogę prosić cię, abyś opuściła Savannah, twoich bliskich i rodzinny dom. Nie będę tak samolubny. Ale...

- Ale co, Davidzie? Co, kochany?

- Nie mogę stąd wyjechać, nie mogę przyjechać do Savannah. Tak jak ty nie mogłabyś wyjechać stamtąd i przyjechać tu na zawsze. Ty należysz do Savannah, ja należę do Vermont, chociaż to dziwne, bo przecież należymy do siebie. Jestem tego pewien bardziej niż czegokolwiek w moim życiu, Reese. Należymy do siebie, prawda? A może oszukuję sam siebie ponieważ tak bardzo ciebie pragnę?

-Nie.

- Co? Nie usłyszałem, kochanie.

- Powiedziałam „nie”, Davidzie. Nie oszukujesz samego siebie. Ja też tak czuję. Należymy do siebie. Ale gdzie? Nie tutaj, nie tam, gdzie?

- Może czasem tutaj, czasem tam? Coś w rodzaju podróżującego małżeństwa?

- Powiedziałeś „małżeństwa”?

- Czy to cię zaskoczyło? Oczywiście, że małżeństwa. O, Boże, zapomniałem się oświadczyć? Przepraszam, Reese. Kocham cię, czy zostaniesz moją żoną? Błagam cię, wyjdź za mnie. Nigdy nikogo o to nie prosiłem. Nigdy nie spotkałem nikogo, z kim chciałem żyć. Jesteś moim przyjacielem i moją miłością, chcę abyśmy zawsze byli częścią swojego życia. Wyjdiesz za mnie?

- Ja... Ja cię kocham, Davidzie, ale... czy możemy poczekać jeszcze z rozmową o małżeństwie? Musimy dopracować tyle rzeczy. Byłam już zameżna i myśl o ślubie przeraża mnie trochę...

- Dobrze. Oczywiście, rozumiem. Masz rację, musimy wiele rzeczy przedyskutować. Na przykład, kiedy cię znów zobaczę?

- Nie wiem. Dopiero co przyjechałam. Mam to obowiązki, muszę

iść na łódź i odrobić zaległości jako współniczka. Mamy teraz z Peyton równe części... Davidzie? Czy ty jęknąłeś?

- Przepraszam. Zapomniałem, że to twoja siostra.

- Nie ty jeden. Ona w przeszłości była bardzo nieszczęśliwa i zrobiła kilka nieprzemyślanych rzeczy, ale kto z nas ich nie zrobił?

- Z pewnością.

- Davidzie, zapomnijmy już o tym, dobrze? Zacznijmy od nowa i bądźmy szczerzy wobec siebie. Czy możesz to zrobić na odległość?

- Przysięgam, że mogę, kochana. Nie wyobrażam już sobie życia bez miłości, a ty jesteś jedyną kobietą, którą kocham, kochałem i, jak sądzę, będę kochać.

- Jak sądzisz? -Tak.

- Czy tak mówi się w Vermont?

- To obietnica. A ty?

- Co ja? Ach, masz na myśli innych mężczyzn. W żadnym wypadku. Sparzyłam się i byłam kochana, wiem już na czym polega różnica. Odtąd liczysz się tylko ty, Davidzie. Czuję się taką szczęściarą, że ciebie znalazłam. Jestem przekonana, że nigdy mnie nie skrzywdzisz.

- Nie jestem święty. Nigdy nie skrzywdzę cię umyślnie, to mogę obiecać.

- Wiem, ja też.

- Teraz musimy tylko wymyśleć jak możemy się widywać.

- Teraz twoja kolejka.

- Moja kolejka?

- Najpierw ty przyjechałeś do Savannah, potem ja pojechałam do Vermont Teraz więc twoja kolej przyjechać znów do Savannah.

- Czy jutro będzie za szybko?

Roześmiała się. - Tak. Mam dużo pracy. Nie będę się mogła skupić.

- Dobrze, że mi przypomniałaś. Ja też mam co robić, zupełnie zapomniałem.

- Na pewno nie. Jesteś najsolidniejszym człowiekiem jakiego znam.

- Co za romantyczny komplement

- A ty masz najseksowniejsze usta, najpiękniejsze oczy i nogi, jakie widziałam u mężczyzny.

- Piękne nogi? -Tak jest

- Reese, mężczyźni nie mają pięknych nóg.

- Davidzie, ja wiem na czym polega piękno. Twoje nogi są piękne.

Wszystko co cię dotyczy jest dla mnie piękne.

- Mogę tylko skromnie powiedzieć „dziękuję” i pójść się przejrzeć w lustrze.

- Nawet nie masz porządnego lustra w domu, i to też w tobie kocham. Jest bardzo długa lista rzeczy, które w tobie kocham. To tylko jedna z nich.

- Reese? -Tak?

- Bardzo cię kocham.

- Ja też cię bardzo kocham, Davidzie, Nastąpiła chwila ciszy.

- Lepiej odłóżmy słuchawki.

- Będziemy musieli, prędzej czy później.

- Zadzwoń do ciebie jutro.

- Do widzenia, kochany.

- Do usłyszenia.

Jason był bardziej podniecony występem w telewizji niż faktem, że jego tata otrzymał medal i awans. Trudno mu było spokojnie usiedzieć w trakcie długich przemówień, wciąż wyciągał szyję w poszukiwaniu kamer i przyglądał się jaskrawym światłom. Lane trzymała go mocno za rękę gdy burmistrz chwalił detektywa Deana Collinsa za jego zaangażowanie, inteligencję, odwagę i pomysłowość, za jego szybkie odnalezienie zagubionej osoby, której szukało całe Biuro Federalne. Miasto Savannah było dumne z detektywa Collinsa, teraz porucznika Collinsa, jak i z całego personelu policyjnego, za przykład, jaki dawali.

Kiedy Dean wystąpił, aby przyjąć z rąk burmistrza medal i uściskać jego dłoń, Jason wykrzyknął radośnie: „Cześć, tato!”, a wszystkie kamery zwróciły się na niego. Uśmiechnął się i zsalutował. Takie zdjęcie umieszczone zostało na pierwszej stronie Dispatch. Lane musiała radzić sobie z żartobliwymi uwagami kolegów.

- Lane, teraz jak już masz dziecko, kiedy zamierzasz poślubić bohatera?

- Zrobiliśmy to wczoraj - odrzekła, uśmiechając się. - Byliśmy w ratuszu i wydało nam się, że to dobry pomysł. Nie trzeba marnować czasu najeżdżenie tam i z powrotem.

- Lane! Naprawdę?

- Jak romantycznie!

- Jakie to podniecające!

- Kto dokonał ceremonii? Burmistrz?

- Nie żartuj! Naprawdę?

- Chyba umknęło nam najważniejsze wydarzenie wczorajszego dnia.

- Tak, Lane. Nie uważasz, że byłaś nam winna historię o tym, jak wielki bohater żeni się z jedną z naszych reporterek?

- Gratulacje, Lane!
- Wszystkiego najlepszego, dużo szczęścia!
- Jaki to słodki, mały chłopiec. Teraz będzie twój, masz szczęście!
- Pokaż pierścioneek!
- Uwielbiam tradycyjne, gładkie, złote obrączki.
- Wyjeżdżacie gdzieś na miesiąc miodowy? Macie trochę wolnego?

Lane czerwieniła się i śmiała na przemian, próbując odpowiedzieć na pytania, którymi ją zarzucano.

- Opisz to, Lane, opisz to. Kto, co, gdzie, kiedy i dlaczego. Potrzebuję to na dzisiaj - wydawca kolumny towarzyskiej, starsza pani uczesana w koka, w który powtykane były ołówki, uśmiechnęła się czule do Lane.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrała go czym prędzej, rada z wymówki, dzięki której mogła pozbyć się tłumy wokół niej.

- Lane MacKenzie.

- Błąd - usłyszała głos Deana. - Wiedziałem, że tak się odezwiesz.

- Przepraszam, Chcesz, żebym spróbowała jeszcze raz?

- Nie, nie mam już więcej drobnych na telefon. Powiedz mi tylko, że nadal mnie kochasz i będę wiedział, że to ty.

- Mówi Lane MacKenzie-Collins. Ale to cudownie brzmi.

- Zaczynasz mówić jak Jason. Apropoz: chce wiedzieć, czy możemy pojechać do Disneylandu na miesiąc miodowy.

- Oboje się roześmiali. Słyszała dochodzący niewyraźnie głos czterolatka: „Co powiedziała, tato? Co Lane myśli o moim pomysle?”

- Powiedz Jasonowi, że uważam to za wspaniały pomysł. Jest świetny. Miesiąc miodowy w Disneylandzie - idealnie! Tam jest nasze miejsce. Kiedy jedziemy?

- „Mówi, że się zgadza” - usłyszała, jak Dean mówi do syna. Rozległ się okrzyk radości i Lane wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Na teraz i na zawsze.



Peyton jak zwykle została dłużej aby sprawdzić kasę i zaniknąć bar za ostatnimi klientami i pracownikami „S. S. Savannah”.

Pracowała ciężiej niż się tego kiedykolwiek spodziewała, utrzymując statek na powierzchni dosłownie i w przenośni. Była dumna z siebie, ale bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem. Sama była tym zaskoczona, ale cieszyła się, że Reese znów jest w domu.

Kiedy wysiadła z samochodu, na wschodzie zaczynało już świtać. Myślała o tym, jak złagodniała w swoich uczuciach do Reese - niemożliwością było nienawidzić ją, chociaż przez lata usilnie tego próbowała. Zabawne, jak można się z kimś przyjaźnić, a jednocześnie..,

Była zatopiona we własnych myślach, w przeciwnym razie dojrzałaby cień mężczyzny, czekającego pod drzewem koło drzwi.

Myślała o Edwardzie Burtonie i jego koncie bankowym. Pięćdziesiąt tysięcy, które wymusiła od niego, zostało utopionych w restauracji. Przyszedł czas, aby ponownie uderzyć.

- Cześć - usłyszała dziwnie znajomy głos, dobiegający z ciemności. Kiedy mężczyzna wyszedł z cienia, Peyton myślała, że widzi ducha.

- Travis? - wykrztusiła.

Ale Travis przecież nie żył. Widziała go martwego kilka miesięcy temu, tak jak wielu innych ludzi. Został otruty, uderzony i wrzucony do rzeki, a tymczasem... stał przed nią żywy, uśmiechnięty. Był to niezaprzeczalnie uśmiech Trávisa.

- Przykro mi, jeśli cię przestraszyłem - powiedział.

- Travis! O mój Boże...

- Nie jestem Travisem - powiedział jego duch.

Peyton oceniła odległość do drzwi. Trzymała klucz w pogotowiu. Ale jeżeli to naprawdę był Travis, cudem przywrócony do życia, chciała rzucić mu się w ramiona, pocałować go, żeby znów było tak jak dawniej. Jeśli to był duch, mógł prawdopodobnie przechodzić przez mury i zamknięte drzwi, więc nie było sensu uciekać.

- Wyglądasz jak Travis Peterson. Jak jego odbicie. Lepiej mi to wyjaśnij, i to dokładnie, kimkolwiek jesteś.

W odpowiedzi podszedł bliżej, objął ją i pocałował. Nigdy nie potrafiła oprzeć się Travisowi.

- To ty - szepnęła. Pokręcił przecząco głową.

- Jestem Nick. Nick Corelli. Wiem, że wyglądam dokładnie jak ten Travis Peterson, ale on nie żyje. Dowiedziałem się o nim dopiero gdy umarł. Byliśmy bliźniakami, ale o tym nie wiedzieliśmy.

- Nie jestem w tej chwili gotowa na taką rozmowę - powiedziała Peyton w oszołomieniu wywołanym jego pocałunkiem - Masz gdzie się zatrzymać?

- Tak. Mieszkam w Best Western . Recepcjonista też dwa razy zerknął kiedy się tam zjawiłem. Powiedział, że chodził do szkoły z tobą i Travisem. Powiedział, gdzie cię mogę znaleźć, Reese.

Peyton roześmiała się. - Rachunki wyrównane, Nick. Nie jestem Reese. Nie jestem twoją odnalezioną po latach bratową, Jestem Peyton. To długa, długa historia. Witamy w Savannah, Nick. Jestem pewna, że wywołasz tu niemałe poruszenie.

- Może mogłabyś ułatwić mi kilka rzeczy. Nie chciałbym chodzić po mieście, przyprawiając ludzi o zawał serca tylko dlatego, że jestem podobny do Trávisa.

- Oczywiście, Nick. Pomogę ci. Zadzwoń do ciebie jutro.

- W porządku. Nie każ mi czekać. Jestem niecierpliwy.

- Nie zamierzam trzymać cię w niepewności, złotko. Nie mogę się doczekać, żeby Reese cię zobaczyła.

Nick odwrócił się, a ona patrzyła w ślad za nim. Był tak znajomy i tak obcy zarazem. - Tylko pamiętaj, Nick, ja zobaczyłam cię pierwsza - zawołała.